



Andrzej Śarwa

Gałązka

rajskiej jabłoni

Baśnie polskie

Andrzej J. Sarwa

Gałązka rajskej jabłoni

baśnie i legendy polskie

Grzeczność wynagrodzona

Chociaż Franciszek liczył już prawie czterdzieści lat, to przecie krzepki był niczym dąb.

Postawny i urodziwy mężczyzna miał jeszcze i tę zaletę, iż był bogaty – najbogatszy we wsi.

Ziemi posiadał dużo, i to urodzajnej. Ponadto krowy, konie, świnie, a drobiu bez liku.

Mięso często gościło na jego stole, a jaj i omasty nigdy sobie nie żałował.

Nie dziwny się zatem, że kiedy przedwcześnie zmarła jego żona, to chociaż jeszcze na jej mogile nie wyrosła trawa, już swatowie i swatki jęli pukać do drzwi naszego wdowca.

Mimo iż najpierw nie był skory do ponownego ożenku, to przecie owo ustawiczne nachodzenie go, namawianie, a przekonywanie w końcu dały rezultat.

Tym razem długo się zastanawiał, kogoż to poślubić. Wreszcie, po namyśle, jego wybór padł na trzydziestoletnią wdowę, znaną z zaradności i gospodarności, i chociaż ubogą, to mającą tę zaletę, iż była niezwykle urodziwa.

Skoro zatem przeminął roczny, obowiązkowy okres żałoby. Franciszek poprowadził swoją wybrankę do ołtarza.

A potem było huczne weselisko. Na tę okazję zabito krowę i dwa świniaki, że o kurach, gęsiach, indykach i kaczkach nie wspomnę.

Ucztowała i tańczyła cała wieś i to nie przez jeden dzień tylko. Wesole było, oż wesole, bo i gorzałki nie brakowało, a skoro jej nie brakowało, toteż nikt jej sobie nie skąpił.

Marianna – tak było na imię nowej żonie Franciszka – zaraz po ślubie sprzedała swoją starą chałupę i wprowadziła się pod dach męża.

* * *

Teraz nadeszła pora, by powiedzieć, że zarówno Franciszek, jak i Marianna mieli każde po jednej córce. Franciszkowa zwała się Kasia, Marianny natomiast Rózia.

Być może, iż dziewczynkom udałoby się ze sobą zaprzyjaźnić, ba! stać prawdziwymi siostrami nawet, gdyby nie Marianna, która od pierwszej chwili znienawidziła swoją pasierbicę.

Ileż to zła i krzywdy wyrządziła owemu dziecku, które z natury dobre było, ciche i spokojne, nikomu nie wadzące i nadzwyczaj posłuszne.

Swoją Rózię stroiła ponad przepych, gdy tymczasem Kasia chodziła zaniedbana i obdarta, niczym córka żebraka.

Swojej Rózi podtykała co najlepsze kąski, podczas gdy Kasia ustawicznie była głodna, bowiem tyle tylko dostawała – najczęściej stary uschnięty chleb i resztki zupy z obiadu – aby nie umarła z głodu.

Rózia sypiała na wielkiej puchowej poduszce, przykrywając się wielką puchową pierzyną, podczas gdy Kasia kładła pod głowę starą zwiniętą szmatę, a okrywała się lada jakim łachmanem.

Franciszek, który niegdyś przecież kochał swoją córkę, teraz jakoś zobojętniał na jej los. I chociaż widział jak źle i okrutnie obchodzi się z nią Marianna, nie reagował na owo zupełnie.

Czasem tylko, bardzo sporadycznie, zdejmował ze swego talerza jakiś lepszy kąsek i podawał go Kasi. A ta przyjmowała go z wdzięcznością, ciesząc się z ojcowskiej „dobroci”.

Jak więc widzicie, dziewczynka byłaby całkowicie osamotniona gdyby nie wielki czarny, upstrzony białymi łatkami na grzbiecie i ozdobiony białym

krawatem na szyi, kot Mruczek.

Zwierzak nie odstępował Kasi ani na krok, tulił się do niej, ocierał o nogi, a kiedy zapadała noc, wchodził na jej barłóg, wsuwał się pod wystrzępione okrycie i śpiąc ze swoją panią rozgrzewał ją ciepłem swego miękkiego futerka.

Skoro macocha spostrzegła, jak wielka jest przyjaźń między pasierbicą, a Mruczkiem, nie mogąc tego ścierpieć, precz przepędziła zwierzątko.

Na darmo kotek próbował, przez wiele kolejnych dni, przekroczyć próg domostwa. Ilekroć bowiem Marianna go spostrzegła, tylekroć dostawał tak straszne cięgi, iż nieraz z zakrwawionym pyszczkiem musiał ratować się ucieczką.

Nie dziwny się przeto Mruczkowi, że mimo miłości, jaką darzył swoją młodziutką panią, wyprowadził się z chałupy na dobre, zapuszczając się tylko od czasu do czasu do obory. Miłe mu bowiem było zdrowie, a może nawet i życie.

Macocha widząc, że udało się jej pozbawić Kasię jedyne go przyjaciela, ucieszyła się ogromnie. Ta radość trwała przez kilka dni, do chwili, gdy zaczęła przemyśliwać nad jakąś nową podłością, jakąś nową udręką i złem, które mogłaby wyrządzić dziewczynce.

Myślała i myślała długo, lecz jakoś nic oryginalnego nie przychodziło jej do głowy.

Łaziła tedy po chałupie zła i ponura, ciskając garnkami i trzaskając drzwiami, zaniebawszy zupełnie zajmowanie się obowiązkami gospodyni.

Franciszek, który – jak wiecie – całkowicie dostał się pod pantofel nowej żony, nie reagował na to zupełnie. Ba! Ustępował jej z drogi, mówił nieomal szeptem i bez szemrania spełniał każdy rozkaz, każdą zachciankę Marianny.

Nie sprzeciwiał się i temu żądaniu, aby jego Kasia raz na zawsze wyniosła się z izby i zamieszkała w oborze wraz z krowami.

Posłusznie zebrał jej lichy przyodziewek, który zawiesił na gwoździu wbitym w ścianę, a poniżej, na ziemi, wymościł jej posłanie ze słomy, którą cichaczem –

aby Marianna tego nie zobaczyła – przyniósł ze stodoły.

Pierwszą noc, spędzoną poza izbą, wśród zwierząt, dziewczynka przeplakała. Mimo okrutnego zmęczenia, jej żal był tak wielki i tak wielki smutek, że nie udało się jej ani na moment zmrużyć oka.

Jedyną pociechę stanowiło to, iż nad ranem, gdy świt jał różowić niebo, przez niewielkie niedomknięte okienko wślizgnął się jej przyjaciel – kot Mruczek.

Pochwyciła go na ręce, przytuliła czule do piersi i obsypała pocałunkami. A on ocierał się pyszczkiem o jej policzek i głośno mruczał, wyraźnie uszczęśliwiony ze spotkania, na które obydwójce tak długo czekali.

* * *

Zima zbliżała się wielkimi krokami. Z drzew poopadały ostatnie liście, nocne przymrozki ścinały kruchymi tafelkami lodu kałuże, które się porozsiadały na środku gościńca. Puste o tej porze roku pola, rozciągały się het, po horyzont.

Słońce rzadko teraz gościło na niebie, za to chmury i deszcz były nieomal codziennym zjawiskiem.

Kto nie miał na to czasu w lecie, teraz zamasyście wywijając siekierą rąbał drwa, a potem układał je popod ścianami stodoły, czy szopy, kędy piętrzyły się wysoko, oczekując swojej kolejki na spalenie.

Tego dnia do południa siąpił drobny deszczyk, gruntownie nasączając gliniastą powierzchnię dróżki wiodącej od chaty Franciszka ku gościńcowi, przemieniając ją w grząskie i lepkie błoto. W południe deszcz ustał, ale za to z nisko zawieszonych nad ziemią białawych chmur jał prószyć drobniutki niczym kasza jaglana śnieg.

Kasia na polecenie macochy pracowicie przebierała groch, z utęsknieniem wyczekując obiadowej pory, kiedy to będzie mogła się posilić swoja skibką chleba i resztkami zupy. A być może czymś więcej, jeśli macosze akurat dopisze humor.

Ale do obiadu było daleko, tymczasem głód tak ścisnął jej wnętrzności, iż momentami słabła, a przed oczyma wirowały jej czarne plamy.

Spróbowała żuć surowe ziarno grochu, przez co stępiła nieco ssanie w żołądku, chociaż bynajmniej nie zaspokoila łaknienia.

Mruczek, jakby rozumiejąc niedolę dziewczynki, cicho się wślizgnął do szopy, w której pracowała i złożył u jej stóp, niesioną w pyszczku, tłustą, szarą mysz.

Kasia pogłaskała go czule:

– Oj, kotku, kotku. Mój ty kochany. Lepsze masz serce od ludzi. Dzielić się chcesz ze mną swoją zdobyczą, ale ja myszy nie jadam. Zjedz sam i niech ci idzie na zdrowie.

Mruczek zatem, odczekawszy dłuższą chwilę, by się do końca upewnić, czy aby Kasia nie zmieni zdania, z widowym łakomstwem sam spożył to, co przyniósł z pola, a może z lasu.

Dzień powoli się kurczył, niebo stawało się coraz ciemniejsze, a powietrze szare. Z dworu do obory, w której Kasia szykowała się do snu, dobiegał jednostajny szum i plusk ulewy.

Mruczek przysiadł na legowisku ze słomy okrytej starym łachmanem i pracowicie wylizywał futerko swoim różowym, ostrym języczkiem.

Kasia wiedziała, że kładąc się teraz, o tak wczesnej porze, jeszcze przed dojeniem krów, które stały nieopodal pracowicie przeżuając siano, narazi się na gniew macochy.

Lecz nie zważała na to. Czuła się bardzo chora. Czoło miała rozpalone, gardło bolało ją tak, iż z trudem tylko przełykała ślinę, a prócz tego – co i raz – wstrząsały nią dreszcze.

Zwinęła się tedy w kłębek na wygniecionym barłogu, najszczelniej jak tylko mogła okrywając się kapotą, pod którą natychmiast wślizgnął się Mruczek, rozgrzewając ją swoim gibkim ciałkiem.

Nie wiedzieć kiedy jęła zapadać w bezdenną czeluść snu, lecz nie dane było jej odpocząć.

Ostry, nieprzyjemny głos macochy otrzeźwił ją w kilka sekund:

– Ech, ty próżniaku! A nie wylegaj się po próżnicy! Nie masz co robić?! To ja ci zaraz wynajdę zajęcie!

Kasia usiadła na posłaniu, przecierając oczy.

– Co mi każecie? – zapytała pokornie.

– Zbieraj mi się na nogi i idź pożyczyć skądś ognia, bo nie podsycany zagaśł w palenisku, a nie mam czym rozniecić nowego. No! Idź już! przecież wiesz, że muszę się zabierać do gotowania wieczerzy!

Otuliła się Kasia swoją, podszytą wiatrem, kapotką, najszczelniej jak umiała. Wzięła z podwórza stary dziurawy garnek żelazny, aby doń nagarnąć, w którejś z pobliskich chałup, żaru i ruszyła w stronę wsi.

Nie uszła jednak daleko, gdy stado psów z ujadaniem, warczeniem i szczerzeniem kłów rzuciło się w jej kierunku. Przestraszona cisnęła w nich garnkiem, a widząc iż to nie pomogło, wzięła nogi za pas i poczęła uciekać w przeciwnym kierunku.

Lęk dodał jej sił i prędkości, tak iż wkrótce wiejskie zabudowania zostały daleko z tyłu, a ona sama znalazła się w głębi lasu. Psy na szczęście nie uwzięły się na nią i zawróciły.

Kasię otaczały teraz wysmukłe pnie sosen. Pod nogami ugięła się miękka ściółka złożona z opadłego igliwia i złuszczonej kory. Pachniało żywicą i zbutwiałym drewnem.

Jeśli poza lasem się zmierzchało, to w jego wnętrzu od dawna już panowała noc.

Dziewczynkę ogarnęło przerażenie. Oparła się o sosnę i jęła się zastanawiać, co ma począć w tej – niemiłej – sytuacji. Zawracać ku wsi, drogą, którą tu przybyła,

bała się ze względu na psy, które gdzieś tam, niedaleko, biegały w rozjuszonym stadzie. Las ją przerażał i chociaż знаła skrót, którym mogłaby powrócić do rodzinnej chaty, lękała się, iż w zupełnych ciemnościach może pobiłdzieć.

Stała dłuższą chwilę, popłakując przy tym z cicha, bo nie wiedziała co począć. Strach przed psami jednak zwyciężył i prawie po omacku poczęła wędrować przez las, w kierunku, który wydawał się jej właściwy.

Uszła tak spory szmat drogi, boleśnie się przy tym raniąc o gałęzie krzewów, które zastępowały jej drogę, bądź objając ciało o niewidoczne w mroku pnie drzew, lecz nie umiała wyjść z boru.

Miał wędrować ku domowi, najwyraźniej zagłębiała się w las. Zmęczenie i gorączka mocno się jej dały we znaki. Ciężko dysząc przykucnęła, aby choć trochę odpocząć.

I wówczas, gdzieś niezbyt daleko, pomiędzy drzewami, zamigotało żółtawe światełko.

Podniosła się czym prędzej na nogi i podniecona nadzieją ratunku, ruszyła w jego stronę.

Ledwo zrobiła kilkadziesiąt kroków, gdy oto zarysowała się przed nią ciemna bryła domu z wielkim oknem rozświetlonym pożłocistym blaskiem.

Dziewczynka jęła obchodzić budynek dookoła, aż natknęła się na drzwi wejściowe.

Zawahała się przez moment, ale perspektywa spędzenia ciemnej, zimnej, listopadowej nocy samotnie w głębi lasu, ostatecznie przełamała jej niezdecydowanie. Zapukała zatem we framugę, czekając aż jej otworzą.

Drzwi rozwarły się ze skrzypieniem dawno nie oliwionych zawiasów i za progiem ujrzała dostatnio przyodzianego mężczyznę, który uśmiechnął się do niej, jednocześnie gestem zapraszając ją do wnętrza.

Minęli się i weszli do głównej izby – a właściwie komnaty. Tutaj dziewczynce

aż dech zaparło z wrażenia. Ujrzała bowiem oto przestronny pokój, którego ściany obwieszane były cennymi tkaninami, zaś podłogę zaścielał puszysty perski dywan. Po środku izby stał wielki stół z jakiegoś cennego drewna wypolerowany do połysku, a inkrustowany srebrem i macią perłową w fantazyjne roślinne wzory.

Na wyścielanych aksamitem krzesłach siedzieli nadzwyczaj bogato odziani panowie, z których każdy, kiwając przyjaźnie głową przedstawił się Kasi:

– Ja jestem Słońcem.

– A ja Księżycem.

– Ja Wiatrem.

– A ja Mrozem.

– Ja natomiast Deszczem.

– Czego sobie życzysz od nas dziewczynko? – zapytali na końcu chórem.

Kasia patrzyła na nich szeroko otwartymi ze zdumienia oczyma, nie mogąc wykrztusić słowa. W końcu jednak przemogła się i rzekła:

– O dwie rzeczy was proszę. Dajcie mi nieco ognia, abym go mogła zanieść do domu. Jeśli tego zaraz nie zrobię, macocha zbije mnie okrutnie i nie da kolacji.

– I czego jeszcze byś chciała? – zapytał Wiatr.

– Byście mnie, panowie, wywiedli z tego lasu i zaprowadzili do domu, bom pobłądziła.

– Nic za darmo! Nic za darmo, miłe dziecko – powiedziało Słońce.

– Ależ ja niczego nie posiadam! Tylko te łańchmany, co je mam na sobie – wyjąkała Kasia.

– Toteż my nie o takiej zapłacie mówimy! – zaśmiał się Deszcz.

– A o jakiejż to?

– Po prostu – odezwał się Mróz – przyjrzyj się nam wszystkim na raz i każdemu z osobna, a potem orzeknij, kto z nas, tu obecnych, jest najpiękniejszy.

Spełniła Kasia ową prośbę i długo, a dokładnie przyglądała się każdemu, lecz

im dłużej patrzyła, tym trudniej było się jej zdecydować na dokonanie jakiegoś konkretnego wyboru.

– Wszyscyście jednak piękni – wypowiedziała na koniec nieśmiało.

– Może jednak ktoś z nas jest piękniejszy nad innych? – zapytał Deszcz.

– Nie! Nie! – Kasia zdecydowanie pokręciła głową. – Naprawdę wszyscyście jednak piękni!

– I nie odmienisz zdania? – upewnił się Księżyc.

– Nie, na pewno nie.

– Pójdź zatem za mną – rzekło Słońce – i poprowadziło dziewczynkę do kuchennej izby, gdzie w piecu, pośród siwego popiołu, niczym drogocenne klejnoty błyszczał żar.

– Nagarnij gorejących ogni w co tylko możesz – mówiło dalej Słońce. – I w zapaskę i za pazuchę i w chustkę. Poutykaj go też po kieszeniach.

– A nie zapalę się od tego? – zaniepokoiła się Kasia.

– Możesz mi wierzyć, że nie. Już nasze moce cię ustrzegą.

Później zaś Słońce pociągnęło dziewczynkę za rękę i powiodło ku wyjściu.

Choć na dworze od dawna panowała noc, teraz nagle pojaśniało, tak że bez trudu odnalazła powrotną drogę.

Słońce natomiast na odchodne powiedziało jej te słowa:

– Słuchaj Kasiu. Skoro tylko przybędziesz do chałupy, małą garstką żaru, jaki otrzymałaś od nas, roznieć ogień w kuchennym piecu. Resztę zasię zakop w ogrodzie i czekaj do rana.

Gdy tylko pierwsze zorze rozwidnią widnokrąg, idź i odgrzeb to, coś zakopała, a zobaczysz jakąż to niespodziankę ci zgotowaliśmy.

– Wy, to znaczy kto?

– No jakże? Nie wiesz? Ja, Księżyc, Wiatr, Mróz i Deszcz.

* * *

Źle Kasia spała tej nocy. Dziwne i niesamowite spotkanie zaprzętało jej umysł. To też przewracała się z boku na bok, aż rozbolewały ją wszystkie kości.

Gdy pierwszy świt zaróżowił niebo, dziewczynka nie zwlekając wstała i pobiegła do ogrodu. Tu, drżącymi z przejęcia dłońmi, rozgarnęła miękką ziemię, w której ukryła otrzymany poprzedniego wieczora żar.

Prawdę mówiąc spodziewała się ujrzeć kopczyk poczerniałych i wypalonych węgli. Lecz co to? Oto spostrzegła pozłocisty błysk. A potem drugi, trzeci, dziesiąty... W wygrzebanym dołku piętrzyła się przed nią góra złotych monet. Nowiutkich i lśniących, bo w nie to właśnie przemieniły się płonące węgle.

– A cóż ty tam masz? – ostry, nieprzyjemny głos macochy doleciał skądś z tyłu do uszu dziewczynki.

Przestraszona porwała się na równe nogi.

Kasia nie umiała kłamać, więc przymuszona opowiedziała o wszystkim, w jaki sposób stała się właścicielką tak wielkiego skarbu.

– Ha, cóż. Twoje szczęście. Chociaż na pewno nań sobie nie zasłużyłaś – macocha skrzywiła się mocno, jakby się octu napiła.

– Ale jeśli taki kocmołuch i brudas mógł dostać tyle złota, to o ile więcej otrzymać może mój aniołek, moja córeczka, moja Rózia? Dzisiejszego wieczora wskażesz jej drogę do owej chaty w lesie. A nie próbuj oszukiwać, bo by się to źle dla ciebie skończyło.

– Dobrze. – Kasia potulnie kiwnęła głową.

* * *

Skoro zapadła noc Rózia podprowadzona pod same drzwi leśnego domu, ostro

w nie załomotała, a po chwili stała już przed siedzącymi za pięknym stołem Słońcem, Księżycem, Wiatrem, Mrozem i Deszczem.

– Po cóż tu przyszłaś, dziewczynko? – zagadnął Wiatr.

– Byście mi dali nieco ognia, panowie.

– Nic za darmo! Nic za darmo! Najpierw nam powiedz, który z nas najładniejszy – Księżyc uśmiechnął się do Rózi szeroko. Tak szeroko, jak tylko Księżyc to potrafi.

Tymczasem ona, dokładnie przyjrząwszy się każdemu z osobna pogardliwie odęła wargi:

– Fi! Wszyscyście brzydcy! Słońce, bo oślepia i pali. Księżyc, bo blady niczym suchotnik.

Wiatr, bo dokuczliwy. Mróz, bo ostry. Ale Deszcz z was najgorszy, bo na nikim suchej nitki nie zostawi.

– Czy nie zmienisz zdania, dziewczynko? – zapytało grzecznie Słońce.

– Pewno, że nie!!! Wszyscyście brzydcy i wszyscy dokuczni! A teraz dawajcie ogień!

– Nagarnij go sobie z paleniska, ile tylko zdołasz unieść – odpowiedział Mróz.

* * *

Rózia spała dobrze i głęboko. Za to jej matka nie mogła zmrużyć oka, taka była ciekawa, ileż to złota zdobyła jej ukochana córeczka. Gdy zatem dzień zaświtał, obudziła ją potrząsając energicznie za ramię, a później pędem udały się do ogrodu i dalejże odgarniać ziemię, którą w nocy przysypały przyniesiony żar. Lecz pracowały na próżno. Między grudkami żółtawej gliny nic nie zabłysło i nic nie zaśniło. Kupa czarnych, wygasłych węgli spoczywała na dnie wykopanego dołka. I nic oprócz niej.

Jeszcze nie dowierzały. Jeszcze owe węgle przetrząsały, z nadzieją, iż znajdą między nimi choćby jedną, jedyną złotą monetę. Niestety...

Usmolone po łokcie, ze smętnie pozwieszanymi głowami, wlokąc się noga za nogą, wracały do domu.

– Róziu, córeczko...

– A co, mamó?

– Odbierzemy złoto Kasi. Na co temu kocmołuchowi takowy skarb?

– Pewnie, że odbierzemy.

Lecz na próżno macocha szukała swojej pasierbicy. Kasia przeczuwając bowiem, co ją może spotkać, spakowała swoje cudownie zdobyte pieniądze w węzełek i ruszyła w świat, szukać szczęścia.

Ja tak dokładnie nie wiem co było dalej, ale powiadają ludziska, że zawędrowała do pięknego, ludnego miasta, gdzie kupiła sobie wygodny dom i wyszła za mąż za najprawdziwszego hrabiego, z którym długie lata żyła w szczęściu i dostatku.

A kiedy ojciec na starość po raz drugi owdowiał i został się sam na świecie jak palec, Kasia przyjęła go pod swój dach, i pielęgnowała czule, nie chcąc pamiętać o tym, iż niegdyś nie bronił jej i nie ochraniał przed krzywdami, jakie jej wyrządzała macocha.

Opowieść o czarodziejskiej lasce

Dawno, dawno temu, w pewnej wsi leżącej nad brzegiem wąskiej, lecz głębokiej rzeki, stał młyn, a obok młyna obszerny i wygodny dom, który zamieszkiwał młynarz wraz z żoną i córką jedynaczką.

Trochę dalej, za zakrętem rzeki, znajdowała się wieś. Ot, taka zwyczajna wieś. Wzdłuż wyboistej drogi – po obydwu jej stronach – stały chałupy niskie, jakby wpół zapadłe w ziemię.

Jedne zbite z grubo ciosanych bierwion sosnowych, inne zlepione z kamienia, ale wszystkie o jednakowo koślawych kominach, słomianych strzechach i wszystkie wybielone wapnem.

Przed chałupami, w miniaturowych ogródkach, rosły wysokie malwy o różnobarwnym kwieciu, żółte i pomarańczowe nagietki i nasturcje, białe lilie, kamienne goździki i nieco ziół:

boże drzewko, melisa, maruna i mięta.

Z tyłu za chałupami były podwórza a w ich głębi drewniane, również strzechą kryte stodoły, chlewy, kurniki i stajnie. W niektórych obejściach kilka śliw, wiśni, krzywa jabłoń i grusza udawały sad.

Sennie płynęło życie i we wsi, i w młynie, życie któremu rytm wyznaczały pory roku i nic ponadto.

Rano obrządzano zwierzęta, dojono krowy, potem po skromnym śniadaniu wyruszano w pole, w południe posilano się obiadem, pod wieczór obrządzano zwierzęta, znów dojono krowy... Później pyzaty księżyc wypływał na ciemny granat nocnego firmamentu, wszystko ogarniała cisza i jedynie tylko psy poszczekiwały aż do rana, a gibkie koty wyruszały na łowy wśród pól.

Skoro niebo poczynało szarzeć, koguty donośnym głosem budziły ludzi

i zaczynał się nowy dzień.

Właśnie jednego takiego ranka pewien gospodarz, dość zamożny gospodarz, wysłał do młyna swojego parobka, który oprócz własnych rąk do pracy i połatanej kapoty na grzbiecie, nie posiadał niczego.

– Załaduj kilka worków zboża na furę, a rzeknij młynarzowi, aby się pośpieszył z robotą, bo mało co mąki zostało nam w domu.

Spełnił chłopak polecenie i prędko wyjechał z podwórza na drogę. Drewniane, okute żelaznymi obręczami koła, zaturkotały na wybojach, a po chwili wóz skrył się za zakrętem.

Zajechawszy przed młyn, ściągnął lejce, przywiązał je do koślawych sztachet płotu i począł przenosić worki z fury do młyna.

Skoro już skończył ową robotę i rzekł młynarzowi, co miał rzec, idąc do wozu omal nie zderzył się na podwórzu z piękną, dostatnio ubraną dziewczyną.

Była niezbyt wysoka, ale nadzwyczaj kształtna. Miała długie warkocze, z których jeden opadał jej na pierś, drugi zaś na plecy. Oczy zaś błękitne niczym czyste niebo w sierpniowy dzień, pąsowe, ślicznie wykrojone usta, łagodnie zarysowany podbródek i długie rzęsy kładące cienie na policzkach sprawiały, iż niejeden chłopak we wsi wzdychał ku młynarzowej córce.

Ona jednak jakoś do tej pory na żadnego z zalotników nie zwracała uwagi bardziej jeszcze czując się małą dziewczynką, niż dorosłą panną.

Lecz musiał przecie nadejść ów dzień, kiedy serce winno jej zabić żywiej na widok chłopaka. I dzień ten nadszedł akurat wówczas, gdy nasz biedny parobek przywiózł zboże swego gospodarza do zmielenia.

Na widok parobka młynarzówna poczuła dziwny ucisk w piersi i jakąś niedookreśloną tęsknotę. W jednej chwili zrozumiała, że nie żyć jej bez niego, że on i tylko on i, że żaden inny nie może ją poślubić.

Ale nie dała tego poznać po sobie i czym prędzej pobiegła do domu. Za to

chłopak stał jak skamieniały, długo jeszcze wpatrując się w drzwi wejściowe młynarzowej sadyby, w których znikła dziewczyna.

Od owej chwili żadne z młodych nie zaznało już spokoju. Choć serca stęsknione rwały ku sobie: on – nędzarz, ona – córka bogacza, mieli świadomość, iż nie dane im będzie wspólnie spędzić życie.

Ale dziewczyna nie wytrzymała męki i któregoś dnia rzekła rodzicom:

– Nie ma dla mnie życia bez Jaśka! Jeśli mnie za niego nie wydacie z dobrej woli, to i tak wezmę go sobie za męża choćby i bez waszego błogosławieństwa.

Próżno rodzice tłumaczyli, próżno przekonywali dziewczynę. Próżno prosili, ba! błagali nawet. Nie chciała słuchać ich próśb i wciąż powtarzała:

– Nie masz dla mnie życia bez Jaśka!

Cóż tedy młynarz miał uczynić? Nie pozostało mu nic innego, jak tylko być uległym wobec woli córki jedynaczki.

Któregoś niedzielnego popołudnia poprosił zatem parobka do siebie i przechadzając się z nim brzegiem rzeczki, wyłuszczył mu rzecz całą.

– Tylko niech ci się aby w głowie nie przewróci, Jaśku – ozwał się na koniec.

– Gdybym się nie obawiał, iż mi się dziewczucha od owej ochoty do żeniaczki z tobą rozchoruje, anibym słuchać nie chciał o takim zięciu! Dla mnie zawsze będziesz parobkiem i niczym ponadto!

Upadł Jasiek na kolana przed młynarzem i całując po rękach zawołał:

– Dzięki wam, dzięki stokrotne! Jeśli będę miał waszą Kasię za żonę, niczego mi nie będzie trzeba więcej! Możecie mnie traktować jak najgorzej, a ja i tak będę szczęśliwy!

– Żeby to prawda była – mruknął młynarz pod nosem i wyjąwszy kilka monet z kieszeni, wręczył je parobkowi ze słowami:

– Idź, daj na zapowiedzi, boć przecie nie wypada, abym ja to czynił, albo moja córka.

* * *

W miarę upływu czasu, w miarę jak nieubłagane zbliżał się termin ślubu jego Kasi z ubogim parobkiem, humor młynarza ciągle się pogarszał, zaś młynarzowa chodziła z ustawicznie podpuchniętymi od płaczu oczami i przez łzy mówiła:

– Córúś, moja córúś, czy cię rozum opuścił, że chcesz iść za takiego dziada?

– Nie zaczynajcie, matko, od początku. Nie żyć mi bez Jaśka – odpowiadała dziewczyna. -

Nie żyć mi bez niego, rozumiecie?

* * *

W pewien wieczór, gdy słońce skryło się na zachodzie, a zorze ubarwiły horyzont szkarłatem, żółcią i fioletem, do drzwi młynarzowego domostwa ktoś zapukał gwałtownie.

Młynarzowa otwarłszy, zobaczyła stojącego na progu bogato odzianego szlachcica, który trzymając smoliściczarnego ogiera za uzdę, uklonił się grzecznie i zapytał:

– A nie przenocowalibyście mnie, kobieto?

– Jaśnie panie – odparła na to baba. – Toć do dworu nie będzie dalej jak mila. Jedźcie tam.

U nas, cóż, nie zaznacie wygod, ani nie skosztujecie jadła godnego waszego podniebienia.

– Pojechałbym, a jakże – ozwał się na to szlachcic – ale koń mi okulał. A zresztą to na jedną noc tylko.

– Tedy wejdźcie, panie. Wielki to zaszczyt dla nas, gościć tak znamienitą osobę

– rzekła młynarzowa i wprowadziła szlachcica do izby.

Posadziwszy go za stołem, jęła wraz z mężem nadskakiwać przybyłemu. Poczęstowała go kolacją, na którą podała smaczną jajecznicę z kielbasą, biały chleb i kompot z wiśni.

Szlachcic posilał się w milczeniu, strzelając oczami na śliczną Kasię. A co jej zajrzał w oczy, to mlaskał i aż się oblizywał.

Noc przeszła spokojnie. Za to gdy rankiem słońko rozpoczęło swą wędrówkę po firmamencie, a wróble poczęły się sprzeczać w gęstwinie olszy i wikliny porastającej brzeg rzeki, gość przyodziawszy się i zasiadłszy za stołem do śniadania, które mu akurat szykowała młynarzowa, w takie słowa ozwał się do niej:

– Co byście powiedzieli, gdybym się wam oświadczył o rękę Kasi? Prawdziwy to pączek różany, słodki a wonny. Nie jest mi równego stanu, ale co tam – pal lichu. Pokochałem dziewczkę od pierwszego wejrzenia, a przecie to, i pieniądze najwięcej w małżeństwie się liczą.

I tak trajkotał babie za uszami, tak ją przekonywał, tak się zachwalał, że ona nie bacząc, iż szlachciura ojcem – jeśli nie dziadkiem – mógłby być jej córki, bez wahania zgodziła się na ów ożenek.

Co prawda młynarz, który akurat nadszedł, próbował się przeciwstawić temu, mając na względzie, iż Kasia kochała innego, oraz że mu przyrzekł już jej rękę, wszak i szlachcic i własna żona zalali go potokiem słów, a ostatecznie przekonała pękata sakiewka z kozłej skórki, cała wypełniona złotymi monetami.

– Nie przejmuj się byle dziadem! Dałeś mu słowo, phi! Wielka mi rzecz! Pomyśl, przy jaśnie panu Kasi ptasiego mleka nie zabraknie, a przy Jaśku? Będzie biedę klepać całe życie!

Młynarz nic nie mówił. Ważył sakiewkę w dłoni, zaglądał do środka, przebierał pieniądze palcami.

– Niech to złoto będzie zapłatą za zrękowiny. Tylko żeby odbyły się zaraz

a gdy dopełnimy formalności, wezmę dziewczynę i natychmiast ruszymy do mojego zamku, by tam się złączyć węzłem małżeńskim.

– To macie zamek, panie?! – z podziwem zawołał młynarz.

– Ano mam. Solidny, stary zamek na szczycie stromej góry.

To ostatecznie przekonało młynarza.

Nie pomogły łzy Kasi. Nie pomogły jej prośby i błagania. Zaręczono ją z przybyszem, a zaraz potem szlachcic posadziwszy ją przed sobą na koniu, wbił mu ostrogi w bok i pocwałował drogą wiodącą na północ.

– Słuchaj stary – ozwała się młynarzowa po odjeździe córki z leciwym narzeczonym. Nie wiem czy mi się zdawało, czy nie, ale chyba widziałam, gdy nasz zięć siadał na konia, że spod kontusza wyrżał mu ogon.

– Nie zdawało ci się, matka. To samo spostrzegłem. I jeszcze gdy wiatr zwiął mu grzywkę z czoła, pokazało się coś jakby dwa niewielkie rogi.

– Matko Najświętsza! – zakrzyknęła młynarzowa. – Tośmy dziecko za czarta wydali!

– Za czarta, czy nie za czarta – odparł na to mąż, waząc w dłoni pękata sakiewkę z kozłej skórki – zawszeć jej lepiej będzie niż za Jaśkiem. Samaś mnie o tym przekonywała. Na złocie będzie sypiać a nie na słomie!

Nadszedł dzień, w którym Jasiek miał poprowadzić młynarzównę do ołtarza. Wystroił się w odświętną kapotę, której pożyczył mu na chwilę tak uroczystą gospodarz, i w otoczeniu drużbów pojechał po pannę młodą.

Gdy wóz umajony kwieciami i gałązkami jedliny zatrzymał się przed młynem, naprzeciw Jaśka wyszli młynarz i młynarzowa. Na ich twarzach malował się smutek i powaga.

Ów widok wzbudził jakieś niedobre przecucia w sercu pana młodego.

– Czy stało się coś niedobrego? – zawołał z niepokojem w głosie.

– Oj bardzo, bardzo niedobrego! – zajęczała młynarzowa. – Oj, córuś nasza,

Kasiu nasza!

Oj, nie masz już jej na świecie, nie masz!

Zbladł Jasiiek, a skurcz bolesny jakiś schwycił go za gardło.

– Jak to nie ma?! – zawołał. – Jak to nie ma?! Jeszcze wczoraj była, a dziś jej nie ma?!

Młynarz podszedł do chłopaka, położył mu dłonie na ramionach i z powagą w głosie rzekł:

– Ano, nie ma! – tu westchnął. – Poszła z rana zaczerpnąć wody z rzeczki i już nie wróciła.

Szukaliśmy jej z żoną lecz na próżno! Znaleźliśmy tylko chustkę, którą woda zniosła ku brzegowi i zaczepiła o gałąź wikliny.

Usłyszawszy takie słowa, ozwali się drużbowie do Jaśka:

– Nic tu po nas. Wracajmy do wsi!

Lecz ów pokręcił głową:

– Pójdę szukać jej ciała. Nie godzi się, by ryby go objadały. Niech spocznie w poświęconej ziemi. Tylem przecie jej winien.

Zwiesiwszy ze smutkiem głowę na piersi, udał się nad rzekę i ruszył z jej biegiem przed siebie. Szedł godzinę i drugą szedł, i wypatrywał baczenie, czy nie ujrzy ciała swej ukochanej.

Minęło południe, nadszedł wieczór, z daleka doleciało jego uszu smutne ryczenie krów wracających z pastwiska do obór.

Ptaki w gałęziach drzew i krzewów odprawiały swoje nieszpory, a od ziemi począł ciągnąć chłód. Uszedł Jasiiek wiele mil, ale daremnie. Głodny był srodze i nogi go bolały. Posilił się zatem przygarścią dzikiego szczawiu, którego liście wyrastały ponad murawą, co chociaż stępiło nieco łaknienie, ale jednak go nie zaspokoilo.

Nieopodal widniała zwarta ściana sosnowego lasu. Pomyślał więc sobie, iż

najlepiej uczyni, jeśli tam poszuka schronienia za noc, a następnego dnia powróci do wsi, zwątpił bowiem, iż uda mu się odszukać ciało Kasi.

W borze panował już półmrok, nie chciał więc Jasiak nadto zapuszczać się w jego głąb i pilnie rozglądał się dookoła, wypatrując miejsca sposobnego do snu.

I oto naraz, pomiędzy smukłymi pniami drzew zoczył poblask czerwonożłoty, jaki mogą dawać tylko płomienie sutego ogniska.

Skręcił w ową stronę, a uszedłszy kilkadziesiąt kroków zaledwie, wyszedł na niewielką polankę zarosłą trawą i ziołami, pośrodku której płonęło ognisko. Blisko niego, wprost na ziemi, siedział jakowyś staruch o twarzy gęsto pooranej zmarszczkami, dłoniach kościstych, powykręcanych niczym uschłe gałęzie i białej, mocno przerzedzonej, czuprynie. Obok starca leżała żebracza torba i sękata pała wystrugana z jednego konara drzewa.

– Witajcie, dziadku – przywitał się Jasiak. – Nie boicie się sami w borze po nocy siedzieć?

Staruch wzruszył ramionami.

– A czegoż to niby miałbym się bać? – odpowiedział pytaniem. Swoje przeżyłem, biedy zaznałem, niestraszna mi śmierć. Zresztą, czy siak, czy owak, wcześniej, czy później, przecie przyjdzie po mnie kostucha.

– Pozwolicie, że usiądę obok was? – zapytał młodzieniec. – Ogrzeję się nieco, bo chłód i wilgoć ciągną od trawy, a poza tym we dwójkę raźniej.

– Usiądź, usiądź. Weselej mi będzie.

Otworzył dziad torbę i począł wyciągać z niej wiktuały. Czegoż tam nie było?! Kilka skibek chleba, spory kawał sera, pentelko kiełbasy, zyzelek wędzonego boczku...

– Nieźle się wam dziadku powodzi – ozwał się Jasiak. – Takich dobroci to ja i na Wielkanoc nie widuję!

– Cóż, nieźle – przytaknął żebrak. – A wszystko to dzięki łasce boskiej

i miłosierdziu ludzkiemu. Ale bierzmy się do jedzenia, bośmy pewnie obydwaj głodni.

Nie trzeba było parobka zbytnio zachęcać. Rzucił się na jedzenie z prawdziwie wilczym apetytem. Podjadłszy sobie, położył się obok ognia na boku i począł rozmawiać ze staruchem.

Wypytywał go o jego żywot, o wędrówki po świecie, a w końcu także – wspomniawszy z rozrzewnieniem Kasię – zwierzył się mu ze swego strapienia.

A żebrak jakby tylko czekał na to.

– Nie trap się przed czasem, Jaśku – rzekł.

– Jakże mam się nie trapić, skorom raz na zawsze stracił swe kochanie?

Pokręcił dziadek głową:

– Oj, nie wierz w to, co ci jej rodzice rzekli. Żyje twoja Kasia, srogą mękę cierpi. Oczy wypłakuje po tobie.

– Skądże to wiecie?! – zawołał parobek, gwałtownie siadając na murawie.

– Ja więcej wiem, niż mógłbyś przypuszczać i więcej mogę, niż patrząc na mnie można by sądzić. Jeśli nie stracisz wiary, a nie ulęknieś się przeciwności, możesz odzyskać swoją narzeczoną.

– Jakże ją mogę odzyskać, skoro nie wiem kędy jej szukać?

– Tego mi rzec nie wolno. Dam ci tylko jedną wskazówkę – idź wciąż na północ, sił nie szcędząc, a gdy dotrzesz w pobliże miejsca gdzie Kasia przebywa, samo serce ci podpowie, żeś do niej trafił.

– Ale musisz wiedzieć – ciągnął starzec – że wiele cię czeka przeciwności, wiele trudu!

walka nawet. Czy starczy ci odwagi?

– Starczy! Starczy! Skoro wiem, że żyje nie ustane póki jej nie znajdę!

– Jeśli tak, jeśli twoja miłość jest silna, a postanowienie mocne, weź Jaśku ów kostur wystrugany z gałęzi rajskiej jabłoni. On cię obroni przed każdym wrogiem,

który stanie na twojej drodze. Jeśli walczyć ci przyjdzie, wystarczy iż po trzykroć ową laską uderzysz o ziemię, a strach wielki porazi twego przeciwnika i łatwo go pokonasz. Mając tak cudowny przedmiot nie musisz się lękać nikogo – czy będzie to zwierz, człowiek, czy nawet szatan, ty zawsze zwyciężysz.

Chciał Jasiak jeszcze o coś zapytać, ale nie zdążył, bo starzec począł przemieniać swą postać, aż stał się młodzieńcem precudnej urody, odzianym w świetliste szaty i ze skrzydłami ze śnieżnobiałych piór u ramion. Skoro przemiana dokonała się całkowicie, falująca mgiełka zakryła anioła, a gdy rozwiął ją wiatr, oprócz Jaśka nie było nikogo na polance.

Może parobek by myślał, iż wszystko to mu się przyśniło, gdyby nie pozostało ognisko i kostur sękaty leżący obok niego.

* * *

Gdy zaświtał poranek następnego dnia, Jasiak pełen nadziei, posiliwszy się zapasami z torby, którą zostawił mu anioł, ruszył w świat.

Szedł niestrudzenie, mijał wsie i miasta, przekraczał rzeki, aż oto dotarł do niebotycznych gór i wtedy właśnie jakieś niejasne przeczucie zaczęło kiełkować w jego umyśle. Przeczucie, że zbliża się do kresu swej wędrówki.

Zapucił się śmiało w las świerkowy, później wchodził w dolinki, których dnem płynęły wartkim nurtem płytkie strumienie o kryształowoprzeźroczystej wodzie, aż na koniec stanął u podnóża góry, na wierzchołku której wznosił się potężny zamek cały obwiedziony murem, z licznymi basztami i wieżami.

Do jedynej bramy zamku wiodła kamienista dróżka. Była ona tak wąska, iż nie mogły się na niej wyminąć dwie karety.

Po obydwu jej stronach rosły liczne krzewy bzu koralowego, z którego kruchych gałęzi zwieszały się ciężkie grona jaskrawoczerwonych owoców. Bujne

paprocie stanowiły zwarty gąszcz i tylko gdzieniegdzie soczystą ich zieleń krasił kwiat jaki.

Nie uszedł Jasiak ową dróżką i stu kroków nawet, gdy usłyszał stukot końskich kopyt, a po chwili zobaczył jadącego w jego kierunku bogato odzianego mężczyznę o dumnej minie i wyzywającym spojrzeniu.

Zbliżywszy się do parobka, jeździec ściągnął cugle i zatrzymał wierzchowca:

– Po cóż przybłądo udajesz się do zamku? – zapytał.

– Sam nie wiem po co, ale serce każe mi iść tam właśnie. Nie wiecie panie czy nie ma tam ślicznej młodej dziewczyny o imieniu Kasia?

– Dziewczyny, powiadasz? A po cóż ci to wiedzieć? Wara ci dziadu od dziewczyny z zamku!

– A zatem jest tam! – z radością i nadzieją w głosie zawołał Jasiak.

– Tego nie powiedziałem – odparł jeździec. – Ale, ale, cóż to za pałę dierzysz w dłoni?

– To moja broń, jaśnie panie.

– Broń? Nie wygląda na broń, raczej na niezgrabną laskę.

– Może i nie wygląda, ale zapewniam was, że posiada swoją wartość.

– Hm, cóż. Skoro tak twierdzisz, to ci wierzę. Słuchaj – ciągnął dalej – jeśli to istotnie broń, to sprzedaj mi ją.

– A na cóż wam, panie, pałka, skoro macie szablę u boku, a parę pistoletów w olstrach?

– Nie do obrony przecie! – zawołał jeździec. – Cóż, jakby ci to wytłumaczyć. Ja zbieram broń wszelaką i wiem ją dla ozdoby na ścianach sali biesiadnej mojego zamku.

To mówiąc sięgnął po Jańską pałkę, a uchwyciwszy jej koniec, szarpnął. Ale chłopak, chociaż nie spodziewał się tego i pozwolił sobie wyrwać ją z rąk natychmiast rzucił się na szlachcica, aby odzyskać swą własność.

– Ściągnął go z konia i zwarli się oba, napierając ze wszech sił jeden na drugiego, lecz jeden drugiego nie mógł przemóc. Żaden też nie mógł w pełni zawładnąć laską, o którą szła sprawa.

Dyszał Jasiek ciężko, ramiona mu mdlały i już, już uległyby przeciwnikowi, gdyby szczęśliwym trafem nie wyrwał mu pałki.

Gdy tylko zwarł na niej obie swoje dłonie, nie czekając dłużej, uderzył nią po trzykroć o ziemię, aż kamienie zajęczały głucho.

I wówczas stała się rzecz cudowna. Przeciwnik Jaśka zadrżał na całym ciele, twarz stężała mu w grymasie przerażenia, począł szczekać zębami i cofać ku wierzchowcowi, który skubał trawę na poboczu.

Natarł nań Jasiek z całym impetem, wywinął sękaczem młyńca nad głową i wtedy zobaczył coś, co z nagłą osadziło go na miejscu.

Oto szlachcic raptownie skurczył się w sobie, twarz mu poczerwieniała, zęby wyostrzyły, na czole pojawiły niewielkie, ale ostre rogi, stopy przemieniły w kopyta, u zadka zadyndał ogon, a u ramion wyrosły błoniaste, do nietoperzowych podobne, skrzydła. Zaskrzeczał przeraźliwie i głuchym głosem zawołał:

– Och, gdybyż nie owa laska z konaru rajskiej jabłoni, już bym cię zadusił, przybłądo!

Skoczył na konia, zawrócił do zamku i popędził kamienistą dróżką niecąc iskry, gdy żelazne podkowy rumaka uderzały o skałę.

Wiele chwil musiało minąć, zanim Jasiek ochłonał z przerażenia i ruszył w dalszą drogę.

Po owym spotkaniu był już pewny, iż jego Kasia jest tam właśnie, w ponurym zamczysku piętrzącym się zwalistą sylwetką na szczycie góry.

Szedł wytrwale, chociaż zmęczenie ogarniało go coraz większe. Szedł i bacznie rozglądał się wkoło, pełen lęku, iż oto czart znowu może go zaatakować.

Lecz nie ujrzał straszidła już więcej w jego ohydnej postaci. Tylko żmija, sycząc, wysunęła się spomiędzy paproci usiłując ukąsić chłopaka, ale przegnał ją precz bijąc laską w ziemię. Później dzik wyskoczył na niego, gibki ryś bezszelestnie pomykając wypatrywał dogodnego momentu do ataku, a bury niedźwiedź ryczał wśród drzew...

Ale próżne czartowskie zakusy. Jasiek stukał i zwierzęta umykały przestraszone. Gdy nareszcie stanął na wierzchołku góry przed zamkową bramą, pewny był, iż teraz już bez trudu odzyska swoją ukochaną. Wszakże nie pokonał jeszcze wszystkich przeciwności.

Zamajaczyła przed nim postać czarta, siwą mgiełką otoczona, a do uszu dotarł śmiech budzący dreszcz zgrozy i w tej samej chwili Jasiek poczuł, iż nogi przyrosły mu do ziemi.

Mocował się sam ze sobą usiłując oderwać stopy. Mocował tak bardzo, że aż pot uperlił mu czoło. Stukał laską o ziemię, by odgonić złe, lecz na darmo. I dopiero gdy gromkim głosem jął błagać o wsparcie anioła spotkanego w lesie, czar prysnął i chłopak mógł ruszyć w dalszą drogę.

Brama zamczyska była szeroko otwarta. Przeszedł pustym dziedzińcem, a odgłos kroków odbijał się echem od kamiennych ścian i murów obronnych.

Wszedł do gmachu. Wędrował po komnatach, zaglądał we wszystkie zakamarki, nie ominął piwnic i poddaszy, ale nigdzie nie natknął się na ślad ukochanej.

I gdy już zrezygnowany miał skierować się do wyjścia, jego uszu dobiegło westchnienie i jakby łkanie jakowejś nieszczęśliwej istoty.

Podbiegł w tamtą stronę i za załomem ciemnego korytarza dojrzał niewielkie żelazne drzwiczki, spoza których dochodziły owe odgłosy.

Pchnął je z całych sił, a one – nie stawiając oporu – otwarły się na całą szerokość. W maleńkiej izdebce na drewnianym zydłu siedziała kobieca postać:

Po stroju, włosach, po sylwetce poznał, iż to jego Kasia, jego miłość, ta której przez tyle dni szukał, dla której przewędrował wiele mil, cierpiąc głód i pragnienie.

Krzyknął uradowany i rozwarłszy szeroko ramiona podbiegł do niej. A wówczas dziewczyna uniosła do góry głowę, ukazując twarz dotychczas niewidoczną. Spojrzał na nią Jasiak i... oniemiał ze zgrozy.

Była to bowiem twarz przerażająca. Miała sinofioletową barwę, gęstą sieć zmarszczek, szczeciniasty, siwy zarost na brodzie i pod nosem. Nos zaś wielki i jakby spuchnięty, upstrzony był licznymi brodawkami. Czerwone, zażawione, zaropiałe oczka i powieki pozbawione rzęs dopełniały obrazu.

Cofnął się Jasiak ze wstrętem, nie mogąc znieść odrażającego widoku. Kasia zaś zawołała:

– A zatem nie zapomniałeś o mnie! Przyszedłeś! O, dzięki ci mój kochany, dzięki! Byłam ci wierna przez wszystkie te dni, nie zgodziłam się zostać małżonką czarta, a ów z zemsty oraz by przełamać mój opór, zamknął mnie w tej izdebce.

Wstała i zbliżając się do chłopaka, ciągnęła dalej:

– Zabierz mnie, zabierz stąd Jaśku! Nie wracajmy do rodzinnej wsi! Idźmy w świat, połączmy nasze losy w jeden los!

A młodzieniec cofał się przed nią odwracając wzrok, by nie patrzeć na szpetne oblicze dziewczyny.

– Uciekać, uciekać stąd czym prędzej! – huczało mu w głowie.

– Cóż za koszmar! Cóż za nieszczęście! Wszystko mógłbym znieść, ale nie to, nie życie przy boku potwora!

Już brał ręką za klamkę, już przestępował próg, gdy oto naraz myśl inna go nawiedziła:

– Ale czy godzi się opuszczać nieszczęsną, wydawać bezbronną na łup czartowi? Czy po to przewędrowałem wszystkie te mile, głodując i marznąc, cierpiąc od pragnienia i upału, aby -

gdy cel osiągnąłem – uciec niczym ostatni tchórz?

I nie wiedział, co czynić, i zmagał się ze sobą, a Kasia spostrzegłszy, iż z jej ukochanym dzieje się coś dziwnego, zatrzymała się w pół drogi, przejęta lękiem, że oto być może wcale nie nadszedł dla niej kres udręczenia.

Popatrzyła błagalnie w oczy Jaśka i po jej policzkach stoczyły się dwie wielkie łzy. Później zaś wróciła na zydel pod ścianą, na którym siedziała, gdy chłopak przekroczył próg owej izby.

Ukryła twarz w dłoniach, jej piersią targnął szloch, a gardło zalała gorycz smutku.

Wtedy w sercu młodzieńca litość dla tej nieszczęsnej istoty przemogła wstręt. Podbiegł do niej, przygarnął do piersi i obsypał włosy tkliwymi pocałunkami.

– A zatem nie straciłam cię Jaśku?... Nie straciłam... – wyszeptała dziewczyna.
– Nie zawiodłam się na tobie. Dzięki ci, dzięki!

Uniosła do góry oblicze, a Jasiak chciał odwrócić wzrok, by nie oglądać jej szpetoty. Lecz o dziwo, zmarszczki gdzieś znikły, rysy odzyskały dawną urodę, a płeć barwę płatków białych lilii.

W tej samej chwili, z głębi zamkowych korytarzy dobiegł ryk straszny i łoskot. To czart w bezsilnej wściekłości miotał się po komnatach, nie mogąc przeboleć poniesionej klęski.

Ale tych dwoje już się go nie lękało. Ich czysta miłość, która pokonała każdą przeszkodę i zwyciężyła złość diabelską, chroniła narzeczonych niczym puklerz przed wszelkim złem.

Bo wielka i prawdziwa miłość jest tym, czego każdemu z nas w życiu potrzeba. Jest tym, co rozświetla szarzyznę codzienności, pozwala odnaleźć cel istnienia, sens tego co czynimy, umniejsza cierpienie i prostuje dróżki, którymi wędrujemy od poranka narodzin do zmierzchu starości.

Gniew jest złym doradcą

Dawno, dawno temu – ale jak dawno, nie pytaj mnie mój miły Czytelniku, bo tego akurat nie wiem – w pewnej wsi położonej na skraju prastarego sosnowego boru, żył ojciec, który miał trzy córki.

Jego żona, a matka dziewcząt, zmarła przed laty, kiedy dzieci były zupełnie małe i od tamtej pory mieszkali tylko we czwórkę, a dobrze im było ze sobą, choć nie zawsze łatwo i nie zawsze lekko. Ot, jak to w życiu bywa.

Nie raz i nie dwa namawiali ludziska ze wsi naszego gospodarza, naszego Józefa (bo Józef mu było na imię), żeby nie trwał uparcie we wdowieńskim stanie, lecz poszukał sobie nowej żony, zaradnej, a gospodarnej, takiej która by umiała zająć się domem i pomogła mu w wychowaniu dzieci.

Ale on bał się sprowadzić obcą kobietę pod swój dach. Bał się, że mogłaby nie pokochać jego córek, dla których byłaby tylko macochą. A one przecież stanowiły dlań cały sens i całą treść życia.

Nie było im łatwo. Chociaż uprawiali spory splacheć ziemi, piaszczysta ona była i nieurodzajna, tak iż z trudem tylko mogła ich wykarmić.

Lecz nie narzekali, zadowalając się owym, co im, nie zawsze łaskawy, los zsyłał.

Kiedy dziewczynki były malutkie, samotnie borykał się z życiem, ale kiedy z dzieci stały się podlotkami, na miarę swoich sił i możliwości pomagały ojcu.

A to posprzątały obejście, zamiotły izbę, zrobiły przepierkę, ugotowały obiad, nakarmiły kury, zadały bydłu siana, czy wydoiły krowy.

Nasz Józef cenił sobie ową pomoc i cieszył się, dziękując niebu, że dało mu dobre i posłuszne potomstwo.

Bo istotnie, wszystkie trzy dziewczyny bardzo różniły się od swoich rówieśnic.

Nie zaprzętały im głów myśli płoche i swawolne. Śmierć matki chyba to sprawiła, że przed czasem dojrzały, stając się poważne i odpowiedzialne.

Lecz nie myślcie sobie, iż w chałupie Józefa smutno było i ponuro. O nie! I ojciec, i córki mieli wesołe usposobienie i często lubili żartować.

* * *

Zapadł jesienny, wczesny zmierzch. Wiatr za oknem wył, miotąc strugi dżdżu, które bębniły o maleńkie szybki jedyne okienka izby, w której siedział Józef z dziewczętami.

Konary rosnącego na podwórzu ogromnego wiązu, skręcały się i ugiwały pod uderzeniami gwałtownych podmuchów wichury.

Burek uwiązany na długim konopnym postronku, jakby rozumiejąc, że w taką pogodę żaden zły człowiek nie zjawi się w ich obejściu, podkuliwszy ogon, ze skomleniem skrył się w swojej niezbyt dużej budzie, zbitej z nieheblowanych sosnowych desek.

Tymczasem w izbie, pod kuchennym piecem, rozpalono ogień, a z garnka unosił się smakowity zapach barszczu gotowanego na mocno uwędzonej w jałowcowym dymie, kielbasie.

Lampa naftowa zawieszona na wielkim gwoździu wbitym w ścianę rzucała żółtawy poblask, kładąc po kątach cienie, które ożywały, gdy płomyk poruszany lekkuchnym powiewem, drgał niespokojnie.

Skoro wieczerza się ugotowała, najstarsza z córek ponakładała na talerze po kilka nieutłuczonych, całych, ziemniaków, po kawałtku kielbasy (którą ojciec dostał od bogatego sąsiada za pomoc przy orce) i na koniec, nie skąpiąc go, naląła barszczu.

Zasiedli wszyscy razem, cała czwórka przy wspólnym stole i ze smakiem

zajadali tak wyborną wieczerzę, jaka niezbyt często się im trafiała.

Szczególnie smakowała wszystkim owa wonna kiełbasa, uchodząca w tej rodzinie za wyjątkowy przysmak, jako że z rzadka tylko ją widywali, spożywając na co dzień zwykle postne posiłki.

Skoro sobie podjedli do syta, Józef rozparł się wygodnie na swoim zydlu i popatrzawszy z czułością na córki, zapytał:

- No, powiedzcież mi dziewczyny, a kochacie wy aby swego ojca?
- Pewnie, tatku, pewnie! – potwierdziły wszystkie trzy zgodnym chórem.
- A czymże mnie która z was kocha? – indagował ojciec dalej.
- Ja cię, ojczy, kocham miodem – powiedziała najmłodsza Marysia.
- No, no! To dopiero będę miał słodkie życie! – ucieszył się ojciec.
- A ty czym mnie kochasz Jadziu? – zwrócił się do średniej.
- Ja cię kocham cukrem!
- Też nie najgorzej!

Józef uśmiechnął się pod wąsem i z zadowoleniem gładził czuprynę.

A teraz twoja kolej, Rozalko. Teraz ty mi odpowiedz.

- Ja zaś, mój tato, kocham cię solą.
- Czym?! – Józef nie od razu zrozumiał, co powiedziała Rozalka.
- No przecież mówię, solą.

Tego się nie spodziewał. To on tak bardzo miłuje ową dziewczynę. Zrobiłby dla niej wszystko, ba! życie by oddał, gdyby tego było trzeba, a ona mu tu takie rzeczy opowiada...

Solą!...

W Józefie począł wzbierać gniew. Z mocą uderzył pięścią w stół, aż z brzękiem podskoczyły naczynia. Poczzerwieniał na twarzy, i tchu mu zabrakło.

- To ty taka?! Taka?!!!

Rozalka przestraszona spojrzała na ojca, nie rozumiejąc czemu na nią krzyczy,

waląc przy tym pięścią w stół i groźnie wymachując rękoma.

A tymczasem on wrzeszczał dalej:

– Ach, niewdzięcznico! Skroś taka, to ja cię więcej nie chcę znać! Precz mi z domu!

Poszukaj sobie innego miejsca w świecie, bo pod moim dachem już go nie masz! Wynocha!

Kiedy dziewczyna zrozumiała wreszcie, o co ojcu chodzi, zanosła się płaczem i nie oglądając się nawet, rozwarłszy drzwi, wybiegła z chałupy.

Wiatr i deszcz smagały ją po całym ciele, ale ona nie zważając na to, biegła przed siebie, het! gdzie oczy poniosą.

Rychło opuściła wieś i pomaszerowała szerokim gościńcem prowadzącym prosto, jak strzełił, ku stolicy.

Tymczasem ojciec, kiedy minął już kęs czasu, ochłonął nieco z gniewu i rozważywszy teraz wszystko na spokojnie, doszedł do przekonania, iż źle, a nawet bardzo źle uczynił, wypędzając najstarszą córkę z domu.

Skoro się zatem zmitygował, przywdział kapotę, skórzane buty z cholewami, na głowę nacisnął okrągłą czapkę z daszkiem i ruszył na poszukiwanie Rozalki.

Ciemno było, dżdżysto i ponuro, a ponadto nie wiedział, w którą stronę i dokąd to mogła ona uciec.

Obszedł więc wszystkich krewnych i znajomych, u których spodziewał się znaleźć dziewczynę – lecz na próżno. Przepadła – niczym kamień w wodę!

Oj, nie mógł Józef spać tej nocy, nie mógł. Co i raz podnosił się i siadał na posłaniu, nasłuchując czy nie dobiegną go kroki powracającej Rozalki.

Nad ranem przestało padać, a i wiatr ucichł. Z pierwszym brzaskiem, kiedy koguty jęły pisać po zagrodach, ruszył Józef ponownie na poszukiwanie dziewczyny.

Przewędrował cały powiat – wszystkie okoliczne wsie i miasteczka. Na próżno

przecie rozpytywał o zaginioną. Nikt nigdzie nie widział Rozalki.

Po blisko dwu tygodniach dał wreszcie za wygraną, uświadamiając sobie, iż w domu ma jeszcze dwie córki i obowiązki względem nich.

Wzdychając zatem, z ciężkim sercem i sumieniem nabrzmiętym wyrzutami, powrócił do rodzinnej chałupy.

I od tamtej pory już nic nie było po dawnemu. Radość opuściła szczęśliwą dotąd rodzinę i smutek stał się ich współdomownikiem.

* * *

Mijały dni, miesiące i lata. Marysia i Jadzia dorosły i założyły własne rodziny. Józefowi zaś posiwiła czupryna i przygarbiły się plecy.

Robak żalu, smutku, nieustanny wyrzut sumienia gryzł go i dręczył, nie dając chwili spokoju.

Nigdy bowiem nie pogodził się z faktem utraty Rozalki i każdego dnia – rano i wieczorem – przeproszał Boga za grzech jakiego się dopuścił wobec Niego i wobec własnego dziecka, błagając jednocześnie o to, iżby dane mu było kiedyś naprawić wyrządzone zło i uzyskać przebaczenie córki.

* * *

Któregoś czerwcowego poranka, gdy słońce wypłynąwszy spoza lasu na firmament rozświetliło wszystko dookoła złocistymi promieniami, czyniąc świat pięknym i radosnym, poprosiwszy uprzednio Marysię, by zaopiekowała się chałupą, dobytkiem i zwierzętami, spakował Józef nieco żywności do węzełka i wzięwszy w dłoń podróżny kostur, puścił się het! w świat, z nadzieją, iż tym razem los okaże się łaskawszy, że tym razem odzyska przed laty utraconą córkę.

Wędrował tak przez wiele dni i przez wiele tygodni. Dawno już przeminęła pora żniw, a liście na drzewach pożółkły i poczerwieniały, wieszcząc tym samym nadchodzącą jesień, a Józef nie tylko nie odnalazł Rozalki, ale nawet nie natrafił na jej najmniejszy ślad.

„– Przemierzę jeszcze tylko ulice stolicy. Może tutaj ją spotkam?... A jeśli nie, wrócę w rodzinne strony, pod rodzinną strzechę, przepędzę tam zimę, a z wiosną na nowo ruszę na poszukiwania” – pomyślał.

Żywność zabrana ongiś w węzełku dawno mu się już była skończyła. Skończyły mu się też i pieniądze. Cierpiał więc biedę, żyjąc wyłącznie tym, co mu czasem ludzie z litości dawali, nocując, gdzie Bóg pozwolił: w zaroślach, pod mostami, a z rzadka tylko w izbach, bo mało było takich, którzy nie baliby się wpuścić włóczęgę pod swój dach.

Wędrując zatem stołecznymi ulicami zastanawiał się Józef, gdzie tym razem skłoni głowę.

Wielkiego miasta nie znał, a ponadto wzbudzało ono w nim lęk.

Jakże się więc ucieszył, gdy oto naraz posłyszał za sobą kobiecy głos:

– Nie macie gdzie nocować, ojczulku? Noclegu szukacie?

Obejrzał się. Stała przed nim dorodna i urodziwa kobieta, licząca może trzydzieści, może trzydzieści dwa lata.

– Oj! Zgadła pani, zgadła. Noc się zbliża, a jam tu samotny i zagubiony.

– Zatem chodźcie ze mną, a ja was przenocuję.

Poczłapał Józef posłusznie za nieznajomą, ciesząc się w duchu i gorąco dziękując Bogu za to, iż przynajmniej tej nocy nie będzie musiał spędzić pod gołym niebem.

Minął spory kęs czasu i wiele przemierzyli ulic i zaułków, aż wreszcie stanęli przed okazałą kamienicą, której fasada zdobna była głowami aniołków, a pomalowana na ciemnożółty kolor.

Izdebka, do której kobieta wprowadziła Józefa była niewielka, ale schludna i przytulna.

Wpodle ściany, na której wysoko wisiał obraz Matki Boskiej, a poniżej makatka z wyhaftowanym jeleniem na rykowisku, stało drewniane, solidne, dębowe łóżko, na którym piętrzyły się dwie wielkie poduchy i kopiasta pierzyna.

Na okiennym parapecie stały rzędem doniczki z kwitnącymi różowo, czerwono i biało pelargoniami.

Nieduży stół na środku, cztery krzesła wokół niego i sosnowa szafa w kącie, dopełniały umeblowania.

– Siadajcie, proszę – kobieta gestem dłoni zaprosiła Józefa do stołu.

Przysiadł tedy nieśmiało na brzeżku krzesła, czekając co też będzie dalej.

– A nie zjedli byście czego, ojczulku? – zagadnęła kobieta.

– A pewnie, pewnie, moja pani. Głodnym okrutnie, bo już ze trzy dni będzie, jak się posilam lada jakimi tylko okruchami chleba.

– Poczekajcie trochę, a ja zaraz nagotuję barszczu, kartofli, a i omasty wam nie pożałuję.

Powiedziawszy to wyszła do sąsiedniego pomieszczenia, w którym mieściła się kuchnia.

Józef tymczasem wsparłszy głowę na dłoni, przymknął oczy i nie wiedząc kiedy, usnął.

Taki był zmordowany.

Obudziło go z razu delikatne, a potem dość energiczne potrząsanie:

– Ojczulku, ej! ojczulku! A zbudźcie się przecie!

Rozwarł zatem powieki, przetarł je pięściami i zobaczywszy ustawioną przed sobą miskę wypełnioną aż po wręby kartoflami i barszczem, w którym pływały duże i tłuste skwarki, nie czekając nawet na zaproszenie, ani jakąkolwiek zachętę, pochwycił łyżkę, a nabrawszy nią kartofli z barszczem, poniósł do ust.

Kiedy jednak przełknął pierwszy kęs, skrzywił się nieznacznie, bo mu potrawa – choć tak wonna i tak tłusta – wcale nie smakowała.

– Moja dobra pani, widzi mi się... widzi mi się... – mówił nieśmiało – żeście zapomnieli jedzenie posolić. Przecie bez soli strawa nie ma nijakiego smaku.

Kobieta bez słowa podała mu solniczkę, a gdy już doprawił ów barszcz z kartoflami, rzekła:

– To powiadasz, ojcze, że bez soli strawa ci nie smakuje? A gdym ci powiedziała, przed laty, że cię kocham solą, toś mnie precz przepędził z domu...

– Rozalka? – wyjąkał zdumiony Józef. – Ty jesteś Rozalka?

– Ta sama...

– Dzięki Bogu! Dzięki Bogu! Znalazłem cię wreszcie... Czy starczy ci serca, żeby wybaczyć mi krzywdę, którą ci niegdyś wyrządziłem? Już jej nie naprawię. Nie odwrócę tych lat łez i poniewierki, jakich żeś pewnie przez moją nierozumną złość zaznała.

Ale chciałbym chociaż umierać wiedząc, że mi odpuściłaś...

– Dawnom ci już wybaczyła, ojcze. Już na drugi dzień po tym, jak mnie precz przegnałeś.

– Więc czemu nie wróciłaś do domu, córeczko?

– Duma, tatku. Zła дума nie pozwoliła mi na to. Po równo twojej, jak i mojej winy w tym, żeśmy tyle bólu w ciągu owych minionych lat doznali. Po równo...

– Wrócisz ze mną, Rozalko, do rodzinnej chaty? – nieśmiało zapytał Józef.

– Nie... Na wsi bym już nie umiała żyć... Po tylu latach w mieście... To ty lepiej zostań ze mną. Dość się już napracowałeś w życiu. Pora, byś odpoczął. Pora, by ktoś się tobą zaopiekował na stare lata. Nie mam męża, nie mam dzieci, wiedzie mi się nieźle. Będzie ci u mnie dobrze... Zostaniesz?...

– Zostanę... Rozalko...

O pastuszku, owcach i Wyspie Szczęśliwości

Działo się to dawno, dawno temu. Jak dawno, tego nie wiem, ale zapewne w czasach, gdy znaczną połąć kraju porastały puszcze, czyste rzeki toczyły swe wody do czystych mórz i jeszcze co poniektórzy ludzie rozumieli mowę zwierząt, a niektóre zwierzęta potrafiły mówić ludzkim głosem. Słowem, działo się to na długo przed narodzinami naszych pradziadków.

Na skraju niewielkiej wioski, która rozlokowała się na zboczu wapiennego wzgórza, w starej, rozwalającej się chacie, mieszkał pewien chłopiec. Mieszkał sam, bo nie miał nikogo na świecie.

Nie był już dzieckiem, nie był też jednak i dorosłym i chociaż bardzo tego potrzebował, trudno mu było wynajść się do jakiejś roboty. Bogaci gospodarze z lekceważeniem spoglądali na jego wątłe ciało i odmawiali mu zatrudnienia słowami:

– Szukaj szczęścia gdzie indziej. Przecie ty więcej zjesz, niż wypracujesz!

Chodził więc chłopak ustawicznie głodny i smutny, marząc o jednym tylko: aby się kiedyś zły los odmienił. Nie, nie roilo mu się bogactwo bynajmniej, lecz pełny brzuch i suty ogień na kominie w jesienne szarugi i zimowe zawieje.

Tymczasem jednak wędrował od chaty do chaty, lecz choć w niektórych częstowano go obiadem albo skibką chleba i garnuszkiem mleka, to jednak pracy dla niego nie było.

Ale skoro wiosna zapachniała roztajałą ziemią, pola i łąki pokryła świeża zieleń, a słońko coraz wyżej wspinające się na nieboskłon, już całkiem mocno przygrzewało, zlitował się nad wyrostkiem – sierotą pewien owczarz.

– Będziesz moim pomocnikiem przez całe lato, a może i dłużej – powiedział. Dopilnujesz owiec, nauczysz się je strzyc, doić, wyrabiać smaczne sery z ich

mleka. Jeśli okażesz się pilny i pracowity, tu może uchylę nieco rąbka tajemnicy i przekażę ci część wiedzy o chorobach i leczniczych mocach ziół. No cóż? Chcesz zostać pastuszkiem?

– Pewnie, pewnie, że chcę! – ucieszył się chłopak.

– I zapewniam cię, iż nie zaznasz głodu – dorzucił owczarz. Będziesz miał pod dostatkiem chleba, mleka, sera, a i od czasu do czasu pokosztujesz mięsa, gdy zarżniemy owcę czy jagniątko.

Od tej pory chłopak stał się zupełnie inny. Gdy przestał czuć pustkę w brzuchu, na jego twarzy często pojawiał się uśmiech. Był nadzwyczaj pilny i pracowity. Nigdy owczarz nie musiał dwa razy powtarzać polecenia. Co najważniejsze jednak – pastuszek bardzo kochał zwierzęta.

Lubił głaskać głowy owiec, przytulać twarz do ich miękkiego runa, przemawiać czule, jakby do ludzi. Owce prędko zrozumiały, iż chłopak jest ich prawdziwym przyjacielem i na jego przyjaźń odpowiadały przyjaźnią.

Wśród licznego stada znajdowała się jedna, bardzo piękna owieczka, różniąca się znacznie od pozostałych. Była jakaś delikatna, drobniejsza, bardziej smukła, a jej wełna lśniła czystością. Lubiła się trzymać nieco na uboczu, skubać trawę i wonne zioła mniej łapczywie od pozostałych.

Pastuszek prędko na nią zwrócił uwagę i częściej niż inne zwierzęta obdarzał pieśczołą czy czułym słowem. Gdy mówił do niej, owca wpatrywała się w jego twarz oczami wielkimi, smutnymi, o fiołkowej – nie spotykanej u innych – barwie, jakby rozumiała co powiada.

Często też sama, gdy chłopiec nie miał czasu, lub zapomniał ją pogłaskać, podbiegała do niego i przytulała się do kolan.

Przez całe lato pasterz i owca zżyli się mocno ze sobą i chyba trudno byłoby się im rozstać.

Zresztą sierota nie dopuszczał nawet takiej myśli do siebie.

* * *

Któregoś jesiennego ranka, gdy mgła kłębiła się po parowach, liście na drzewach straciły swój zielony kolor i ubarwiły złotem i purpurą stary owczarz rzekł do swego pomocnika:

– Najwyższy czas, chłopcze, przejrzeć nasze zwierzęta.

Cały dzień minął im nadzwyczaj pracowicie. Stary każde zwierzę oglądał bardzo dokładnie i w zależności jak wypadły oględziny, przyłączał je do jednego z trzech mniejszych stadek, na które wielkie stado podzielił.

Jedne owce miał hodować dalej, inne sprzedać, inne wreszcie przeznaczyć na rzeź, bo uznał, iż nie zasługują na lepszy los.

Pośród tych ostatnich znalazła się również owieczka – przyjaciółka pastuszka.

Próżno chłopak prosił, ba! błagał! Próżno zebrał litości dla niej. Próżno zalewał się łzami.

Próżno całował ręce gospodarza. Ów nie dawał się przekonać:

– Nie zawracaj głowy! Przestań wreszcie! Cóżes się uparł, abym owej owcy życie darował?

A jakież z niej pożytek? Słabe toto, liche a delikatne. Mleka nie daje, wełny niewiele. Jakież sens karmić ją przez zimę? Może bym się i dał ubłagać, gdybym miał pewność, że ją ktoś zechce kupić. Ale sam patrz! Nie znajdzie się żaden amator! Pójdzie pod nóż, to moje ostatnie słowo. I więcej mnie nie męcz.

* * *

Szary zmierzch przyszedł wcześniej, jak to jesienią bywa, a wraz z nim przyszła szaruga.

Wiatr wył przeciągle i miótl zimne strugi dżdzu. Trząśł konarami drzew, zrywał z nich liście i ciskał je na ziemię.

Pastuszek nie mógł usnąć. Przewracał się z boku na bok na posłaniu z siana, przykryty ciepłym baranim kozuchem. Wsłuchiwał się w jęczenie wichru, czując jego chłodny oddech, wdzierający się szparami do szałasu.

Przed oczami wciąż mu się jawiła jego przyjaciółka – owieczka, wpatrzona w jego twarz błagalnie, jakby prosząc o ratunek. Wzdychał chłopak ciężko i przemyślał w jaki sposób mógłby ją ocalić. Ale nie widział żadnego. Na tyle już poznał owczarza, iż był pewny, że skoro coś raz rzekł, to choćby się waliło i paliło, owo wykona.

– Niechaj się dzieje co chce! – mruknął sam do siebie z determinacją. – Niechaj się dzieje.

Nie ma rady. Tylko jedno mi pozostało.

Zwłókl się z posłania, szczelniej owinął lichą kapocinę, jakby to mogło go uchronić przed zmoknięciem i chyłkiem wysunął na dwór.

Wiatr miótl lodowate strugi dżdzu prosto w jego twarz. Rychło z włosów pozlepianych w mokre strąki jęły spływać strużki, cisnące się do oczu, ust, nosa.

Skulił się pastuszek jeszcze bardziej i przemknął do zagrody, gdzie jego owieczka czekała na śmierć, którą miał jej następnego ranka przynieść długi a ostry nóż gospodarza.

Mimo, iż ciemno było choć oko wykol, bez trudu odnalazł swoją przyjaciółkę i delikatnie popychając ją do wyjścia, wyprowadził z zagrody.

Długu wędrowali po oślizgłych ścieżkach, potykając się o kamienie i tracąc równowagę na rozmokłym gruncie, aż wreszcie dotarli do starej, wpół rozwalonej chałupy, oddalonej od uczęszczanych ścieżek, przez co nikt nigdy tam nie zaglądał.

– Zostań tutaj, owieczko. Zostań i nie bój się. Nie dam cię ukrzywdzić – wyszeptał chłopak i przymknął za sobą rozbite drzwi, po czym co sił w nogach

pobiegł na powrót do szałas.

* * *

Nad ranem przestało padać, a przed południem nawet zaświeciło słońce. Smętnie wyglądały nagie, prawie całkiem już pozbawione liści, gałęzie drzew, czarniawymi krechami rysujące się na białosinym tle nieba. Od mokrej ziemi ciągnął dojmujący chłód.

Stary owczarz, wzięwszy pastuszkę do pomocy, udał się do zagrody zwierząt przeznaczonych na ubój. Rozejrzał się bacznie raz i drugi, a później ze złością zapytał:

– A gdzież się ta owca podziała?

– Nie wiem, gospodarzu. Nie wiem.

– Nie wiesz? Nie wiesz, powiadasz? A niby kto ma wiedzieć? Toż to twojej pupilki brak.

Akurat tej, coś chciał u mnie wczoraj jej życie wytargować!

– Może ją wilki pożarły, a może kto ukradł? – wyszeptał chłopak.

– Nie łzyj, łobuzie jeden!

– Nie krzyczcie gospodarzu na mnie! Jam niewinny!

– Patrzcie go łotra?! Niewinny! A gdzieżeś łaził po nocy? Gdzie łaził, jeśli nie wyprowadzić stąd owcę?!

– Nigdzie nie chodziłem – próbowałem się bronić kłamstwem pastuszek.

– No! Tego już zbyt wiele! – rozjuszył się owczarz. – Nie chodził! Nie chodził! Jeszcze mu portki nie wyschły do tej pory, a łże! Taka to twoja wdzięczność? Za moje dobre serce, za litość nad tobą, nędzniku, kradzieżą się odpłacasz. Nie żałowałem ci chleba, nie skąpiłem mięsa, a tyś mi owcę ukradł?!

Odwiązał owczarz gruby sznur konopny, którym miał przepasany kozuch

i dalejże bić nim chłopaka. A ów nie protestował, nie uciekał, tylko zakrywszy twarz przed razami, cierpliwie znosił karę.

Gdy owczarzowi ramię się zmęczyło, krzyknął gromkim głosem:

– A teraz precz! Precz z moich oczu! Wynoś się stąd złodzieju i niewdzięczniku! Żebym cię nigdy więcej nie widział!

Łzy napłynęły do oczu sieroty, bo lubił gospodarza. Wiedział, iż źle uczynił zabierając mu jego własność, ale przecie za żadną cenę nie mógł pozwolić, by owieczka straciła życie. Z rezygnacją poddał się karze, jakby próbując w ten sposób wynagrodzić poniesioną stratę.

Gdy usłyszał owe twarde słowa i pojął, że naprawdę nie ma już tutaj czego szukać, powlókł się obolały od zadanych razów przed siebie.

Szedł powoli, noga za nogą aż dotarł wreszcie do chałupy, w której nocą ukrył zwierzę.

Chciał je ze sobą zabrać i iść w świat, precz, gdzie oczy poniosą.

Ale nie znalazł owieczki. Poruszone wiatrem, szeroko otwarte drzwi, skrzypiały przeraźliwie. Wpół zasypane śmieciami i gruzem izdebki były puste.

Poczuł się chłopiec jeszcze bardziej samotny i opuszczony. Znów nie miał nikogo, zupełnie nikogo. Przysiadł na progu, zapatrzył się w najdalszą dal, w odległy horyzont szaroliliową mgiełką zasnuty i rozplakał się w głos.

Cały dzień i całą noc, która po dniu przyszła, spędził w rozwalinach chaty, ale wraz z brzaskiem następnego dnia głód wygnał go stamtąd.

Wyszczerbionym kozikiem wyciął gruby, prosty pręt leszczyny i uczynił zeń podrózną laskę, potem zaś ruszył w drogę, bez żadnego planu, nie wiedząc, co los przyniesie.

I błąkał się od wsi do wsi, zebrząc kromki chleba. Jedni litowali się nad sierotą i dawali, inni pędzili precz, a nawet szczuli psami.

Z dnia na dzień robiło się coraz zimniej. Nocami powierzchnie płytkich kałuż

rozpościerających się pośrodku gościńca, powlekały się delikatną i cienką warstewką lodu, która pękała z trzaskiem z lekka nawet nadepnięta nogą.

Pozółkła trawa okrywała się srebrzystym szronem, który topniał dopiero pod południe, gdy słońce wyżej wspinało się na niebieską powałę.

– Weźcie mnie na zimę! – prosił gospodarzy we wsiach, przez które przechodził. – Weźcie mnie. Będę rąbał drewno, doglądał zwierząt. Znam się na młocce. Będę robił wszystko, co mi każecie. Nie chcę wiele, trochę chleba czy krupów, abym tylko nie umarł z głodu, a spać mogę w stajni.

Ale nikt nie chciał go przyjąć. Wszyscy przepędzali. A on rozmyślał coraz częściej nad popełnionym błędem.

– Ach, gdybyż nie wyprowadził tamtej nocy owieczki, miałby teraz i dach nad głową i pełny brzuch. A tak? Cóż. Dopuścił się kradzieży, utracił wszystko i popadł w biedę.

Aż razu pewnego, gdy jak zwykle szukał schronienia na zimę w małej wsi pewien chłop zażartował zeń mówiąc:

– Idź ciągiem na południe, a nie ustawaj, to w końcu dotrzesz do krainy, gdzie nie ma zim.

Drzewa kwitną tam przez cały rok, a trawa zawsze jest zielona!

„– A właściwie, to cóż innego mi pozostało? No cóż?” – pomyślał chłopak, i tak jak mu ów żartowniś doradził, ruszył na południe.

Szedł, i szedł, i szedł niestrudzenie. Dnie układały się w tygodnie. Minął niebotyczne góry, gdzie leżał już głęboki śnieg i zapuścił się w doliny po ich drugiej stronie.

Wydostał się na rozległą równinę, gęsto zaludnioną, kędy pełno było miast i wsi, a ludzie gadali w języku, którego nie rozumiał. I rzeczywiście, było tak jak mówił ów chłop. Im bardziej oddalał się od swych stron rodzinnych, im głębiej zapuszczał na południe, tym cieplej się robiło.

Na koniec dotarł do kraju, gdzie drzewa gęsto okrywały liście, trawa była zielona, a nikt nie wiedział, co to lód i śnieg.

Prócz tego jednak, iż było mu cieplej, nie zyskał niczego nadto. Wciąż był bezdomny i wciąż był głodny. Przez wszystkie owe tygodnie przyzwyczał się chłopak do ustawicznej wędrówki. Toteż gdy któregoś popołudnia przyszedł nad brzeg morski, ogarnął go smutek, że nie będzie już mógł ruszyć dalej, że oto kres włóczęgi.

Osiedlił się w wielkim portowym mieście. Łatwiej mu tu było niż we wsi rodzinnej. Sypiał w bramach kamienic, a żywił tym, co dało miłosierdzie ludzkie.

Całymi dniami lubił wałęsać się po porcie. Patrzył zachłannie na wielkie żaglowce, które dostojnie wypływały na pełne morze. Coraz miłszy jego uszom stawał się łoskot żagli, coraz miłszy słony zapach wiatru wiejącego ku lądowi.

Myślał, iż dobrze byłoby popłynąć hen, daleko. Skryć się za najdalszą dalą horyzontu. Ale cóż, nie umiał dogadać się z szyprami, bowiem nie znał żadnej obcej mowy.

Jakaż więc była jego radość, gdy któregoś dnia posłyszał słowa, które mógł zrozumieć. To dwaj kupcy rozmawiali ze sobą:

– Oj, przydałby się nam w zamorskiej podróży sługa – ozwał się jeden z nich.

– A pewnie, żeby się przydał – przytaknął drugi. – Tylko jak go zdobyć? Tutejsi żądają wygórowanej zapłaty, a nietutejsi boją się puścić za ocean.

– Podśluchałem, że szukacie sługi – zagadnął ich chłopiec. – Czy nie wzięlibyście mnie?

Zmierzyli go kupcy od stóp do głów krytycznym wzrokiem:

– Et, chudyś i zaniedbany. Wpierw trzeba by cię odpaść, nauczyć roboty. My zaś nie mamy na to czasu, ani pieniędzy, ani chęci – orzekli.

– Weźcie mnie, proszę! Weźcie! Ja wiele umiem. Nie chcę też żadnej zapłaty. Starczy, że się przy was pożywię.

Kupcy zawahali się, w końcu jednak dali się ubłagać.

* * *

Okazały statek o trzech potężnych masztach, na których rozpięte były ogromne białe żagle, od wielu już dni pruł dziobem słone fale, chyżo podążając na zachód.

Lądu nie widać było wcale, wokół rozpościerał się bezkres słonego żywiołu. Nasz pastuszek każdą wolną chwilkę – a nie miał ich wiele, bowiem kupcy choć żywili skąpo, to jednak dawali do syta roboty – spędzał na dziobie korabia, zapatrzonej w horyzont, dumając jakież to ziemie się poza nim kryją.

Lubił wówczas marzyć o tym, iż statek dobije do lądu, gdzie wreszcie uda mu się znaleźć pracę, a gdy pracę będzie już miał, niczego się nie ulęknie. Marzył o tym, aby pracować od świtu po zmierzchu, zdobywając grosz po groszu, a w końcu zgromadzić ich tyle, żeby już starczyło na godne życie. Życie bez obaw, że oto jutro stanie się kolejnym dniem głodu i takie samo będzie pojutrze.

Gdy któregoś popołudnia, gdy wykonał już był wszelką zleconą mu pracę i jak zwykle oddał się na dziobie słodkim rojeniom, wystawił twarz na surową pieśczołą słonej bryzy, na horyzoncie pokazała się niewielka, lecz za to smoliście czarna chmurka.

A później rosła ona w szalonym tempie. Wichura i ulewa uderzyły w żagle ze straszną siłą.

Dało się słyszeć trzask pękających żagli, trzeszczenie masztów i wiązania statku.

Morze wzburzyło się, fale ze straszną siłą naparły na kadłub korabia, a on wznosił się wysoko, wysoko na ich grzbiety, a potem spadał w doliny, gdzie lały się nań całe tony wody i biała piana.

Marynarze rzucali się jak w ukropie, zwijali żagle, wyczerpywali wodę.

Podróżni zaś zachowywali się rozmaicie. Jedni modlili się, zebrząc boskiego miłosierdzia i ratunku, inni myśleli tylko o tym, aby zabezpieczyć swój dobytek.

Sztorm tymczasem nie ustawał. Wichura złamała wszystkie trzy maszty, które pękły niczym zapalki. Pękł także i ster, tak, iż statek zupełnie bezwolny, stał się igraszką morskich żywiołów.

Chłopak znajdował się wciąż na dziobie, opasany mocno liną przytwierdzoną do burty.

Najpierw się bał, bał potwornie, że oto – zupełnie niespodziewanie – zbliżył się do kresu swego żywota. Ale w miarę jak widmo śmierci coraz wyraźniej zaglądało mu w oczy pojął, iż nie może nawet marzyć o ratunku, począł się uspokajać.

Zrozumiał, że w sytuacji, w jakiej się znalazł, nie ma co wierzgać przeciwko losowi, bowiem los ów na wierzganie jest zupełnie obojętny, a przyniesie i tak to, co akurat miał zamiar przynieść.

W pewnym momencie dało się słyszeć potężny trzask – to woda wyrwała ogromną dziurę w boku statku i teraz wlewa się przez nią z głośnym szumem. Nie minęło wiele chwil, a korab jął pograżać się w odmętach morskich.

Chłopak zrozumiawszy, iż toną, resztką sił rozsuptał węzeł liny, która dotychczas go chroniła i skoczył w fale. Uczynił to nieomal w ostatniej chwili, bo statek przechylił się do tyłu, uniósł dziób wysoko w górę, tak iż przez moment można było obejrzeć jego dno obrosłe żyjątkami morskimi, a potem zapadł się w głębinę.

Pastuszek zaś żył. Żył, rozpaczliwie bijąc wodę rękoma. Mijały minuty, kwadranse, godziny, a on wciąż płynął. Lecz w końcu jego siły wyczerpały się do ostatka. Poczul, że idzie na dno.

I wtedy, nagle – usłyszał głos:

– Nie lękaj się chłopcze! Nie lękaj! Oto spieszę ci na ratunek!

Z potwornym wysiłkiem uniósł głowę ku górze i rozejrzał się baczenie dookoła.

Jakież było jego zdumienie, gdy ujrzał podpływającą ku niemu ogromną rybę, która właśnie wypowiadała te słowa. Ryba zanurkowała i wynurzając się wzięła go na swój grzbiet.

– Nie martw się, teraz wszystko będzie dobrze. Nie pozwolę ci zginąć, bowiem postanowiono, żeby cię ocalić, bo ratowałeś życie innym – rzekła ryba.

– Dokąd płyniemy? – zapytał chłopiec.

– Daleko. Bardzo daleko. Aż na sam środek oceanu. Tam znajduje się rozległa i piękna Wyspa Szczęśliwości, gdzie mam cię doprowadzić.

Odtąd owa przedziwna podróż morska upływała w milczeniu. Niebo się roz pogodziło, wyjrzało słońce i jego złociste promienie wzbudzały świetliste refleksy w szmaragdowozielonej toni, po której przebiegały rozkołysane, łagodne fale, zgoła inne od tych które jeszcze nie tak dawno rycząc niosły śmierć.

Ryba pruća słony, mokry żywioł niestrudzenie, nie odpoczywając ani na moment. Toteż gdy przeminał dzień, noc i jeszcze jeden dzień, a później jeszcze jedna noc, wczesnym rankiem na odległym horyzoncie zamajaczył niewyraźny zarys lądu. Nadleciały ptaki, wieszcząc, iż niezadługo nastanie kres podróży.

Gdy ziemia znalazła się nie dalej jak na odległość rzutu kamieniem, wielka ryba ozwała się do chłopca w te słowa:

– Skoro zejdziesz na brzeg, ujrzysz tam wielki lśniący kamień niebieskawej barwy. Obok tego kamienia będzie rósł okazały krzew, obsypany różowym kwieciem pachnącym słodko.

Utnij z owego krzewu prostą gałąź, wystrugaj z niej fujarkę, dmuchnij w nią i wydobądź z instrumentu ulubioną melodię. Skoro to uczynisz, na odgłos melodii zbiegną się do ciebie wszystkie owce ze stada twego dawnego gospodarza. Zbiegną się i okażą ci wdzięczność, bo nie zwykłą – jak ci się zdawało – uratowałeś kiedyś owieczkę, lecz ich królową.

Ryba wysunęła się spod siedzącego okrakiem na jej grzbiecie chłopaka

i z pluskiem pogrzyła w niezgłębionych odmętach morskich. On zaś bez trudu dopłynął do lądu, a wygramoliwszy się nań, przysiadł na śnieżnobiałym piasku plaży, ażeby wypocząć.

– Jakże mogę wystrugać fujarkę – rozmyślał nad tym, co mu powiedziała ryba – jeśli zgubiłem swój kozik?

I oto jakby w odpowiedzi na myśl ową wypełził z morza wielki żółw i zbliżył się do chłopca, niosąc w pysku nóż, który złożył u stóp siedzącego.

Wtedy pastuszek bacznie rozejrzał się dookoła. Istotnie, było tak, jak mówiła ryba. Na skraju plaży tkwił niekształtny, wielki głaz o niespotykanej barwie, zaś tuż obok rósł rozłożysty krzew, cały obsypany dużymi kwiatami o delikatnych płatkach, rozsiewających cudowną słodką woń.

Wyszukawszy nieco grubszą od kciuka, prostą gałąź, uciął ją chłopak i wystrugał fujarkę wydającą czyste, głośnie dźwięki, a później pomyślał, iż chyba najwyższa pora, aby zaspokoić ostry głód, który od wielu dni szarpał mu wnętrzności, a także ugasić pragnienie.

Ruszył więc przed siebie w poszukiwaniu pokarmu i napoju.

Na szczęście nie musiał daleko wędrować, bowiem blisko plaży, na zboczach skalistych pagórków, rosło wiele drzew, których gałęzie ugiwały się wprost od najrozmaitszych owoców.

Nazrywał ich i jadł dotąd, aż całkiem ustąpiła czczość z żołądka. Później zaś, czerpiąc dłońmi krystaliczną, wyborną w smaku wodę, która wylewała się z niewielkiego źródła skrytego wśród wyniosłych paproci, zaspokoił pragnienie.

Poczuwszy ogromną ulgę, pomyślał, iż najwyższa pora, aby wykonać drugą część polecenia ryby, która wśród morskiej toni uratowała mu życie.

Wdrapał się zatem na szczyt jednego z pagórków i bacznie rozejrzał się wokoło. Widok był prześliczny – jego oczom ukazało się kłębowisko zieleni, pośród której – niczym wyspy na powierzchni morskiej toni rozsiane – tkwiły

nagie, skaliste szczyty wzgórz. Po spokojnym błękitcie nieba płynęły białe kłębiaste obłoczki, a uszu dobiegał świergot ptaków, które usadowiły się w koronach drzew.

Szybko pastuszek wypatrzył ukrytą pomiędzy dość stromymi zboczami pagórków piękną dolinkę. Nie porastał jej las, a rozległa trawiasta połać, upstrzona kępami ziół i kolorowego kwiecia, na której rozrzucone były mnogie głązy o fantastycznych kształtach, wprost kusiła, aby ją odwiedzić.

Nie pozwolił chłopak powtarzać się owemu niememu zaproszeniu i puścił się pędem ku dolince. A gdy tam się już znalazł, zaczerpnął pełną pierś powietrza i dmuchnął w fujarkę.

Przebierając palcami po otworach, układał dźwięki w swoją ulubioną melodię.

I oto naraz, wywabione muzyką, spomiędzy drzew, krzewów i skał, poczęły przybywać owce. Każda z nich runo miała srebrne, a oczy z pereł. A gdy wszystkie przybyły i zwartym kołem otoczyły pasterza, na samym końcu ukazała się... jego owieczka. Ta sama, której tamtej nocy uratował życie.

Tak, poznał ją na pierwszy rzut oka, chociaż teraz wyglądała zgoła inaczej. Oto bowiem runo na niej złote, skrzyło się w blasku promieni słonecznych, zaś brylantowe oczy lśniły niczym gwiazdy na tle granatowego nieba w pogodną noc lipcową.

Porwał się chłopak, aby przywitać owieczkę, lecz w tej samej chwili stało się coś dziwnego. Oto wybiegła ona przed rząd innych owiec i ściągawszy z siebie pozłocistą skórę, przybrała ludzką postać, a wraz z nią do człowieczych kształtów powróciła reszta stada!

Szeroko otwartymi ze zdumienia oczyma chłonał pasterz niezwykle widok, stojąc jak skamieniały w kręgu otaczających go pięknych panien – dwórek królowej Wyspy Szczęśliwości.

A władczyni, trzymając w jednej ręce owcze runo, które tak długo skrywało jej prawdziwą postać, drugą uczyniła jakiś znak w powietrzu i natychmiast w dolinie

pojawił się wspaniały pałac, dworzanie i wojsko. Wszystko to zaklęte było w owych głazach, które swymi dziwaczными kształtami wcześniej zaciekały chłopaka.

A potem królowa ozwała się tak:

– Panowie i damy! Moi dworzanie i moi poddani! Podziękujmy naszemu dobroczyńcy -

pastuszkowi za to, iż dzięki jego dobremu sercu nie tylko uratowałam życie, ale także mogłam – uwolniwszy się od klątwy rzuconej ongiś na nas wszystkich przez złego czarownika – i wam przywrócić ludzkie kształty.

I tak dotarliśmy do końca naszej opowieści. Co działo się później nietrudno się domyślić.

Tak, tak! Macie rację! No właśnie! Królowa oddała swą rękę pasterzowi i zwieńczywszy jego skronie monarszą koroną ogłosiła go współwładcą. Panowali długo i szczęśliwie, a lud – który pod ich rządami obrastał tłuszczem, zaznając dobrobytu – błogosławił oboje za dobroć i mądrość.

Krysia, Jasiak i Śmierć

Muzykanci rżnęli od ucha do ucha. Od przytupywań i pokrzykiwań aż drżały ściany leciwej chałupy, w której odbywało się wesele Jasia i Krysi.

Choć dawno już minęła północ, to przecież goście, najedzeni do syta i podochoceni gorzalką, nie czuli zmęczenia. Radośnie było, ej! radośnie!

Tymczasem państwo młodzi, natańczywszy się i naśpiewawszy do woli, pożegnali się z weselnikami i udali na spoczynek do sąsiedniej izby, gdzie czekało na nich obszerne łóżko wymoszczone poduchami i przykryte wielgachną pierzyną, mocno wypchaną gęsim puchem.

Mimo, iż i tutaj doskonale słyhać było odgłosy biesiady i zabawy, zmęczenie młodych było tak wielkie, że nie wiedzieć kiedy – ledwie tylko przyłożyli głowy do poduszek – zapadli w kamienny sen.

Nie wiadomo jak długo spali, ale chyba raczej krótko (bowiem za oknem wciąż było ciemno), gdy naraz oboje – zgoła nagle – obudzili się jak na komendę.

Przez okno wpadał srebrnosiny blask księżycy, a że ów znajdował się akurat w pełni, światło było na tyle mocne, że dało się przy nim dokładnie rozróżnić wszystkie sprzęty znajdujące się w izbie.

Jasiek i Krysia – całkiem otrzeźwieni i przytomni – usiedli na posłaniu i bacznie rozejrzeli się dookoła.

Wielkie było ich zdziwienie i przerażenie zarazem, kiedy u stóp małżeńskiego łoża dostrzegli mglistą, zwiewną postać kobiecą, przyodzianą w długą, białą i powłóczystą szatę.

– Kim ty jesteś? – zapytał Jasiek, chcąc przed Krysią popisać się odwagą. I czego chcesz od nas?

– Jestem Śmierć – odparła zjawa. – Ale nie lękajcie się, nie przyszedłam bowiem

do was w złych zamiarach.

– Jeśli nie w złych, to po co? – drżącym głosem zapytała Krycia.

– Otóż przyszłam – odrzekła śmierć – aby was zapytać jakie życie chcielibyście mieć?

– Długie i szczęśliwe – bez namysłu, jednym głosem, odparli państwo młodzi.

– Otóż tak dobrze nie było i nie ma. Nie darmo świat, na którym żyjecie, nazywają padołem łez. Nie możecie zaznawać wyłącznie rzeczy miłych i przyjemnych. Smutek także jest nieodłączny waszemu losowi.

– Zatem po cóż pytasz o coś, na co i tak nie mamy żadnego wpływu? – rozeźlił się Jasiek.

– Nie do końca masz rację – Śmierć uśmiechnęła się krzywo.

– Możecie bowiem dokonać wyboru, kiedy chcecie żeby wam było źle: teraz, czy na starość?

– A ile nam dasz czasu do namysłu? – zapytała Krystyna.

– Wiesz przecie, że każesz podjąć niezwykle trudną decyzję, a tego się nie robi na chybcika.

– Nie ode mnie owo zależy do końca. Wyższe siły mną kierują. Właściwie powinnam wam kazać wybierać natychmiast, ale dam wam czas do jutrzejszej nocy.

– A nie dałoby się do pojutra?

– Nie. Ani okruszyny dłużej. Jutrzejszej nocy, o tej samej porze, spodziewajcie się mojego przybycia. I miejcie już gotową odpowiedź. A uwierzcie mi: to wszystko nie żarty!!!

Chciał Jasiek jeszcze coś tam rzec, ale urwał wpół słowa, Śmierć bowiem zafalowała, zadrgała i w mgnieniu oka rozplynęła się w powietrzu.

Położyli się tedy państwo młodzi spać z powrotem. Ale po tak silnym, i – co tu dużo gadać – tak niemiłym przeżyciu, sen nie chciał już im skleić powiek.

Przewracali się więc z boku na bok, aż ich w końcu wszystkie kości rozbolały i z wdzięcznością przywitali poranny brzask, który rozjaśnił niebo, a potem wschód słońca majestatycznie unoszącego się pozłocistą kulą z poza siwej krechy dalekiego horyzontu, na niebieski firmament.

* * *

Młodzi małżonkowie przyodziali się i czym prędzej wyszli z chaty, skubnąwszy po drodze zaledwie po okruszku chleba, ot tyle, iżby nie być na czczo.

Wędrowali wąską i stromą miedzą pomiędzy dwoma łąkami dojrzewającego żyta. Jego kłosa zwieszały się na boki pod ciężarem dorodnego ziarna, z którego już nie długo miało się piec smaczny, wonny chleb.

Pachniała macierzanka i rumianek. Chabry niebieszczały pośród ździebeł zboża, a maki aż rwały oczy swoją piękną, soczystą, czerwienią.

Stadko kuropatw wyfrunęło z ukrycia i z furkotem skrzydeł przeleciało tuż-tuż przed oczyma Jaśka, który szedł przodem.

Poza polami, obsianymi żytem, u stóp łagodnego stoku wzgórza, znajdowała się niewielka łączka, przez środek której z bulgotem przepływał wąski strumyczek, skrzący się i odbijający słoneczne refleksy, które budziły złociste promienie przedzierające się przez gęstwinę liści rosochatych wierzb rosnących w rzędach po obydwu stronach strugi.

Jasiek i Krystyna usiedli wprost na trawie, opierając się plecami o chropawy pień, pokryty spękaną siwo brązową korą. Gdzieś, wśród konarów, nad ich głowami, uganiały się wróble. Z oddali dolatywało poszczekiwanie psów i pianie koguta.

Ciężki, gruby trzmiel bucząc basem przelatywał od jednego do drugiego kwiatu liliowych dzwonków, wysysając z ich wnętrza słodki nektar.

Siedzieli tak kęs czasu, nie odzywając się do siebie, ale oboje doskonale

wiedzieli, jakież to myśli zaprzętają ich głowy. I jednemu i drugiemu brakowało odwagi, iżby zacząć mówić.

W końcu Krysia, widząc że nie można milczeć w nieskończoność, odezwała się pierwsza:

– Nie ma co, Jaśku. Musimy wybierać...

– Ba! Ale jakież to trudne!

– Trudne, nie trudne, przecież musimy. Ja sobie tak pomyślałam: może mądrze, a może głupio, iż chyba rozsądniej byłoby zażyczyć sobie, iżby źle nam było teraz, kiedy jesteśmy młodzi i silni, bo łatwiej nam będzie mocować się z życiem. Niechby tam dobrze się nam zrobiło na stare lata, gdy człowiek zgrzybiały i niedołączny, nie mający sił i tylko wypatrujący jakiegokolwiek podpory... Cóż ty, mężu, na to?

Zamyślił się Jasiek głęboko. Skrył twarz w dłoniach i nic nie mówił jakiś czas.

– Ale zważ, moja miła, iż młodość i wiek dojrzały dłużej trwają. Starość jest krótka -

odezwał się w końcu. – Czyż zatem pragniesz, byśmy przez większość życia cierpieli biedę?

– Nie mogę zaprzeczyć, że mówisz prawdę, ale przecież upieram się przy swoim. Teraz przynajmniej sił nam nie brak. A jeśli wpadniemy w nędzę schorowani, zniedołączniali i zgrzybiali, to co wówczas się z nami stanie? Jak mniemasz?

Zastanowił się Jasiek raz jeszcze. Podrapał po głowie, pomilczał, aż w końcu się zgodził z tym, co mówiła Krysia.

– Ano, niechże będzie jak chcesz. Teraz bieda, na starość dobrobyt.

A potem przytulili się do siebie, wzięli za ręce i zapatrzili w strumyczek, który wartkim nurtem zmierzał kędyś hen, ku jakowejś rzece, aby, gdy się z nią połączy, popłynąć do dalekiego morza.

Duża, okazała, połyskująca metaliczną ciemną zielenią, ważka o skrzydłach tak delikatnych, jakby utkano je z mgiełki, usiadła nieopodal na zwieszającej się ku ziemi nadłamanej wierzbowej witce.

Jakaś żaba wskoczyła do wody i dwoma, czy trzema poruszeniami łap, przepłynęła na drugi brzeg strużki, gdzie zaraz skryła się w gęstej trawie.

Od pół smużył się słodkawocierpki, chlebny, zapach dojrzewającego żyta. Cicho było, spokojnie i tak jakoś uroczyście.

* * *

Skoro noc czarną opończą okryła szczelnie wszystko dookoła, Jasiek i Krystyna udali się na odpoczynek. Byli jednak zanadto podnieceni odwiedzinami, których się spodziewali, aby mogli zasnąć.

Leżeli zatem z szeroko otwartymi oczyma, zapatrzeni w mrok. Chwile skapywały powoli, bardzo powoli, niczym krople wody z trudem przeciskające się przez pęknięcie w stropie górskiej pieczary.

Powoli zatracali poczucie rzeczywistości i poczucie upływającego czasu. Nie wiedzieli, czy mijały minuty, czy może godziny, a może wieki całe.

W deskach starej, sosnowej szafy, stojącej nieopodal małżeńskiego łóża, coś zachrobotало.

Delikatnie zaskrzypiała podłoga. Coś z nagłą trzasnęło.

Dom żył tym ukrytym życiem, którego za dnia zupełnie nie dostrzegamy.

Naraz poczuli dojmujący chłód, jakby ktoś tuż obok nich umieścił ogromną bryłę lodu, a potem – z nicości, z samego jądra mroku – wypłynęła połyskując fosforycznym, zielonkawym światłem, zwiewna kobieca postać. Śmierć przybyła, tak jak to obiecała minionej nocy.

– I cóż postanowiliście? – zagadnęła bez żadnych wstępów.

Jasiek i Krysia po raz ostatni się zawahali, ale widząc, że już nie uda im się wytargować więcej czasu do namysłu, ani odwlec podjęcia decyzji, zgodnie oświadczyli:

– Jeśli musimy doświadczyć biedy i niedostatku, to chcemy być biedni teraz, kiedy jesteśmy młodzi, zaś bogaci i szczęśliwi na stare lata, kiedy pomarszczą się nam twarze i posiwieją włosy.

– Skoro taki jest wasz wybór – niechaj się stanie!

Tym razem odwiedziny Śmierci trwały krótko, parę chwil zaledwie. Gdy tylko bowiem dopowiedziała owych słów, jak niespodzianie się pojawiła, tak niespodzianie znikła.

* * *

Mijały dni, tygodnie, miesiące. Przemijały pory roku. Jasiek i Krysia ukończyli właśnie budowę nowej, obszernej chałupy, stodoły, obory, chlewu i kurnika.

Cieszyli się, bo dobre mieli zbiory tego roku, a bydło, świnie i ptactwo domowe chowało się doskonale.

Coraz rzadziej tedy wspominali niemile, dwukrotne odwiedziny Śmierci. Jeśli tuż po nich bali się, co też najbliższe dni przyniosą, teraz – widząc, że nic złego się nie dzieje – powoli zapominali o lęku, a w końcu wręcz zaczęli się śmiać ze swych niegdysiejszych obaw.

Ale – jak powiada przysłowie – co się odwlecze, to nie uciecze. Nadszedł zatem czas, który przypomniał im nad wyraz boleśnie, co niegdyś byli wybrali.

Całkiem niespodzianie przyszedł pomór na drób, tak iż po kilku zaledwie dniach utracili wszystek. Potem padł koń, a krowa utopiła się w bagnie. Na koniec wreszcie złodzieje ukradli im obydwie świnie.

Jaś i Krysia zdawali sobie sprawę z tego, iż tak wielkich strat jakie ponieśli, nie odrobą łatwo. Utracili zatem dobry humor i nie było już słyhać śmiechu w ich chacie.

Pocieszali się jednak, że innych gorsze jeszcze nieszczęścia spotykają. Byli młodzi, zdrowi, pełni sił i zapału do pracy. Nie tracili zatem nadziei, iż następnego roku znów po podwórzu będą chodzić kury, gęsi i kaczki, w chlewiku zakwiczą świnię, w oborze zaroczy krowa, a koń zarży biegnąc do koryta przy studni, aby ugasić pragnienie chłodną, krystaliczną wodą.

Tymczasem jednak zbliżała się zima, zbliżała się wielkimi krokami i trudno im było wyobrazić sobie jak ją przeżyją bez mleka i sera – tych podstawowych wiejskich produktów.

* * *

Spadł pierwszy śnieg, miękki, puszysty i cały świat stał się dwubarwny – czarny i biały, z rzadka tylko okraszony innymi kolorami – bladą czerwienią ceglanych ścian niektórych domostw, siwym błękitem dymu unoszącego się z kominów, czy pozłocistością szybek okiennych, jeśli akurat odbijało się w nich słońce.

Jasiek i Krysia nie posiadali zwierząt, w związku z czym prawie wcale nie mieli roboty w obejściu. Ot, narąbać drewno, rozpalić ogień w kuchennym, wielkim, bielonym wapnem piecu, ugotować obiad.

Skoro zatem zapadał zmierzch, albo siedzieli w pobliżu paleniska przy uchylonych żelaznych drzwiczkach, grzejąc się i od czasu do czasu podsycając ogień świeżą szczapą, albo szli do sąsiadów aby poplotkować.

Któregoś wieczora, gdy akurat siedzieli oboje na zapiecku w chałupie znajomych, zasłuchani w opowieści staruszka-dziadusia, który im prawil

o dawnych czasach, czasach swej młodości, wojnach, w których brał udział i zabawach, na których całe noce przetańczył, naraz posłyszeli dobiegający z dworu krzyk:

– Gore! Gore!

Wybiegli czym prędzej na dwór i aż zajęczeli z rozpaczy. Oto bowiem płonął ich dom, stodoła ze zbożem, chlewy i obora. Słowem – paliło się wszystko co posiadali.

Płomienie strzelały wysoko. Skry sypały się na boki, co i raz całymi fontannami wzbijając się w górę, a ognista luna rozlała się złocistokrwawym kręgiem wokół.

Od zabudowań bił taki żar, iż nie sposób było zbliżyć się do nich na mniej niż kilkanaście kroków. Nie było zatem mowy, aby mogli cokolwiek choćby uratować od zniszczenia.

Stali tedy i patrzyli jak niszczeje cały ich dobytek, a z majątku jakowy posiadali, zostaje im tylko to, co mają na sobie.

Gdy nad ranem pożar przygasł i tylko gdzie-niegdzie z czarnego pogorzeliśka wysnuwały się wstążki burego dymu, oboje małżonkowie, otarłszy łzy z oczu, ogarnąwszy smutnym spojrzeniem rodzinną wieś, puścili się w drogę, het! przed siebie, gdzie oczy poniosą. W nadziei, że może w świecie znajdą sobie jakoweś lepsze miejsce do życia, a los stanie się dla nich łaskawszy.

Prawie z dnia na dzień, z dość zamożnych gospodarzy, stali się żebrakami. I chociaż wstyd ich palił niepomierne, nie mieli innego wyjścia, jak tylko wyciągać rękę, błagając o wsparcie, o kromkę chleba, łyżkę ciepłej strawy, czy drobny pieniądz jakiś.

Ludziska zaś, jak to ludziska. Jedni wspomagali nieboraków, darząc ich współczuciem, inni natomiast precz pędzili, często gęsto szczując nawet psami.

Tak oto Jasiak i Krystyna przyszli do ostatniej nędzy...

* * *

Zima, chociaż dłużyła się niepomiernie, w końcu jednak dobiegła kresu. Śnieg stajał, zazieleniła się trawa, rozkwitły pierwsze kwiaty, a nabrzmiące sokami gałęzie drzew okryły się nowymi liśćmi.

Młodzi małżonkowie przysiedli na skraju gościńca, na zwałonym pniu drzewnym, i rozwiąawszy jeden z węzełków, jakie nieśli ze sobą, a w których znajdowały się wszystkie ich „skarby”, cały ich dobytek, wydobyli pajdę chleba i kawałeczek sera.

Sprawiedliwie podzielili to na pół i ze smakiem jęli spożywać skromny i nieobfity posiłek.

Gdy zjedli ostatnią okruszynkę westchnęli ciężko, marząc by kiedyś dane im było w pełni zaspokoić głód, a nie tylko go oszukać. Później zaś podnieśli się na nogi, aby ruszyć w dalszą drogę.

Nie uszli nazbyt daleko, ledwie kilkadziesiąt kroków, gdy posłyszeli z tyłu za sobą dudnienie kół bryki, podskakującej na wybojach. Przystanęli tedy, z cichą nadzieją, że może u nadjeżdżających osób uda się wyżebrać jakiś datek.

I nie omylili się. Bryka zatrzymała się tuż obok nich, a ze środka doleciał męski, dźwięczny głos:

– A podejdźcie no ku mnie!

Czym prędzej spełnili polecenie, kłaniając się przy tym nisko, najlepiej jak potrafili.

W bryce siedział postawny mężczyzna, ubrany dostatnio, ba! bogato wręcz! Mógł liczyć nie wiele ponad czterdzieści lat i chociaż posiadał surowy wyraz twarzy, każdy – i to na pierwszy rzut oka – mógł rozpoznać, że ma do czynienia z dobrym człowiekiem o szlachetnym, i czułym na krzywdy innych, sercu.

– Dokąd że tak wędrujecie, dobrzy ludzie? – zagadnął naszych małżonków,

wychylając się z bryki.

– Przed siebie, szlachetny panie – odparł Jasiak.

– Od wsi, do wsi, od miasta, do miasta – szukając wsparcia u bliźnich, aby przeżyć, aby z głodu nie pomrzeć – dodała Krysia.

Mężczyzna przyglądał się obojgu długo i dokładnie, starając się wyczytać z ich twarzy jak najwięcej, a potem rzekł:

– Wydaje mi się, że nie zawsze byliście żebrakami?

– Oj nie, panie! Oj, nie!

– Opowiedzcie mi swoją historię.

Kiedy Krysia skończyła mówić, mężczyzna spojrzał na nich ze współczuciem i powiedział:

– Żał mi was. Bardzo mi was żał. Tacy młodzi, a już srodze przez los doświadczeni.

Przecież niczym nie zawiniлиście, niczym na to wszystko zło, jakie was dotknęło, nie zasłużyliście sobie.

Zamyślił się pan chwilę, a potem ciągnął dalej:

– Postanowiłem sobie, a mniemam, że dobry Bóg mi na to pozwoli, że spróbuję wam pomóc przetrwać to straszne pasmo nieszczęść.

– A w jakież sposób, panie – nieśmiało zagadnął Jasiak.

– Mam taki plan oto: Przyjmę twoją żonę na służbę u siebie na trzy lata. Za jej pracę zapłacę ci z góry, jej zapewniając tylko przyodziewek, strawę i dach nad głową. Ty z pieniędzmi, które dostaniesz ode mnie, wrócisz do wsi i odbudujesz gospodarstwo. Ciężko ci będzie samemu. Nie będziesz miał podpory w żonie. Ale widzę żeś twardy i pracy się nie lękasz, to dasz sobie i radę. Trzy lata miną prędzej niż mniemasz, a wtedy Krysia wróci do ciebie. I – jak sądzę – odtąd już żyć się wam będzie dobrze i wszelkie zło się od was na zawsze odwróci.

Pan skończył mówić i pytająco popatrzył na małżonków. Ale oni milczeli,

opuściwszy głowy. Rozumieli doskonale, że jest to wspaniała propozycja, i że nic lepszego nie mogło ich spotkać. Przecież jednak kochali się tak mocno, że nawet sama myśl o rozstaniu, napawała ich niebywałym smutkiem.

Gdy milczenie przeciągało się, pan zagadnął:

– No i cóż? Odpowiedzcież przecie, co o tym sądzicie!

– Widać będziemy musieli się rozstać na owe trzy lata – szepnęła Krysia.

– Pewnie tak – odparł Jaś, również szeptem, a potem odezwał się głośno: – Dziękujemy za dobroć serca. Z wdzięcznością przyjmujemy wszystko i zgadzamy się na to, co pan zaproponował.

– Skoro tak, to nie ma co mitrzyć czasu po próżnicy – odezwał się podróżny, jednocześnie wyciągając pękata, wypchaną samym złotem, sakiewkę.

Otworzył ją i skrupulatnie odliczył należność za trzy lata służby. Po chwili namysłu dorzucił nawet coś więcej do owej sumy i wręczył pieniądze Jaśkowi. Potem zaś zaprosił kobietę do bryki:

– Wsiadaj Kasiu. Jedziemy! A ty Jaśku wracaj do wsi i pracuj. Z całych sił pracuj.

Zobaczysz, że się wam poszczęści.

Bryka z turkotem drewnianych, okutych żelaznymi obręczami, kół, potoczyła się przed siebie, od czasu do czasu podskakując na wybojach.

Jasiek natomiast długo stał na środku drogi, patrząc jak Krysia odjeżdża, opuszczając go na wiele lat.

Bryka dawno już znikła za zakrętem. Dawno już jej nie było słychać, a przecież Jasiek wciąż stał zapatrzony w to samo miejsce i grube krople łez spływały mu po ogorzałych policzkach.

W końcu jakby się ocknął. Westchnął ciężko i odwróciwszy się pomaszerował skrajem gościńca w stronę, w której leżała jego rodzinna wieś.

* * *

Zmierzchało, gdy Jasiak wszedł do miasteczka, które znajdowało się o dzień drogi zaledwie od miejsca, ku któremu zdązał.

Z przyzwyczajenia jął się rozglądać za jakąś pustą szopą, oborą, czy chlewem, w których -

pod dachem – mógłby noc przepędzić.

Ale oto naraz przypomniał sobie, że przecież ma pieniądze! Dużo pieniędzy! Zatęsknił do ciepłej, miękkiej pościeli, zatęsknił do gotowanej strawy, której już od tak dawna nie kosztował.

Z jednej strony żał mu było grosiwa. Z drugiej zaś dobre jedzenie i wygodne łóżko kusiły go niepomiernie. Przez chwilę bił się jeszcze ze swoimi myślami, w końcu przecież uległ pokusie i skierował swoje kroki ku karczynie stojącej na skraju miasteczka i wszedł do jej środka.

Przywitał go gwar rozmów licznie zebranych tutaj ludzi, zapach gotowanej kiszony kapusty, gorzałki i lichego piwa, którymi raczyli się chłopci siedzący na szerokich ławach ustawionych wokół wielkiego sosnowego stołu, który rozparł się był na środku izby.

– Czego tu szukasz?! – szynkarz nieprzyjaźnie zagadnął Jaśka.

– Wynoś się dziadu! Ode mnie nie dostaniesz jałmużny!

Jasiak czując za pazuchą węzełek z pieniędzmi, obrzucił karczmarza pogardliwym spojrzeniem. Wydobył jedną ze złotych monet rzucił ją niedbale na szynkwas, jednocześnie wołając:

– A dawaj mi tu zaraz rosołu z kury z kluskami, kawał pieczeni i kufel piwa.

Karczmarz na widok złota uśmiechnął się przymilnie, zgiął w ukłonie i odparł:

– Niech łaskawy pan usiądzie, a ja zaraz przyniosę rosół.

– Przygotuj mi też izbę, bo będę tu dziś nocował – dodał Jasiak.

– Jak pan rozkaże. Jak pan rozkaże – szynkarz giął się w ukłonach, uśmiechając się przy tym.

Jasiek ze smakiem zjadł gorący rosół z kluskami, potem mięso, długo delektował się piwem, a w końcu udał się na spoczynek.

Pościel była tak czysta i tak miękka, że z lubością się w niej zanurzył. Nie wiedzieć kiedy zapadł w głęboki, spokojny sen.

* * *

Obudził go tępy ból głowy. Spróbował się poruszyć, ale nie mógł. Ręce i nogi miał skrępowane sznurem. Całe jego ciało przenikało dojmujące zimno.

Otworzył oczy i chociaż było ciemno, zorientował się, iż znajduje się w lesie. Naraz poczuł, że ktoś przecina mu więzy, a potem ucieka, łamiąc z trzaskiem uschłe gałązki, którymi ziemia była zasłana wokoło.

Przeczuwając najgorsze sięgnął ręką w zanadrze, gdzie schował pieniądze. Ale pieniędzy nie było.

To chciwy karczmarz obrabował go we śnie, wywiózł do lasu i tu porzucił.

Jasiek z trudem podniósł się na nogi. Znow był żebrakiem. Żal ścisnął mu gardło, a w oczach zaszklily się łzy.

Gdy zatem pierwszy brzask rozwidnił widnokrąg, ruszył przed siebie, by tak jak do tej pory, wędrując od wsi, do wsi, od miasta, do miasta, prosić ludzi o kawałek chleba, łyżkę strawy, czy dach nad głową na jedną noc. Nadzieję na to, że kiedykolwiek będzie mu lepiej utracił raz na zawsze...

* * *

Mijały miesiące, mijały lata. Czas oprószył siwizną włosy Krystyny, która na

darmo wypłakiwała oczy za Jaśkiem.

Ongi, dawno temu, kiedy skończył się trzyletni okres jej służby, powróciła do wsi, ale tu nikt nie słyszał o jej mężu. Ruszyła zatem w świat, próbując go odnaleźć, lecz przepadł był jak kamień w wodę i wszelki słuch o nim zaginął.

Ponieważ nie miała co ze sobą począć, nie miała się gdzie podziąć, wróciła do swego dobroczyńcy, prosząc by ją znów przyjął pod swój dach jako służącą.

Zgodził się chętnie. Tym chętniej, iż był samotnikiem pozbawionym jakiegokolwiek rodziny...

I znów mijały miesiące i lata, a za oknami przesuwały się pory roku. Aż nadszedł smutny dzień, w którym dobry pan umarł, zapisując wpierw cały swój majątek – a był on znaczny! -

Krystynie.

Więc choć starość przygarbiła jej plecy, a twarz okryła zmarszczkami, nie lękała się o swój los. Wiedziała, że odtąd niczego jej nie braknie, że w spokoju dożyje swych dni.

Jeden robak tylko gryzł jej serce – troska o Jaśka, który – gdzieś tam, w świecie – cierpiał głód i poniewierkę...

* * *

Tego dnia niebo zasnuły ciężkie bure chmury, z których mżył drobny, dokuczliwy deszczyk. Zmokły wróbel przysiadł na okiennym parapecie łapczywie wydziobując okruszki, które każdego dnia sypała tam Krystyna.

Była akurat pora obiadowa. W garnku bulgotała smakowicie pachnąca zupa, a na patelni smażyły się kotlety. Bury kot o gładkiej, lśniącej sierści, któremu na imię było Mizek (bo jako młody kociak był bardzo chudy i mizerny), zeskoczył z łóżka, na którym się dotąd wylegiwał i ocierając się o nogi gospodyni, prosił,

żeby go nakarmiła.

– Już, już, Mizuniu. Jeszcze tylko chwileczkę. Poczekajże, niech się kotlety dobrze usmażą!

Ale Mizek tego nie rozumiał. Zadzierał ogon do góry, miauczał i patrzył prosząco.

– No dobrze, łakomczuchu. Masz tu swojego kotleta.

Krystyna nabiła mięso na widelec i miała je przelożyć do kociej miseczki, gdy naraz posłyszała delikatne, nieśmiałe pukanie do drzwi wejściowych.

„– Któż to może być? O tej porze?” – pomyślała, nie spodziewając się gości.

Skoro pukanie się powtórzyło, otworzyła. Na progu stał stary człowiek, cały okryty łachmanami, w zdartych butach, z żebraczą torbą przewieszoną przez ramię i sękatym kijem w garści, którym się podpierał i opędzał od psów.

Krystynie łzy zakręciły się w oczach, bowiem nigdy nie zapomniała tej twarzy, nawet mimo upływu czasu, nawet mimo zmarszczek i wyostzonych rysów.

– Jasiak... – wyszeptała.

Spojrzał na nią zdziwiony, a potem z niedowierzaniem, drżącym z przejęcia głosem, zapytał:

– Krysia?...

* * *

I odtąd zawsze już byli razem, żyjąc w dostatku i dobrobycie, aż w końcu przyszła po nich Śmierć, by tego samego dnia, o tej samej godzinie i w tej samej minucie, przeprowadzić ich przez próg oddzielający doczesność od wieczności i umieścić w innym, lepszym świecie. W świecie, w którym nie ma ni łez, ni chorób, ni trosk, ni nędzy, ni narzekania...

O szewczyku, który miał litościwe serce

Przed wielu, wielu laty, pewien szewc, przekazawszy już swemu synowi całą wiedzę, mając świadomość, iż żadną miarą nie będzie mógł pogłębić jego umiejętności, zawołał chłopaka i rzekł:

– Słuchaj Maćku. W naszej mieścinie ja najlepiej znam się na szewstwie, ale przecie daleko mi do mistrzów żyjących w wielkich miastach. Com umiał, tom ci już pokazał, a ponieważ widzę, iż masz niezłą smykałkę do dratwy i szydła, szkoda byłoby iżbyś w moim warsztacie edukację zakończył.

– Będę posłuszny waszej woli, ojcze. Uczynię wszystko, cokolwiek mi rozkażecie – odparł syn.

– Ruszaj tedy w świat szeroki, proś majstrów szewskich, aby ci tajniki swego rzemiosła odsłonić chcieli, a da Bóg, iż zaznajomiwszy się z wszelkimi arkanami naszego godnego zawodu, wyżej zajdziesz niż ja zaszedłem.

– Przecie wam, panie ojcze, źle nie jest? Dom mamy w rynku, przyodziewek dostatni, dobrze sobie jadamy. Czegoż więcej pragnąć można? – zdziwił się Maciek.

– At! – ojciec machnął ręką. – Cóż ci będę tłumaczył? Czy naprawdę myślisz, iż nasza mieścina to środek ziemi? Dziura i tyle! Ruszaj w świat, rozejrzysz się po nim, to wówczas pojmiesz, iż kamienica w rynku i pełny brzuch, owo jeszcze nie wszystko.

Spakował zatem Maciek węzełek z narzędziami, zapasową bielizną i bochenkiem chleba.

Zawiesił go na kiju, ów przełożył przez ramię i pogwizdując z cicha przez zęby, ruszył przed siebie.

Smutno mu trochę było, iż dom rodzinny zostawiał i przyjaciół, lecz mówił

sobie, że do wszystkiego przywyknąć można, więc i on do nowej sytuacji przywyknie.

Skoro już wyszedł poza opłotki i wędrując wśród pól, dotarł do lasu, zwolnił kroku.

Delektował się chłodem i cieniem, z lubością wsłuchiwał w szelest gałęzi poruszanych łagodnym podmuchem wietrzyku i świergot ptasi, rozlegający się ponad głową.

Rozglądając się bacznie, czy nie wypatrzy gdzieś dojrzałych poziomek, albo jagód, naraz spostrzegł spory kopiec mrowiska, na wpół rozwalony przez człowieka jakiegoś, albo li też zwierzę.

Zatrzymał się Maciek i popatrzył na mrówki biegające niczym oszalałe to w jedną to w drugą stronę i usiłujące co prędzej zreperować uszkodzenie.

Żał mu się ich zrobiło, żał stworzeń pracowitych, które ktoś czy to niefrasobliwością, czy brakiem uwagi, czy może nawet złośliwością przymusił do zgoła niepotrzebnej ciężkiej roboty.

– Nie turbujcie się, niebogi – mruknął ni to do siebie, ni to do mrówek. – Pomogę wam przecie.

Później zaś począł nagarniać dłońmi całe kupy zrudziałego, suchego igliwia i formować zeń nowy kopiec, w którym mrówki prędko wydrążyły ścieżki i korytarze.

Maciek zaś, ukończywszy pracę, znów zarzucił sobie węzełek na ramię i ruszył w dalszą drogę. Wciąż idąc przez las, wypatrzył, iż wokół wypróchniałego pnia wielkiej, starej lipy, roją się i bzyczą fruujące w rozmaite strony pszczoły robotnice.

– Cóż się im stało? – pomyślał chłopak. – Dyć to nie jest normalne, aby owe pożyteczne owady, miast z kwiatów słodki sok spijać, a na wonny miodek przerabiać jakoweś takie dziwne harce wyczyniały.

Lecz podszedłszy bliżej, zrozumiał wszystko. To niedźwiedź – łasuch, nade wszystko lubiący sobie miodu podjąć, ostrymi pazurami barć porozrywał, plastry poniszczyl, słowem cały pszczeli dom zrujnował.

Tak jak wcześniej nad mrowiskiem, tak teraz ulitował się szewczyk nad niedolą pszczół i mruknął:

– Nie turbujcie się niebogi. Pomogę wam przecie.

Połatał tedy barć jak potrafił, a ucieszone owady, jakby w podzięcie, okrążyły go wielokroć, brzęcząc radośnie – o ile w brzęczeniu można rozróżnić nastroje.

Maćkowi jakoś raźniej maszerowało się teraz bowiem spełnione dobre uczynki, zawsze czynią człowieka lżejszym.

Wreszcie dotarł nad rzekę, która jednocześnie stanowiła granicę pomiędzy jego krajem, a sąsiednim królestwem. Znalazłszy się na środku mostu, oparł się o barierkę i zapatrzył w wodę, w której pluskały małe i duże ryby, a po powierzchni – z dostojnością – pływały piękne łabędzie.

Patrzył na nie i patrzył, aż na koniec wypatrzył, iż wbrew pozorom zbyt słodkiego żywota nie wiodą i że aby głód zaspokoić, wiele się muszą natrudzić. Pomyślał sobie szewczyk:

– Ech! Co tam! Ja zawsze przecie jakoś dam sobie radę! Pomogę stworzeniom się nasycić!

Sięgnął do węzełka, bochenek chleba zeń wyciągnął i pokruszywszy go, rozsypał po powierzchni rzeki. Och! Jakże ucieszyły się ryby i łabędzie z onego niespodziewanego pokarmu i chociaż nic nie powiedziały – bowiem ludzkiej mowy nie znały – to jednak wdzięczne były chłopcu bardzo.

Maciek znalazłszy się w cudzej ziemi, jał chodzić od miasta do miasta, a błagać, a prosić rozmaitych szewskich majstrów, aby go na naukę przyjęli, pokazali jak się u nich szyje ciżmy dla łyków i eleganckie obuwie dla wielkich państwa.

Jedni majstrowie pędzili go precz, inni natomiast chętnie przyjmowali, nie tając wcale własnych umiejętności i ucząc Maćka wszystkiego, cokolwiek sami potrafili.

Tak mijały tygodnie i mijały miesiące, a miesiące owe układały się w lata. Aż pewnego razu nasz szewczyk – teraz już wyzwolony na majstra – doszedł do przekonania, iż niczego więcej nie jest już w stanie nauczyć się. Poznał był bowiem wszelakie tajemnice szewstwa i nikt – jak ziemia długa i szeroka – nie mógł się nawet z nim równać.

Nie myślcie jednak, iż wbiło to chłopaka w pychę. Bynajmniej. Ciągłe był tak samo skromny, jak w dniu, w którym wyruszył z rodzinnej miejsciny w świat szeroki.

Teraz gdy posiadał już wszelką wiedzę, zamieszkał w stolicy jednego z potężnych państw i założywszy warsztat w pobliżu monarszej siedziby, od poranka do zmierzchu klepał buty dla najróżniejszej klienteli.

Mimo, iż mógłby przyjmować zamówienie tylko od bogatych mieszczan i szlachty, on nie odmawiał i chudopachołkom. Chwalili go tedy ludziska, chwalili, a sławy przysparzali nie tylko w mieście, ale i daleko poza nim.

Aż tu razu jednego, zgoła niespodzianie, gdy królowna Blanka wyszedłszy z pałacu w otoczeniu swych dwórek i zbrojnych, którzy mieli czuwać nad jej bezpieczeństwem, zażywała przechadzki po mieście, zawadziwszy o jakąś nierówność bruku, oderwała obcas od swego ślicznego bucika.

Traf chciał, że stało się owo akurat w pobliżu warsztatu Maćka. Skierowała tam zatem królowna swe kroki, a wszedłszy do środka, powiedziała:

– Szewcze miły, pośpiesz się z robotą abym nie musiała nazbyt długo czekać, aż naprawisz mój bucik.

Uniósł Maciek głowę znad kopyta, spojrzął na mówiącą i... zamarł jakby porażony jej nadzwyczajną pięknnością. Blanka zaś, skoro tylko mogła się przyjrzeć twarzy młodzieńca, zareagowała dokładnie tak samo.

Mijała chwila za chwilą, a oni ciągle wpatrywali się w swoje oblicze. Serca im najpierw drżały leciutko, by później rozłomotać się gwałtownie w piersiach. Młodzi pojęli, że oto nagle bożek miłości oboje ich trafił swoją ostrą strzałą i od tej pory już bez siebie żyć nie będą mogli.

W końcu jednak Maciek zreperował bucik i królowna opuściła jego warsztat.

Nie myślcie wszakże, iż na tym rzecz cała się skończyła! O nie! Nie było dnia by Blanka, wynajdując najrozmaitsze preteksty, nie udawała się na spacer tam właśnie, kędy w cichym zaułku znajdował się warsztat tego, którego pokochała swą pierwszą dziewczęcą miłością.

Oboje młodzi cierpieli okropne męki, bo wiedzieli doskonale, iż nigdy nie uda im się zostać mężem i żoną, mimo że tego właśnie pożąдали najbardziej.

Chociaż żadne nie mówiło drugiemu ni jednego słowa o przepełniającym mu pierś uczuciu, to przecież serca ich, doskonale rozumiały się bez słów.

Tak upływały dni i przemijały tygodnie.

Królowna przez nie spełnioną miłość – dosłownie schła w oczach. Tak samo chłopak -

szczerniał i zmizerniał, iż nawet dobrzy znajomi poznawali go z trudem.

– Co się z tobą dzieje, córeczko! – pytali Blankę król i królowa.

– Cóż się z tobą dzieje, Maćku? – pytali szewca jego przyjaciele.

Ale oboje młodzi tylko wzdychali ciężko i nie odpowiadali. Lecz razu jednego chłopak pomyślał sobie:

– A czemu mam tak żyć? Tak się męczyć? Srogi ból znosić? Raz kozie śmierć! Pójdę do króla jegomości, pójdę do królowej, do nóg się im rzucę i o rękę Blanki poproszę. Przegnąją, cóż, trudno. A może i nie? Może zrozumieją, iż nam obojgu nie żyć bez siebie na tym świecie?! Przecie i oni kiedyś młodzi byli, a serca gorące mieli.

Jak postanowił, tak też i uczynił.

Król jegomość wysłuchawszy słów Maćka, podrapał się za uchem i przyglądał brodę.

– A zatem, moje dzieci – rzekł do Maćka i Blanki. – Ja naprawdę nie miałbym nic przeciw temu, abyście – jeżeli się miłujecie – wzięli ślub i zaznali szczęścia. Zrozumcie jednak, że u członka monarszego rodu zawsze na pierwszym miejscu winno stać dobro państwa, a dopiero dalej osobiste szczęście.

– Ale miłościwy ojcze! – zawołała Blanka – Jeśli nie zgodzisz się, abym wzięła Maćka za męża, to chyba umrę z rozpaczy!

– Miłościwy panie! – zawołał Maciek. – Wiem, iż jestem chudopachołkiem i że jeśli wprowadzisz mnie do swojej rodziny, staniesz się pośmiewiskiem dla innych monarchów. Ale postaraj się nas zrozumieć. Pobłogosław naszej miłości!

Monarchini, która dotychczas siedziała obok małżonka milcząca i zadumana, uprzedzając króla, ozwała się w te słowa:

– Jeśli rzeczywiście czujesz się na siłach, kiedyś w przyszłości, skoro my pomrzemy, wziąć na barki ciężar władzy, udowodnij żeś zdolny do tego. Udowodnij, że to brzemień udźwigniesz! Zgódź się, bym cię poddała trzem próbom!

– Poddaj mnie jakiej chcesz próbie, miłościwa pani. Na każdą się zgadzam. Cóż, jeżeli nie ma innego sposobu, aby móc zdobyć rękę twojej córki, zaryzykuje. Jeśli podołam, nie będziecie już mogli odmówić błogosławieństwa naszemu związkowi. Jeśli zaś nie podołam, wówczas pójdę precz. W samotności będę opłakiwał swe nieszczęście.

– Oto męska odpowiedź! – zakrzyknął król. – Podobasz mi się chłopcze i chętnie widziałbym w tobie zięcia. Jakimż to próbom, pani – zwrócił się do żony – chcesz poddać tego junaka?

Królowa, która w tajemnicy przed wszystkimi, zabawiała się czarami i była złą kobietą, mówiąc o próbach, poprzysięgła sobie, iż wymyśli takie, którym Maciek żadną miarą nie będzie mógł podołać. Głośno wszakże ozwała się w te słowa:

– Och, nie będzie to nic trudnego! Każdy sprytny chłopiec poradziłby sobie z owymi zadaniami łatwo!

Klasnęła w dłonie, a gdy zjawili się słudzy, rzekła:

– Przynieście mi tu worek makowego ziarna i worek popiołu!

A skoro jej życzeniu stało się zadość, wysypała i popiół i mak na posadzkę, zmieszała je dokładnie ze sobą i zwracając się do młodzieńca, powiedziała:

– Oddziel chłopcze mak od popiołu, a nie pomiń ni jednego ziarnka. Masz na to czas do wieczora.

Skinąwszy dłonią wyszła z sali, a za nią podążyli wszyscy inni. Stał Maciek nad tą wielką kupą pokiwał głową ze smutkiem i już zabierał się do odejścia, bo pewne było, iż tego zadania żaden człowiek nie jest w stanie wykonać. Aż tu naraz posłyszał cichuchny, ledwo słyszalny głos:

– Stój Maćku, nie załamuj się i nie lękaj!

Rozejrzał się chłopak dokoła, wypatrując kóżby mógł wypowiedzieć te słowa i ze zdziwieniem ujrzał stojącą na samym szczycie popiołowego wzgóрка, królową mrówek.

– Za to, iż kiedyś nam chłopcze pomogłeś naprawiając zrujnowane mrowisko, chcemy ci się odwdzięczyć. Nie! Nie dziękuj! To dla nas drobnostka i przyjemność.

Gdy tylko królowa mrówek dokończyła owych słów, ze wszystkich szpar i zakamarków poczęły wypełzać te pożyteczne i pracowite stworzonka, natychmiast zabierając się do pracy.

I nie minęły trzy pacierze, jak makowe ziarno zostało oddzielone od popiołu.

Skoro władczyni, matka Blanki, ujrzała iż podstęp się nie udał zamknąwszy córkę w jej komnacie – dusząc się wprost z wściekłości – wyjęła klucz z zamka drzwi i cisnąwszy go w odmęty morskie, powiedziała:

– Z makiem ci się powiodło. Spróbuj jednak prostaku dokonać tego, czego by

się i najznakomitszy nurek nie podjął. Wydobądź klucz z dna oceanu! Takie oto jest drugie zadanie!

Chodził Maciek po piaszczystym brzegu godzinę i drugą i chociaż – jak powiadają -

mężczyznom nie godzi się płakać – niejedna łza zakręciła się mu w oku.

– Cóż! – myślał. – Nie pozostaje nic innego, tylko przyznać się do porażki.

Lecz w tym samym momencie spostrzegł sporą ławicę ryb płynących ku brzegowi. Ta z nich, która znajdowała się na czele, dzierżyła w pyszczku coś co już z daleka błyszczało, odbijając promienie słoneczne.

Później zaś, wielki, piękny łabędź, poderwał się do lotu, wziął do dzioba to coś, co ryba w pyszczku miała, wzbił się ponad fale, zatoczył krąg w powietrzu, zniżył nad głową chłopaka i upuścił mu, pod same stopy... złoty kluczyk od komnaty księżniczki Blanki.

Odlatując zaś rzekł:

– Nakarmiłeś i ryby i nas chlebem, sobie od ust odejmując. Nie zapomnieliśmy o tym.

Dziękujemy, dziękujemy! Myślę, że odwdzięczyliśmy się najlepiej, jak tylko było można!

Królowa matka nie tuiła już wściekłości. Za to król zacierał ręce z zadowolenia, iż los zsyła mu takiego dzielnego i zaradnego zięcia.

– O, pod jego rządami, bez ochyby, nasze państwo rozkwitnie! – mruzczał sam do siebie.

Monarchini, zaciskając pięści i zgrzytając zębami, powiedziała tak:

– Nie ciesz się szewcze przedwcześnie! Nie ciesz! Bowiem pozostała ci jeszcze ostatnia próba!

Później natomiast kiwnęła na młodzieńca zakrzywionym palcem:

– Pójdź za mną!

Gdy znaleźli się w niewielkiej, mrocznej komnatce w oddalonej części zamku, rzekła:

– Spójrz! Oto trzy kobiety, które na skutek czarnoksięskiej sztuki stały się podobne do siebie niczym dwie krople wody.

Na drewnianej, grubo ciosanej ławie, siedziały trzy jędze. Thuste skołtunione włosy, zwisały im z głów strąkami, bezzębne usta rozciągały się w grymasie, który miał być uśmiechem. W brudnych dłoniach, których palce zakrzywione były i zakończone brudnymi paznokciami, dzierżyły wrzeciona.

– No! Któraż z tych niewiast jest moją córką a twoją ukochaną królową Blanką? Jeśli trafnie wskażesz, nie będę już wam żadnych wstrętów czyniła i zezwolę na małżeństwo.

Przechadzał się Maciek przed wiedźmami, przyglądał bacznie, spojrzął im w oczy, mając nadzieję, że przecie serce mu coś podszepta, że zabije żywiej gdy stanie obok Blanki.

Niestety! Wszystkie trzy baby były wprost obrzydliwe i jedna od drugiej nie różniła się niczym. Ba! Były tak do siebie podobne, że miały nawet jednakową liczbę zmarszczek.

Już, już miał młodzieniec rzec, iż się poddaje, gdy oto naraz ujrzał, iż przez okno komnatki wleciał rój pszczół. Frunąc, rzędem zbliżyły się owady – do jędzy siedzącej najdalej od drzwi... i złożyły w jej ustach swój, wonny miód!

Ależ tak! Nie inaczej! Zrozumiał Maciek, iż nie kto inny, a ona właśnie jest jego ukochaną.

Podbiegł tedy do niej, przygarnął do piersi i zawołał:

– Zwyciężyłem wszelkie próby najjaśniejsza królowo! Teraz już nie możecie mi odmówić ręki ślicznej Blanki!

Ostatnia z pszczół, przelatując obok głowy chłopaka, cichutko zabręczała mu do ucha:

– Pomogłyśmy ci w podzięcie za to, żeś naszą barć naprawił!

I tak się kończy ta krótka opowiadka. Król jegomość, dowiedziawszy się o zwycięskim przejściu chłopaka wszelkich prób, śmiał się i cieszył jak dziecko. Królowa zaś, chociaż wściekła, jednak musiała się zgodzić na ślub młodych.

A potem? Potem było weselisko. Cieszył się dwór, cieszyli mieszkańcy stolicy, innych miast królewskich i najodleglejszych nawet prowincji. A gdy przyszedł czas i stary monarcha przeniósł się do lepszego świata, na jego tronie zasiadł Maciek, przybrawszy imię Macieja Pierwszego i wraz ze śliczną Blanką rządził ludem sprawiedliwie.

Pastuch i diabeł

Dawno, dawno temu, tak dawno, że owych czasów nie pamiętają najstarsi nawet ludzie, żył pewien bardzo uczciwy, ale też i bardzo biedny chłopiec.

Nie tylko, że nie miał on swojej chałupy, ale nawet i drugiego przydomku, na zmianę.

Bogaci gospodarze za łyżkę lichej stawy, czy za stary łach jakiś, wynajmowali go do roboty, która polegała na pilnowaniu krów na pastwisku.

Nie narzekał pastuch na swą dolę, zadowalając się tym, co mu nieżyczliwy los zsyłał, a pocieszał myślą, że przecie wiecznie żyć nie będzie, zatem wiecznie nie będzie też cierpieć biedy. Miał również cichutką nadzieję, iż po śmierci Pan Bóg wynagrodzi mu niebem lata głodu i poniewierki, jakich doświadczał w doczesności.

I pewnie żyłby sobie cichutko i skromnie, brzeżkiem życiowej drogi wędrując ku Wieczności, a nie wadząc przy tym nikomu, gdyby nie pewne zdarzenie...

* * *

Czerwcowe słońce weszło w zenit. Żar lał się z nieba tak okrutny, że zwierzęta instynktownie szukały cienia. Zamilkły ptasie świergoty, i jedne tylko koniki polne cykały pośród gęstej trawy.

Jaś – bo tak było naszemu pastuchowi na imię – ułożył się wygodnie na miękkiej murawie poprzątkanej różowobiałymi stokrotkami, u stóp starej, wypróchniałej, w środku, rosochatej wierzby.

Głowę oparł na dłoni i raz rzucał spojrzenie na krowy pasące się nieopodal, raz znów na zapyłony gościnię, pusty o tej porze dnia.

Ciepło mu było, błogo jakoś i tak dobrze, a miło, jak rzadko kiedy. Niebo rozpościerające się w górze, błękitne było niczym chabry rosnące w pszenicy i czyste niczym leśne źródélko.

Już-już miał się Jaś zdrzemnąć, gdy oto naraz do jego uszu doleciały słowa prostej, melodyjnej piosenki, niosące się od gościńca.

Popatrzył chłopak w tamtą stronę i... oniemiał z zachwytu. Ujrzał bowiem najpiękniejszą dziewczynę jaką dotąd oglądał w życiu.

Była to Kasia, córka najbogatszego gospodarza w sąsiedniej wsi.

Jaškowi, chociaż zachwyty nad urodą przechodzącej panny wcale się nie umniejszył, zrobiło się markotno.

„– Nie dla psa kiełbasa, nie dla kota szperka – pomyślał sobie w duchu. – Gdzieżby to takiego dziada-łachmaniarza chciała piękna i bogata panna.”

Łza zakręciła się w Jaškowym oku, ale że to mężczyźnie nie przystoi płakać, otarł ją czym prędzej obszarpanym rękawem koszuli i odwrócił głowę w drugą stronę, nie patrząc więcej na Kasię.

– Ech, pół życia bym dał za to, byle by móc mieć taką jak ona żonę – mruknął sam do siebie.

– Pół życia, powiadasz? – jakiś głos dobiegł uszu chłopaka. Spojrzał Jasiek w górę nieco przestraszony, a i zawstydzony mocno, iż ktoś podsłuchał te jego nie mogące się ziścić marzenia. Patrzy, a tu stoi szczupły jegomość o smagłej cerze, czarnych palących oczach, zrośniętych na czole brwiach i zaczesanej w szpic kruczej bródce. Ubrany jest w myśliwskie buty, myśliwskie spodnie, takąż kurtkę i zielony kapelusz z kogucim piórkiem przypiętym do jego boku.

– Pół życia to dużo, bardzo dużo. Tym bardziej, że nie masz pewności czy oddałbyś tę lepszą, czy tę gorszą jego połówkę. Ja mogę ci zaproponować dużo korzystniejszy interes.

Chociaż może trochę ryzykowny...

– A kim ty jesteś, panie. I skąd żeś się tu wziął?

– Jak to? Czyżbyś się nie domyślał?

Popatrzył Jasiek bacznie na przybysza i wybełkotał:

– Czyś ty aby... nie... diabeł?

– Ależ owszem, owszem! Diabeł we własnej osobie! I chyba nie takim straszny, jak mnie malują?

– No... niby... no... niby nie – jąkał się chłopak.

– A zatem posłuchaj, mój zuchu – diabeł uśmiechnął się przymilnie – co też takiego mam ci do zaproponowania. Urządzimy swego rodzaju zawody. Jeśli mnie w nich pokonasz, dostaniesz pełną czapkę złota. Jeśli natomiast to ja pokonam ciebie, będziesz musiał pomaszerować ze mną do piekła.

– Na zawsze? – naiwnie zapytał Jasiek.

– A jakże myślisz? Pewnie, że na zawsze! Cóż by to był za interes, gdybym cię miał po jakimś czasie wypuścić na ziemię?! – obruszył się „myśliwy”.

Podrapał się Jasiek za uchem, bo przypomniał sobie, co też ostatniej niedzieli ksiądz opowiadał na kazaniu na temat strasznych mąk, jakich muszą doświadczać w piekle potępiency. Podrapał się Jasiek w nos i milczy, bo nie wie co rzec. I piekła się boi i pełną czapkę złota chciałby dostać.

Skoro diabeł zobaczył, że pastuch się waha, pomyślał sobie:

„– Dobra nasza, to już tak, jakby w połowie należał do mnie”.

Jasiek tymczasem wyjąkał:

– Tak od razu, to ci nie odpowiem, muszę wpierw wiedzieć na czym by owe zawody miały polegać.

– Ech, drobnostka. Wpierw będziemy się siłować, który z nas mocniejszy. Potem będziemy się ścigać, który z nas szybszy. Na końcu zaś będziemy rzucać kowalskim młotem, który wyżej go ciśnie w powietrze ten wygra. No, i co ty na to?

Jasiek przestępował z nogi na nogę, lecz nic nie mówił. Diabeł pomyślawszy,

że jeśli będzie nadto naciskał, może chłopaka tylko przestraszyć i nie osiągnąć zamierzonego celu, zmienił taktykę:

– Nie musisz, Jaśku, odpowiadać mi zaraz. Umówmy się tak, że rozważysz propozycję i dasz mi odpowiedź jutro, o tej samej porze i w tym samym miejscu. Tymczasem bywaj!

Czart uchylił kapelusza, pod którym skrywały się dwa nieduże szaro czarne różki i...

rozpłynął się w powietrzu. Jasiek został sam.

Słońce powoli opuszczało się ku ziemi, brzegiem tarczy dotykając już horyzontu. Upał zelżał, wróble w gałęziach wierzb jęły odprawiać swoje wieczorne nieszpory. Krowy porykiwały tęsknie, prosząc by je popędzić do obór.

Powrócił zatem pastuch do wsi, posilił się skibką czerstwego razowca, popił go ciepłym mlekiem i poszedł spać do stodoły, gdzie na miękkim, wonnym sianie wymościł sobie legowisko.

Ale jakoś tej nocy sen nie chciał go nawiedzać. Co i raz zapadał w czarną jego otchłań, ale też co i raz wracała mu przytomność, a z nią myśl natrętna:

„Mogę mieć czapkę złota... czapkę złota... Mogę być bogaty. Mogę nakupić ziemi, konia, krowę, świnie, kury... Mogę mieć własną chałupę i... Kasię za żonę...”

Przewracał się z boku na bok, aż go wszystkie kości rozboleły. Stękał, sapał i pojękiwał, a nie mógł sobie sam ze sobą poradzić.

„Mogę mieć czapkę złota... czapkę złota... Ale czy wygram z diabłem? To duch nieczysty, któremu żaden człowiek nie sprosta, bo od każdego człowieka mocniejszy i sprytniejszy...”

„– Zaraz, zaraz... Ale czy aby na pewno?”

„– Człowiek mu nie sprosta, ale może sprostać zwierzę...”

Jasiek usiadł i skrył twarz w dłoniach.

„-A może jednak nie jest taki sprytny, za jakiego uchodzi? A może uda się go

okpić?”

W głowie chłopaka zakiełkowała myśl pewna i myśli owej uczepił się niby tonący wyciągniętej ku niemu ręki. Myśl ta bowiem niosła ze sobą, chociaż niewielką, ale jednak nadzieję, na odmianę Jaśkowego losu.

* * *

O umówionej porze, pod rosochatą wierzbą, opierając się plecami o chropawy pień drzewa, czekał pastuch na przybycie czarta. Nagle powietrze zadrgało, dziwnie jakoś falując, i począł się formować z niczego ludzki kształt. Za chwilę przed Jaśkiem stał już „myśliwy”.

– No i cóż, mój złoty? Czy żeś się namyślił? Nęci cię czapka złota?

– Namyśliłem się, panie diable. A jakże. Tyle, że tym razem to ja mam dla ciebie propozycję.

– A jakąż to, jeśli można wiedzieć? – Zły zapytał się uprzejmie.

– Przyjrzyj mi się dobrze – odpowiedział mu Jasiek. – I popatrz na siebie samego. Ja jestem chłop jak dąb, a ty chucherko liche. Nie sądzisz zatem, że pokonam cię bez trudu?

Zasepił się czart na te słowa, bo istotnie z pastucha był chłop na schwał, dla którego młody dębczak wyrwać z korzeniami, znaczyło tyle, co dla innego splunąć.

– Rzeczywiście, nie jesteś ułomkiem – ozwał się diabeł ostrożnie. – Ale wspomniałeś, że tym razem to ty masz jakąś propozycję. Chętnie jej wysłucham.

– A zatem słuchaj, panie diable. Widzi mi się, że ja dla ciebie za mocny, a chciałbym żebyśmy mieli równe szanse. Zatem pozwól, że w zawodach zastąpią mnie moi krewni.

– A jacyż to krewni, jeśli można wiedzieć?

– Ojciec staruszek i nieletni brat.

„– Phi, jeśli tak – pomyślał diabeł, to dla mnie jeszcze lepiej. Pewnie dałbym sobie bez trudu radę i z pastuchem, ale skoro mogę mniej się wysilić, to i dobrze.”

– Zgoda – dodał głośno. – Jeśli wolisz by cię krewniacy zastąpili, ja nic nie mam przeciw temu.

– Zatem pójdźmy poszukać mojego ojca – odpowiedział Jasiek.

Ruszyli zaraz w drogę przez pola porośnięte sfalowanymi łąkami zbóż, a szli dość długo, aż osiągnęli skraj starodawnej puszczy, w której wiekowe olbrzymie potężnymi konarami dotykały obłoczków sunących po niebie.

W środku owej puszczy mieszkał niedźwiedź-samotnik o sierści posiwiałej ze starości, ale tak krzepki i mocarny, że wszelki zwierz leśny umykał na jego widok.

Do jego to matecznika doprowadził Jasiek czarta. Skoro niedźwiedź go zwęszył, zaryczał donośnie i łamiąc gałęzie wyskoczył z ukrycia.

Porwali się z diabłem za bary i mocują srodze. Raz niedźwiedź górą, innym razem znów Zły. Ale nie minęło chwil nazbyt wiele, kiedy ten ostatni siły jął tracić i oddech, a widząc, że owo nie przelewki, sprytnie wyslizgnął się z potężnych niedźwiedzich łap i czmychnął gdzie pieprz rośnie.

Popędził Jasiek za „myśliwym” czym prędzej, bo nie chciał aby i jego niedźwiedź poturbował.

Pędzili obaj tak szparko, że zatrzymali się, zziębnięci mocno, dopiero pod Jaśkową wierzbą.

– Przegrałem z twoim ojcem – wychrypiał diabeł, ale to jeszcze, nie koniec zawodów.

Wiem, że w biegu nikt mnie nie pokona. Tym bardziej twój młodszy brat.

– Takiś pewny? – zaśmiał się Jasiek. – o to popatrz, oto mój brat biegnie na przełaj przez pastwisko.

A kicał tam zając, od czasu do czasu skubiąc wonne zioła.

„Myśliwy” roześmiał się na jego widok:

– Też mi przeciwnik – powiedział. – Mały, lichy, to i pewnie brak mu szybkości.

I gdy tylko dopowiedział owych słów, puścił się pędem w stronę zająca. Skoro zwierzak zobaczył kto go goni, nie chcąc mieć z duchem nieczystym do czynienia, dał potężnego susa i co sił w łapach jął uciekać przez pola.

Na próżno diabeł starał się go dogonić, a o tym aby go przegonił, nawet mowy być nie mogło. Jak bowiem wszyscy doskonale wiemy, nawet chartowi nie zawsze udaje się dopędzić zająca.

Diabeł zziąjany przysiadł na miedzy i przez dłuższy czas nie mógł z siebie wydobyć słowa.

– Wygrałeś po raz drugi – ozwał się strapionym głosem na widok Jaśka, który tymczasem wolnym krokiem zbliżył się do siedzącego.

– Ale to nie koniec jeszcze. Czeka cię ostatnia próba.

Strzepnął palcami, i oto nie wiadomo skąd tuż pod stopy pastucha upadł ogromny młot kowalski, który bez ochyby musiał ważyć bardzo, bardzo wiele.

Popatrzył nań Jasiek z przestachem, ale nie dał poznać po sobie, że się boi. Pomyślał przy tym, że nie tylko nie zdoła owego młota cisnąć w górę, ale nawet podnieść go z ziemi.

– Cóżes tak zamilkł? – zapytał czart. – Czyżbyś się bał, że tym razem nie uda ci się ze mną wygrać?

– E, tam! Liche masz o mnie mniemanie. Zastanawiam się tylko, który z nas powinien rzucać pierwszy, ale myślę, że ty. Bo skoro ja rzucę, to uczynię owo tak wysoko, że mój starszy brat mieszkający nad chmurami, gdzie ma swoją kuźnię, na pewno młot pochwyci i już go nam nie odda.

Kiedy diabeł posłyszał te słowa, ogarnął go lęk. Bo młot ów nie był zwykłym narzędziem, ale służył do wykuwania w piekle złotych talarów. Gdyby zatem czart go utracił, nie miałby już więcej po co pokazywać się na oczy Belzebubowi.

Prędziutko tedy powiedział:

– Wiesz co, mój Jaśku. To już może nie rzucamy młotem wcale. Wierzę ci na słowo, że i tym razem nie udało by mi się wygrać.

– Ha! Skoro tak, panie czarcie, tedy dotrzymaj słowa i dawaj złoto któreś obiecał.

Diabeł widząc, że nie uda mu się wykpić, nasypał pastuchowi pełną czapkę talarów, zamachał rękami i zniknął.

A co było dalej? Sądzę, że łatwo można się domyślić. Jasiek mądrze użył bogactw, które tak nieoczekiwanie zdobył. Został najpierwszym gospodarzem we wsi i ożenił się z piękną Kasią, z którą żył długo i szczęśliwie, otoczony gromadką dorodnych dzieci, a potem wnuków, którym w długie zimowe wieczory lubił opowiadać bajki.

Opowieść o królu pysznym i zarozumiałym

Dziś nikt już nie wie, kiedy się to działo. Nikt również nie wie, w którymż to było królestwie. Ponieważ jednak – jak mi się wydaje – będzie to opowieść dość ciekawa, chcę was namówić, abyście jej zechcieli wysłuchać.

Żył ongiś król. Był to władca wielki i wspaniały. Stolica jego państwa liczyła milion, a może więcej niż milion mieszkańców. Wznosiły się w niej piękne i zadbane domy, a czystymi ulicami płynął nieustannie ludzki potok. Ładowne wozy kupców i bogate karoce szlachty turkotały po wyboistym bruku. Ponad miastem wznosił się rozgwar mnogich głosów i uderzały w niebo dźwięki kościelnych dzwonów lub melodie kurantów wygrywanych przez zegar na ratuszowej wieży.

Na okrajach stolicy w licznych sadach, winnicach i ogrodach zielono było od liści, pstro od kwiecica i owoców, ćwierkliwie od ptasich rozmów, ziemia pachniała słodko, a owoce kusily, aby je zerwać.

Lecz nie sama stolica przecie była tak piękna, zadbana i zasobna we wszelkie dobro. Kraj cały pod rządami króla, który na swych ministrów powybierał ludzi mądrych, gospodarnych, uczciwych i nieprzekupnych, cieszył się błogosławieństwem dobrobytu.

Lubił monarcha przechadzać się w przebraniu ulicami, lubił jeździć po kraju, nocować w przydrożnych zajazdach, zaglądać do chłopskich chat i mieszczańskich kamieniczek. Lubił to, bowiem gdzie by się nie obrócił, w którą by się nie udał stronę, wszędzie słyszał pod swoim adresem same błogosławieństwa i pochwały.

Gdy zasiadł na tronie, kraj był zniszczony wojenną pożogą i wówczas – młodzikiem jeszcze będąc – zapragnął, aby państwo podźwignąć z ruiny, ludziom zapewnić codzienną strawę i przyodziewek na każdą z pór roku. Nie myślał wtedy

o swojej chwale, obca mu była myśl o rozślawnieniu swojego imienia.

Lecz w miarę, jak kraj wzrastał w dobrobyt, poddani porastali tłuszczem, miasta piękniały, wsie były zasobne, a gościńcami – ze wszech stron – ciągnęły karawany kupców, coraz częściej rozpamiętywał o swojej wielkości.

Sycił się myślą, iż nikt oprócz niego nie umiałby dokonać tak wielkiego dzieła – wiodąc kraj od ruiny do wspaniałego rozkwitu.

Lubił siadać na marmurowej ławce w oddalonej części pałacowego ogrodu i przymknąwszy oczy dumać o swej chwale.

Pod powiekami przesuwiał mu się orszak władców ościennych i bardziej oddalonych krajów i nie znajdował pośród nich ani jednego, który mógłby mu dorównać.

Ten był głupi, ów gnuśny, tamten bojaźliwy. Skoro uczynił przegląd królów, jął się zastanawiać nad ministrami. Pośród nich również nie znalazł żadnego, który mógł okazać się mu równy rozumem, sprytem, wyobraźnią.

Błogie samouwielbienie ogarnęło naszego monarchę. Uśmiech rozlał mu się po twarzy, a oczy zabłysły.

– Tak, tak! – powiedział do gromadki wróbli, które kłócąc się zawzięcie o jakiś okruch, uganiały po ogrodowej alejce wysypanej miałkim żwirem białej i różowej barwy.

– Tak, tak – ciągnął król. – Patrzcie na mnie głupie, nędzne ptaszyska. Patrzcie na mnie.

Oto możecie ujrzeć człowieka najmądrszego z mądrych, najlepszego z dobrych, największego z wielkich, najbogatszego z bogatych!

– Żaden człek – ciągnął dalej ową przemowę, na którą wróble, jak można się było tego spodziewać, wcale nie zwracały uwagi – jak ziemia długa i szeroka nie może się równać ze mną! Nie masz podobnego memu majestatowi ni na dalekiej północy, kędy mróz skuwa lodem rzeki, jeziora i morza a śnieg przysypuje

wszystko na długie miesiące. Nie masz równemu ani tam także, kędy słońce praży, wysysając każdą kroplę wody z gleby, zmieniając ją w pustynię. Nie masz takiego jak ja w sąsiednich krainach, ani na oceanicznych wyspach, ani na szczytach niebotycznych gór! Jestem największy!

Na gałęzi drzewa rosnącego w pobliżu przysiadła sroka, przekrzywiła łebek i zaskrzeczała:

– Co?! Nie wierzysz mi? – zaperzył się monarcha. – Nie wierzysz? Zapewniam cię uroczyście i mogę nawet dać swe królewskie słowo, iż nie masz nikogo równego mnie, władcy tego kraju...

Przerwał, zamyślił się na chwilkę, a potem dorzucił:

– No, może jeden Bóg mi dorównuje. Ale przecież nie przewyższa! – dorzucił zaraz.

Sroka zaskrzeczała raz jeszcze, a w jej skrzeku dało się wyczuć drwinę. Zamachała skrzydłami i pofrunęła kędyś hen, poza mur ogrodu.

Król wzruszył ramionami, podniósł się z ławki i ruszył do pałacu, bo zbliżała się pora obiadu, a on zgłodniał nieco.

Idąc rozglądał się na prawo i lewo, a jego serce wzbierało dumą, gdy widział jak ogrodnicy kłaniają mu się i wykrzykują:

– Żyj wiecznie, największy z monarchów, jacy kiedykolwiek chodzili po tej ziemi! Żyj wiecznie najmędrzy z najmędrzych, najlepszy z najlepszych!...

Wszedł już na korytarz wiodący ku sali jadalnej, a ciągle jego uszu dobiegały owe okrzyki.

* * *

Po obiedzie król zapragnął rozerwać się nieco. Zaprzęgnięto tedy najlepsze konie do jego karocy i ruszono poza miasto. Prędko gwar rozlicznych głosów

i turkot mnogich kół toczących się po kocich łbach bruku pozostały za nim.

Śród pól złocących się łanami pszenicy, srebrzących zagonami żyta, różowiejących od kwitnącej koniczyny, panowała cudowna cisza. W oddali tylko słyhać było poszczekiwanie jakiegoś psa i pianie kogutów.

Ponad polem, szary i drobny niczym grudka ziemi, którą można bez trudu zamknąć w garści, unosił się skowronek. Jego śpiew perlił się niby kaskada brylantowych kropeł spadających z wyniosłości kamiennej grani na głazy oślizłe i porośłe mchem u jej podnóża.

W trawach cykały polne koniki. Gdzieś zaszeleściła – przebiegając śród sztywnych, wyniosłych źdźbeł – mysz, niosąca swój łup – parę ziarn jęczmiennych – do norki.

Pięknie było cicho i spokojnie.

Słońce, które minęło już zenit i kładło coraz dłuższe cienie, wciąż jeszcze przygrzewało mocno. Jego palące promienie sprawiły, iż gardło króla wyschło, a czoło pokryło się potem.

Z ulgą przywitał tedy chłód i cień, które ogarnęły go, gdy karoca wtoczyła się na leśną dróżkę, ponad którą platanina gałęzi, gęsto okrytych listowiem, tworzyła baldachim.

W oddali, między kolumnadą pni zasrebrzyła się i rozblękitniała tafla niewielkiego jeziora, marszcząca się w oddechu ledwo wyczuwalnego wietrzyku. Brzegi sadzawki zarastał gęszcz trzciny, tataraku, pałki wodnej i sitowia.

Odczuł król przemożną chęć pogrążenia się w chłodnej toni, ostudzenia rozgrzanego ciała, obmycia się z potu i kurzu.

Rozkazał więc, by zatrzymać powóz i wysiadłszy zeń, skierował się ku wodzie.

Rozebrawszy się złożył szaty pod kępą dzikiej mięty, na murawie przetykanej listkami niezapominajek i wszedł do jeziora.

Lecz oto naraz podczas gdy rozgarniał wodę rękoma i z lubością zanurzał

w niej głowę, niebo przecięła – od horyzontu po horyzont – złocistobiała błyskawica, a obłok mlecznobiały i gęsty spłynął z wyniosłości firmamentu w poblizsze miejsce, gdzie stała królewska karoca.

Z obłoku tego wysunął się młodzieniec piękny, o świetlistej twarzy, przyodziany w szatę błękitną przetykaną srebrną nicią, a zahaftowaną perłami i – niewidoczny dla dworzan, którzy rozsiedli się na trawie obok powozu – wszedł do niego.

I w tej samej chwili jego wygląd uległ jakiejś przedziwnej przemianie – stał się bowiem łudząco podobny do króla. Ba! identyczny z nim!

Przybysz wychyliwszy się przez okienko, krzyknął do zdumionych jego obecnością dworaków, którzy nie widzieli by władca powracał z kąpieli:

– Ruszajmyż z powrotem do stolicy!

Powozący wskoczył na kozioł, zaciął konie, a te ruszyły z kopyta. Turkot kół stłumiły grube pokłady ściółki, a pojazd szybko zniknął pośród gęstwiny, zmierzając ku bitemu traktowi.

* * *

Król skończył kąpiel. Wyszedł na brzeg i otrząsnął z wody, która kropelkami stoczyła się po jego tłustej skórze.

Schylił się po ubranie i... oniemiał ze zdumienia. Zamiast wspaniałych złotem tkanych szat, leżały na trawie żebracze łachmany.

Rozejrzał się wokoło, szukając niewczesnego żartownisia i spostrzegł, iż jest w lesie sam.

Znikli dworzanie, znikła karoca. Tylko zgnieciona trawa i ślady kół świadczyły o tym, iż byli tu przed chwilą ludzie.

Przywdział król łachy, leżące na brzegu leśnego jeziora, boć przecie nie mógł

pozostać nagi i ruszył w kierunku stolicy.

Przysiągł sobie, iż tego który wyplatał mu tak szpetnego figla każe okuć w łańcuchy i cisnąć w głąb najciemniejszego lochu.

Miriady gwiazd roziskrzyły się na ciemnogramatowym firmamencie, gdy nareszcie dowlókł się do bram stolicy.

Obolałe, okryte pęcherzami stopy odmawiały mu posłuszeństwa, a dotkliwy głód szarpał wnętrzności.

– Ej, straż! – zakrzyknął władcym głosem. – otwórzcie bramę!

Na te słowa przez niewielkie okienko wychyliła się głowa strażnika i zlustrowawszy przybysza dokładnie, cofnęła do wnętrza.

– Ej, straż! Otwórzcie bramę! – po raz drugi zawołał król.

– Wynoś się stąd dziadu, pókim dobry! – odpowiedział halabardnik.

– Otwieraj! Otwieraj swemu królowi! – krzyczał monarcha.

– To jakiś wariat – mruknął żołnierz. – Ani chybi wariat.

Później zaś dodał:

– Precz stąd, bo psami poszczuję!

Ale król nie chciał ustąpić, walił pięściami w grube bale miejskiej bramy i pomstował.

Straszył żołnierzy, że każe ich powywieszać, jeśli natychmiast go nie wpuszczą.

Ale oni nie raczyli mu już odpowiedzieć, uchylili tylko nieco boczną furtkę i poszczuli natręta dwoma groźnymi brytanami.

Gdyby nie strach, który przydał królewskim nogom chyżości, być może bestie zagryzłyby go u podnóża murów. Udało mu się jednak dopaść rosnącego w pobliżu okazałego drzewa i wspiąć po pniu i gałęziach na sam szczyt prawie.

Drżąc z zimna, strachu i wściekłości, przesiedział król na konarze noc całą i dopiero rano, gdy potok ludzi jął się przelewać przez otwartą już teraz szeroko bramę, zsunął się na ziemię i skierował do swojego zamku.

Jednak darmo się trudził, by przekonać strażników, iż jest ich prawowitym panem. Nie wpuścili go nawet na dziedziniec, a gdy nie chciał ustąpić, odpędzili go kopniakami od zamkowych podwoi.

Nie mógł zrozumieć władca, co też się stało, jakie nieszczęście go prześladuje, czemu nikt nie szuka zaginionego. Ba! Czemuż go nikt nie rozpoznaje!

Nie mógł zrozumieć, bowiem nie wiedział, iż anioł przybyły z nieba, który przybrał na siebie jego posturę, uchodzi za króla.

Anioła owego – jak się nietrudno domyślić – zesłał Pan Bóg, bo postanowił ukarać pysznego i zarozumiałego człeka, który ośmielił się przyrównywać swój lichy i przemijający majestat do majestatu nieskończonego i wiekuistego.

Błąkał się król po kraju, daremnie usiłując przekonać napotkanych ludzi, iż jest ich prawowitym panem, któremu winni są posłuszeństwo, cześć i miłość.

Wszyscy brali go za wariata. Jedni szydzili i pędzili precz, często na drogę częstując kułakiem, inni natomiast – ci o miększym sercu – użalali się nad losem biedaka i bądź dawali mu grosz jaki, bądź kęs chleba i łyk wody. Zapewne umarłby z głodu pyszny król, gdyby nie miłosierdzie ludzkie.

Czasami ktoś litościwy pozwalał mu przespać się w komórcie bądź stajni, zwykle jednak dachem mu było niebo rozwite nad głową, a pierzyną przygarść siana uskubnięta z kopki.

W miarę jak czas mijał, żal i bezsilna wściekłość opuszczały króla i coraz częściej i coraz dłużej rozpamiętywał swe dotychczasowe życie.

Aż wreszcie, którejs nocy, gdy głód dotkliwiej niż zazwyczaj szarpał mu wnętrzności, a zimno wstrząsało ciałem, zrozumiał iż srodze zgrzeszył pogardzając wszystkimi, ponad wszystkich się wynosząc, ba! uznając się za równego Bogu!

Wędrował skrajem lasu, wypatrując w świetle księżyca jakiegoś wykrotu, który byłby mu schowem i łóżem zarazem, aż oto wypatrzył między drzewami słaby poblask ognia sączący się przez prostokąt maleńkiego okienka.

Skręcił w jego kierunku i rychło stanął u drzwi lichej chatki pustelnika. Zakołatał nieśmiało, a gdy jego uszu dobiegło zaproszenie, wszedł.

Wyszły od długich postów starzec z długimi włosami i brodą, zakrywającymi mu plecy i piersi, siedział na pniu brzozowym u stołu zbitego z sosnowej tarcicy.

Widząc przybyłego, zaprosił go gestem by usiadł obok i posunął w jego kierunku miskę glinianą, wyszczerbioną i poczerniałą ze starości, na dnie której było trochę prażonego grochu. Gdy król zaspokoił ostry głód ową skromną strawą, nie zasługującą bynajmniej na miano wieczerzy, pustelnik podał mu dzbanek pełen źródlanej wody.

Władca i starzec siedzieli naprzeciw siebie w milczeniu. W lesie wiatr potrzącał konarami drzew, gdzieś pohukiwała sowa, a pracowity kornik drążył nowy korytarz w ścianie budynku.

I naraz król rozplakał się w głos. Opowiedział starcowi o swej pysze i o tym jak sroga go kara za ową przewinę spotkała. A później powiedział jeszcze, że teraz dopiero wszystko pojął, zrozumiał swój błąd, lecz próżny jest żal niewczesny.

Na owe słowa uśmiech serdeczny i ciepły wykwitł na suchych ustach pustelnika, a twarz mu pojaśniała i odmłodziła. Stara połatana szata przemieniła się w cudny płaszcz błękitnej barwy przetykany srebrną nicią i zahaftowany perłami, a z ramion wyrosły mu śnieżnobiałe skrzydła.

– A zatem zrozumiałeś naukę! Jakże się cieszę, królu. Teraz zamknij oczy, a gdy je otworzysz, cała bieda cię opuści.

Anioł – był to ten sam anioł, który wpierw przyjął na się postać monarchy, a później pustelnika – podszedł do drzwi chałupki, rozwarł je na oścież, pomachał na pożegnanie dłonią i wzbił się w niebo srebrzystobiałą błyskawicą, która na mgnienie oka rozświetliła firmament od horyzontu, po horyzont.

* * *

Gdy rankiem następnego dnia nasz król żegnał posła ościennego państwa, powiedział doń na odchodnym:

– A pozdrów ode mnie mojego królewskiego kuzyna, a twego pana. Mądry to pan i dobry.

Rzadko się dzisiaj takich jak on spotyka. Och! Jakże chciałbym mu kiedyś dorównać!... -

westchnął na koniec.

Słyszając te słowa zdumieni dworzanie spojrzeli po sobie, nie mogąc zrozumieć przyczyny, dla której ich pan tak się odmienił.

Rękawiczki królowej Jadwigi

Niezbyt często się zdarza, iż piękność ciała z pięknnością ducha idzie w parze. Tak było przecież z naszą świętą panią królową Jadwigą, latoroślą dwóch potężnych monarszych rodów Europy: Andegawenów i Piastów.

Kiedy dzieckiem jeszcze będąc przybyła do Polski, gdzie jej wdzięczną główkę ozdobiono jedną z najświetniejszych koron ówczesnego świata, zaraz pokochała nasz kraj i lud go zamieszkujący.

A ze wszystkich miast jakie są w naszej ziemi, najbardziej upodobała sobie Sandomierz, kędy zjeżdżała jak tylko mogła często: a to dla nasycenia oczu cudnym widokiem domostw tonących w jabłoniowych, morelowych i orzechowych sadach, bądź skrytych pośród wypielegnowanych winnic, a to dla zażycia powietrza i dla odpoczynku, czy wreszcie aby w licznych sandomierskich kościołach kierować swą duszę do Boga, wylewając przed Nim serce i prosząc o światło, którego nigdy monarchom nie powinno braknąć.

Tamtej zimy – bo była to zima, mroźna i śnieżna – nawiedziła sandomierską farę Najświętszej Maryi Panny, by w niej błagać Stwórcę, iżby wreszcie pobłogosławił jej i mężowi, staremu Jagielle i obdarował ich potomkiem, który w przyszłości mógłby zasiąść na stolcu krakowskim.

Skoro przemodliła się przez wiele godzin i posiliła duszę Anielskim Chlebem – Przenajświętszym Sakramentem, a później także i ciało, jakowąś postną polewką, bo był to akurat w piątek, tuż po południu wsiadła do sań suto wymoszczonych futrami i kobiercami i kazała się wieźć na powrót do Krakowa.

Nie ujechali jednak daleko, gdy oto naraz niebo całe zasnuły brudnobiałe chmury, z których – niby z rozprutej pierzyny – jął sypać śnieg. Rychło też zerwał się wiatr, który miotając tumanami białych płatków, w przeciągu niezbyt wielu chwil

zatarł szlak gościńca, tak że woźnica nie wiedział, w którąż to stronę jechać wypada, aby dotrzeć do stolicy.

Wylękniony, bo zmrok się zbliżał wielkimi krokami, chciał zawrócić do Sandomierza, ale i z tyłu za nim nie było śladu drogi, tylko rozległa biała płaszczyzna, gdzieniegdzie okraszona pojedynczym drzewem.

Tymczasem zadymka stawała się coraz większa. Wiatr wył i zawodził, siekąc bez miłosierdzia śniegiem, którym ciskał z wściekłością o skórzaną budę rozpiętą nad saniami.

– Jezus, Maria, Józef! Ratujcie nas, dopomóżcie nam, bo giniemy! – krzyknął woźnica, wystraszony nie na żarty.

Święta pani, królowa, wychyliła głowę na zewnątrz i spokojnym głosem wyrzekła te oto słowa:

– Nasze życie w rękach Boga! Nie lękaj się przyjacielu. Jedź przed siebie, ot co. Wszystko jedno w którą stronę, byle przed siebie. Zobaczysz, że Pan Jezus nie pozwoli, abyśmy tutaj pomarli.

Uśłuchał woźnica Jadwigi i chociaż bynajmniej nie uspokojony ruszył przecie w dalszą drogę, tak jak mu była kazała.

Konie ciągnęły z wysiłkiem, zapadając się po pęciny w miękkim i suchym niczym puch śniegu, furman zaś prawie już ochrypl od pokrzykiwania na nie.

Tymczasem mrok gęstniał, a mróz tężał.

Co tam sobie myślała królowa, siedząc okutana sobolowym błamem, któż to może wiedzieć, bez ochyby zdawała sobie sprawę, że może pośród tych szczyrych pól życie postradać, przecie nie dała tego po sobie poznać. Dzielna pani!

Woźnica zlął z kozła i szedł obok koni, żeby im nieco zmniejszyć ciężar jaki im przypadło ciągnąć, a że trudna to była droga, zaraz cały z wysiłku oblał się potem.

Lecz oto naraz, przez śnieżny welon miecionej wiatrem zadymki, niczym

wilcze oczy zabłyśły trzy czy cztery niewielkie światełka.

Wyteżył woźnica wzrok, chcąc się upewnić, czy prawda to, czy też omamienie, i – o radości – znów dostrzegł żółtawe błyski. Strzelił więc z bata, ponagłając konie do szybszego marszu, a zwierzęta jakby wyczuły, iż oto zbliżają się ku wybawieniu i ku spoczynkowi, bo rzeczywiście przyśpieszyły biegu.

I już niewiele chwil minęło, gdy wjechali w opłotki jakiejś lichej wioszczyny. Krzywe, kryte strzechą chałupy, na wpół wrośnięte w ziemię, stały w dwuszeregu po obu stronach wąskiej dróżki. W większości domostw świeciło się światło, przezierające przez okienne ramy obleczone świńskimi pęcherzami.

Woźnica rozejrzał się bacznie i skierował sanie ku najokazalszej z chałup, która – jak łatwo można było się domyślić – musiała być własnością sołtysa.

Nie omylił się.

– Hej, hej! – zakrzyknął ujrawszy postawnego chłopca przyodzianego w ciężką, długą kapotę i w baranią czapę na głowie.

Ten odwrócił się powoli, niespiesznie, osłonił oczy od śniegu i wpatrywał się w mrok, skąd dobiegał go głos.

– A któż to woła? – zapytał.

– Podróźni, którzy zabłądzili w zamieci. Przyjmiecie nas pod swój dach?

– Podróźni... cóż... biedni my ludzie... Cóż, czas pieski... nijak was zostawić bez pomocy...

Zatem – witajcie!

– Najjaśniejsza pani, wysiadać pora. Nie mamy wyboru i tu przenocujemy, a z rana, jeśli Pan Bóg pozwoli i wypogodzi się nieco, ruszymy w dalszą drogę do Krakowa.

– Najjaśniejsza pani?! – zawołał sołtys ze zdziwieniem w głosie. – Najjaśniejsza pani? A do kogoż to wyrzekłeś te słowa człeczce?

– Słuchaj sołtysie – odparł mu woźnica. – Naprawdę wielki zaszczyt spotkał

waszą wioskę, bo sama królowa Jadwiga tu przybyła. Zatem skrzyknij gromadę, a pomyślcie o noclegu i o poczęstunku.

Nie trzeba było chłopu dwa razy powtarzać. Migiem się uwinął i za kilka pacierzy dobrotliwa pani siedziała już przy suto zastawionym stole, przed miskami z kaszą, garnuszkami z miodem i mlekiem, przed ciepłym jeszcze bochnem razowego chleba o kasztanowej, chrupiącej skórce, przed gomólkami sera i przed stertą jajecznicy.

Skoro podjadła sobie i zaspokoila pragnienie, podszedł ku niej przywódca gromady i upadłszy na oba kolana, wyciągając ręce, tak się odezwał:

– Najjaśniejsza królowo! Zmiłuj się nad nami i uwolnij z rąk okrutnego pana, który nas gnębi ciężarami ponad miarę. Srogi on, okrutny i bez miłosierdzia. Za najdrobniejszą przewinę karze chłostą tak straszną, że aż ciało od kości odpada. Ni święta, ni niedzieli nie uszanuje, a człeka dlań zabić, to jak splunąć!

I opowiedział szczegółowo wszystkie krzywdy, jakich od swego właściciela-okrutnika doświadczyli.

Zakręciła się pani Jadwidze łza w oku:

– Już was więcej gnębić nie będzie – powiedziała. – A jako rękojmię mojego słowa, macie te oto rękawiczki.

I stało się jak powiedziała. Złego pana zaraz z wiosny przed swój królewski majestat pozwała i choć wzbraniał się przed tym, odkupiła odeń wieś, w której tak mile w czasie zimowej zamieci była ugoszczona.

Od tamtej pory chłopci owi wolnymi się stali, z jednym tylko zastrzeżeniem – oto musieli oni po wsze czasy pełnić służbę kościelnych w sandomierskiej katedrze Narodzenia Najświętszej Maryi Panny. Wsi zaś zmieniła nazwę, nadając jej nowe miano – Świątniki.

Wdzięczni zaś chłopci dar królewski – rękawiczki pani Jadwigi – złożyli w katedralnym skarbcu, aby na pamiątkę miłosiernej monarchini spoczywały tam

po wieki wieków, i gdzie istotnie do dziś się znajdują.

(Tekst niniejszej legendy opracowano na podstawie wątku zaczerpniętego z dzieła X.

Józefa Rokosznego „Święte pamiątki Sandomierza”, Sandomierz 1914 oraz Krzysztofa Seligi „Legends sandomierskie. Podania. Przypowieści. Anegdoty i przysłowia Ziemi Sandomierskiej”, Lublin 1974)

O marności tego świata i posłuszeństwie synowskim

Stary dziedzic leżał w wielkim łożu. Woskowa twarz i wyostrome rysy świadczyły, iż niewiele chwil życia mu pozostało. Od czasu do czasu tracił oddech, tak jakby ciężar jakiś pierś przygniatał.

– A zatem to już koniec, mój stary – ozwał się dziedzic do stojącego u wezłowania i obcierającego łzy połą kaftana – sługa.

– Wieleśmy razem przeżyli. Oj wiele! Wieleśmy mil przewędrowali i napracowali srodze -

ciągnął. – Teraz zaś rozstać nam się przyjdzie. Ciężko mi cię będzie zostawić samego na niepewne, a może i na poniewierkę?

– Ależ jaśnie panie! Jeszcze wyzdrowiejecie! Jeszcze razem zapolujemy na zające czy kuropatwy! – z udaną wesołością zawołał sługa.

– Nie pleć byle czego, jak to medycy czynią, wmawiając konającemu, że rychło zatańczy na weselu! Dyc widzę, że śmierć – kostucha w nogach łoża stoi, a zakrzywionym palcem na mnie kiwa.

Rozpłakał się w głos sługa słysząc te słowa.

– Daj spokój, mój stary, mój przyjacielu – ozwał się dziedzic.

– Bo cóż płacz pomoże? Każdemu z nas śmierć pisana. Ciebie też nie ominie. Nie boję się jej, o nie! Dość już lat przeżyłem. Umęczyłem srodze, i marzę aby odpocząć po tym znoju.

Tylko z dwu powodów ciężko mi będzie przejść na tamtą stronę.

– A jakież to powody? – zaniepokoił się sługa.

– Pierwszy jest taki, że jeśli mojemu synowi, jedyemu spadkobiercy, zostawię, com przez tyle lat ciężką pracą, oszczędnością i zapobiegliwością zgromadził, może mu się od dobrobytu w głowie przewrócić. Hulać pocnie, na prawo i lewo

pieniężmi szastać, słowem – roztrwoni majątek, siebie do nędzy przyprowadzi i życie zmarnuje. O! Jakże byłbym spokojny, gdybym wiedział, iż uczciwą pracą na własne – a w przyszłości może i swojej rodziny – życie zarabiać będzie.

– To zmartwienie jedno – powiedział sługa. – A jakież jest drugie?

– Drugie ciebie dotyczy. Twego przyszłego losu, gdy zgrzybiałość nie pozwoli na kęs chleba zarobić, a nikt miłosierdzia nie będzie miał nad staruchem. Lękam się, byś głodu nie cierpiał w jesieni żywota, a może też i nie został bez dachu nad głową – O mnie się nie turbujcie, panie, bo prędko do was dołączę – odparł sługa. – A i o syna swego też. To dobry chłopiec. Poczciwe ma serce i charakter dobry. A leniwy nie jest, za to ręczę!

– Wezwij go do mnie, bo wzrok mi się ćmi, a chciałbym jeszcze raz twarz jego zobaczyć, a do serca przycisnąć.

Gdy młodzieniec przekroczył próg ojcowskiej komnaty i zbliżył się do łoża, starzec przez czas długi nie odzywał się wcale, tylko z miłością wpatrywał się w twarz tego, który był krwią z jego krwi i kością z jego kości.

Później zaś, skinąwszy aby się syn nad nim pochylił, do piersi go przygarnął, ucałował gorąco i obcierając wierzchem dłoni łzy cisnące się do oczu przemówił:

– Synu mój. Podporo starości. Tobą jedynym obdarowała mnie żona, a twoja matka nieboszczka.

Tu przerwał, bo tchu mu w piersiach zabrakło, a pot uperlił czoło. Gdy odpoczął nieco, prawił dalej:

– Wiedzieć musisz, iż po mojej śmierci ogromny majątek zostanie. W sklepionej piwniczce, wymurowanej z polnego szpatu, znajdziesz solidną skrzynkę żelazną, pełną samych złotych monet. Są tam pieniądze nasze i niemieckie i z pobliskiego moskiewskiego kraju, ale znajdziesz również inne, z dalekich krajów pochodzące: luidory, skudy, dublony, cekiny...

– W innej skrzynce zgromadziłem wspaniałą biżuterię. Pierścienie, brosze,

łańcuchy i co tam jeszcze. Zamek nasz, umeblowany wspaniale, pełen drogocennych kobierców z Persji, Turcji i Arabii, z Buchary i Samarkandy niewiele ustępuje rezydencjom najprzedniejszych w królestwie magnatów.

Znów przerwał, łapiąc oddech szeroko otwartymi ustami, a gdy minął dość znaczny kęs czasu, mówił dalej:

– Wszystko owo, dobro wszelkie, złoto, srebro, szlachetne kamienie, meble, dywany, drogocenne futra, konie, bydło i ziemię, wszystko to zdobyłem ciężką pracą, uporczywą walką z nędzą dnia codziennego. Po wielokroć rzucałem wyzwanie losowi. Po wielokroć los srogi rzucał mnie na kolana. Bywało, że wątpiłem, iż kiedykolwiek go przemogę, ale przecież nie ustępowałem w wysiłkach.

– Teraz, gdy odejdę do lepszego świata, wszystko, co moim było, stanie się twoją własnością. Taka jest kolej rzeczy. Co natomiast uczynisz z owym ogromnym majątkiem, nie moja rzecz. Możesz go używać, póki się nie wyczerpie, bądź tobie sił starczy i zdrowia. Lecz pamiętaj, że złoto i srebro, i kamienie, dywany, i meble, pola, i pastwiska, i zamek, i bydło, i sfory psów, wszystko to marność tego świata jedynie. Puch, pył i nicłość.

– Rozejrzyj się synu dookoła – ciągnął. – Rozejrzyj baczenie, spójrz ile nędzy i cierpienia i nieszczęść! Nie bądź dumny i pyszny z tego powodu tylko, iż urodziłeś się w zamku, nie w kurnej chacie i żeś sypiał na jedwabiach, a złotogłowiach, nie zaś na przygarści słomy.

– Pomyśl o nędzarzach, którym często żołądek przysycha do krzyża, których żony tak ciężko pracują, że ztracają swoją kobiecość jeszcze zanim się zestarzeją, natomiast ich dzieci, bardziej do wylęknionych zwierząt podobne, niż do ludzkich istot.

Syn słysząc ojcowskie słowa, załkał żałością zdjęty, przypadł do rąk rodziciela, ujął je w swoje dłonie i obsypując pocałunkami, rzekł:

– Cóż mi po majątku, jeśli ciebie utracę? Nie dbam o złoto i srebro, rumaki szlacheckiej krwi, a najmniej o ów zamek, który swymi strzelistymi wieżami góruje ponad okolicą.

– Czy mam owo rozumieć w ten sposób, iż zrzekasz się należnego ci spadku? – zapytał umierający.

– Nie inaczej, tak właśnie. Nie chcę niczego! Niczego!

– Przemyśl to synu raz jeszcze. A przemyśl dobrze!

– Przemyślałem – odpowiedział młodzieniec. – I w zupełności mi starczy głowa na karku do myślenia, a ręce do pracy.

Wówczas stary dziedzic kazał się wraz z łóżem przenieść do jednej z chat we wsi, a znalazłszy się już tam, rzekł do syna:

– Teraz pilnie patrz w okno.

Ledwo domówił słów owych, a oto huk straszny targnął powietrzem. Ziemia zadrżała, kłęby dymu i kurzu zaćmiły blask słoneczny, a w miejscu, w którym dotąd dumnie się wznosiły zamkowe mury, baszty, bramy i wieżyczki, widniała tylko kupa gruzu, po którym gdzie-niegdzie karmiąc się zdruzgotanymi belkami i deskami stropów, pełzały płomienie.

– A teraz żegnajcie – rzekł dziedzic do syna i starego sługi, po czym wyzionął ducha.

Długo młodzieniec stał jak skamieniały, nie rozumiejąc dlaczego ojciec kazał w ostatniej chwili swojego żywota zburzyć to, co z takim trudem wznosił i z czego był bardzo dumny.

Długo młodzieniec płakał po rodzicielu, który przez lat tyle był mu ojcem i matką zarazem.

– Nie płaczcie, paniczu – pocieszał go stary sługa, którego dawny pan zaszczycał swoją przyjaźnią. – Nie płaczcie. Czas leczy wszelkie rany, choćby i najsroźsze. Toć i waszą uleczy.

Nie teraz, to za miesiąc, nie za miesiąc, to za rok. Jeśli zechcecie, nie opuszczę was nigdy.

Doradzę, podpowiem, pomogę jeśli będzie trzeba. Toż was paniczu wypiastowałem na własnych kolanach i uważam za syna.

– Dzięki ci stary, po stokroć dzięki. Nie zaznasz przy mnie biedy, zawsze będziesz miał dach nad głową i brzuch pełny. Teraz zaś najwyższy czas pomyśleć o pogrzebie.

Skoro już uroczystości żałobne dobiegły końca, bryły żółtej ziemi, dudniąc o wieko, spadać poczęły na trumnę, aby ją jak najprędzej skryć. Gdy grabarz formował kopczyk ziemi nad prostą mogiłą – bowiem stary pan nie życzył sobie spoczywać w grobowcu z kamienia – jego syn zwołał całą wieś na plac kościelny.

Gdy zaś zgromadzili się wszyscy: i chłopci, i baby, i dzieciarnia, ozwał się w te słowa:

– Jak pewnie wiecie, ojciec mój, nieboszczyk, ogromny pozostawił majątek. Mógłbym -

korzystać zeń – do końca życia biedy nie zaznać, jeść, pić, a zabawiać się. I to nie wiem czybym dał radę wszystko przetracić...

Szmer podziwu rozległ się wśród zebranych.

– Lecz ja – ciągnął młody pan – postanowiłem inaczej. Czyż nie mam zdrowych rąk? Czyż nie mam głowy na karku? Czy brak mi śmiałości? Wyobraźni? Cierpliwości?

– Oto posłuchajcie, com postanowił z moim dziedzictwem uczynić. Cokolwiek posiadam, wszystko rozdaję między was! Sobie nie zostawię nic prócz tego, co mam na grzbiecie i paru dukatów, żebym przez pierwsze tygodnie nie przymierał głodem.

Krzyk się podniósł wielki ponad gromadą chłopstwa. Nie było końca chwalebom i wiwatom. Nie było końca błogosławieństwom. A radość taka zapanowała pośród

zebranych, że tylko dla zobaczenia owego widoku warto było rozdać pomiędzy ubogich nie jeden majątek, a i więcej nawet.

Młody pan, zostawiwszy gotowiznę i wszelkie ruchomości plebanowi, zobligowawszy go, aby sprawiedliwie rozdzielił to pośród potrzebujących, wzięwszy podróżny kostur do ręki, z wiernym starym sługą u boku, na piechotę ruszył do stolicy.

Chociaż z początku szlachta – zwiedziwszy się o wspaniałomyślnym geście młodzieńca -

wzięła go na języki, drwiąc zeń niemiłosiernie, ba! biorąc go nawet za wariata, później widząc jego prawość, dobrać, pracowitość i skromność, zmieniała zdanie.

Zaś król jegomość – wysłuchawszy tę historię – zamyślił się głęboko, a później rzekł:

– Przywiedźcież przed moje oblicze owego człeka.

A skoro ów się stawił na wezwanie monarsze, władca powiedział:

– Ludzi takich jak ty spotyka się rzadko, bardzo rzadko. Najwyżej jednego na dziesięć pokoleń. Grzechem by było i niegodziwością, jeślibym nie zechciał skorzystać z zalet twego serca. Od tej pory staniesz się jednym z moich dworzan i urzędników.

Podziękował młodzieniec swemu panu, skłonił się nisko przed majestatem i ile sił tylko, starał się by ów się na nim nie zawiódł.

Rychło też – dzięki mądrości i roztropności połączonej z niezwykłą pracowitością i zupełnym brakiem chciwości – przymnożył chwały i bogactwa swojemu krajowi, a monarcha w nagrodę jego zasług, uczynił go najpierwszym panem w królestwie.

O lichwiarzu i jego pieniądzach

Dawnymi czasy był pewien człowiek, który bardzo, ale to bardzo lubił pieniądze. I były one jedynym celem, ba! sensem jego istnienia.

Jeszcze dzieckiem będąc, gdy przytrafiło mu się znaleźć grosz jaki, potrafił całymi godzinami wpatrywać się weń, gładzić palcami, przytulać do policzka.

Skoro dorósł, długo rozmyślał jaki by obrać zawód, który przynosiłby mu największe korzyści i rychło pozwolił zgromadzić dużo, dużo złota.

Dumał długo, ale żadna z tych profesji, którą znał, bądź przychodziła mu na myśl, nie gwarantowała ani prędkiego, ani wielkiego bogactwa.

Aż oto pewnego dnia, gdy przechodził jedną z głównych ulic swojego miasta, spostrzegł mężczyznę, który chyłkiem, jakby wstydząc się tego, co czyni, wszedł do domu człowieka, o którym powiadano, iż trudni się lichwą.

I wówczas nasz znajomy doznał olśnienia. Pojął, iż chociaż nieuczciwa, bo żerująca na ludzkiej nędzy, łzach, a czasem nawet i krwi, wszakże lichwa to jedynie zajęcie, które może przyczynić się do spełnienia jego marzeń o bogactwie.

Od owej pory miał już prosto wytkniętą drogę i jasny plan działania. I od owej pory wielokroć każdego dnia słyszał nieśmiałe pukanie do drzwi swego mieszkania i widział opuszczone oczy, albo przeciwnie – wpatrzone błagalnie w jego twarz. Widział ręce nieśmiało wyciągnięte po grosze, które odliczał skąpo za przynoszone jako zastaw mniej lub bardziej cenne przedmioty.

Nasz lichwiarz – jak wszyscy lichwiarze zresztą – serce miał twarde niczym bukowa deska, nie wiedział, co to uczucie litości i nie pożyczył ani pół pieniążka temu, kogo podejrzewał, iż może nie przynosić mu korzyści, choćby proszący miał zemrzeć z głodu na jego progu.

Przemijały tygodnie, miesiące i lata. Z procentów od pożyczek, dochodów ze

sprzedazy przedmiotów zostawionych pod zastaw, z ludzkich łez i cierpień fortuna lichwiarza urosła ponad wszelkie jego marzenia i wyobrażenia z czasów gdy rozpoczynał swój proceder.

Lecz jemu było ciągle mało i choćby mógł już kupić na własność pół rodzinnego miasta, wyglądał gorzej niż żebrak, który w kościelnej kruchcie wyciąga rękę po datki, płaczącym głosem prosząc ludzkiego miłosierdzia.

Miał jedne, jedyne spodnie, które przed laty kazał sobie uszyć z porządnego sukna, wyszarzałe i bardzo zniszczone. Buty były pstre od lat ponaszywanych na wierzchu i poprzybijanych podeszew i wyglądały tak groteskowo, że gdy szedł ulicą, a przechodnie widzieli owo „coś” na jego stopach, zwykle wybuchali śmiechem.

Obrazu całości dopełniała kapota, będąca niegdyś buraczkowej barwy, a teraz jakiejś pośredniej między brązem, szarością i zgniłą zielenią. Głowę zaś – czy było to lato, czy zima – lichwiarz nasz przystrajał zawsze granatowym beretem, stanowiącym najelegantszy element jego stroju.

Była to postać szeroko znana. Jego imię z jednakim obrzydzeniem i nienawiścią wymawiano zarówno w szlacheckim dworku, mieszczańskim domu, jak i chłopskiej chacie.

Przeklinali jego imię wszyscy ci – a było ich wielu, bardzo wielu – którzy musieli, przyciśnięci nędzą szukać pomocy, gdy zawiodły już wszystkie inne sposoby, w ohydnej jamie lichwiarza.

Życzył mu piekielnych mąk biedny szlachetka, który pożyczył parę lichych groszy pod zastaw jedyne pierścionka swej żony odziedziczonego po jakiejś prababce, a przechowywanego przez pokolenia całe z najwyższym szacunkiem, który przysługuje relikwii.

Przeklinał go chłop, który za barani, całkiem dobry kozuch, nie dostał nawet tyle, by kupić lekarstwo dla dziecka.

Złorzeczył mu mieszczuch, wyzbywszy się za bezcen odświętnej kapoty.

Bo nie miał nasz lichwiarz litości, jak się już wcześniej rzekło, i jeśli ktoś o dzień jeden choćby się spóźnił ze spłatą długu i procentów, już nie odzyskiwał zastawionej własności.

Dnie lichwiarza upływały jednostajnie szare. Szare były, gdy mgła smużyła się wzdłuż ulic, szare były, gdy padał deszcz, gdy śnieg prószył, ale szare były również i wówczas, gdy innych radował blask słońca opromieniający ziemię.

Lecz gdy za oknem zapadał zmrok, a rozgwar na ulicach powoli przycichał i tylko bezpańskie psy poszczekiwały, uganiając po podwórkach, nasz znajomy zapalał przenośną lampę i oblepionymi brudem schodkami, opuszczał się do swej piwnicy.

Było to pomieszczenie niewielkie, do którego wiodły jedne, jedyne solidne drzwi dębowe, zamykane na żelazną sztabę i pozbawione okna.

Ściany poobwieszane grubymi festonami pajęczyn, byle jak ochlapane wapnem, spod którego gdzie-niegdzie przeświecały poczerńiałe cegły, sprawiały odpychające wrażenie.

Klepisko glinianej podłogi pokrywała gruba warstwa kurzu i szczurzych odchodów.

Piwniczka była pusta, tylko na jej środku stała żelazna skrzynka, a obok niej drewniany zydel. Skrzynka była zamknięta na kilka kłódek.

Ilekroć lichwiarz przybywał do loszku – a jako się rzekło czynił to każdego wieczora – z namaszczeniem, jakby celebrował jakieś nabożeństwo, otwierał kłódki jedna po drugiej, później podnosił wieko i spoglądając do wnętrza skrzynki ulegał dziwnej przemianie.

Znikał zgorzkniały i zły wyraz jego twarzy, rysy wygładzały i wypogadzały, usta rozciągały w uśmiechu, a oczy rozpalały blaskiem.

Pochylał się lichwiarz nad skrzynką, którą po brzegi wypełniały złote monety.

Pochylał się nad swym skarbem. Zanurzał ręce po łokcie w brzęczących cichutko a słodko żółtych krążkach, przesypywał je między palcami, przywierał do nich ustami.

Ich widok był mu najmiłszym ponad wszystko widokiem, ich dźwięk był najmiłszym ponad wszystko dźwiękiem, zaś to, że należały do niego, nappełniało go niewymowną radością, przydawało sił, syciło. Bez nich, bez pieniędzy, życie lichwiarza straciłoby wszelki sens. Zagubiłby się na drodze wiodącej od dnia narodzin, ku dniowi śmierci.

A ten ostatni zbliżał się nieubłaganie. Z każdą godziną, minutą, sekundą przemijającego czasu.

Złote słońce niezmordowanie wstawało i zachodziło, złote pieniążki skapywały do skrzynki. Było ich więcej i więcej, lecz w miarę jak ich przybywało, przybywało też zmarszczek na twarzy lichwiarza, a siwych włosów w jego czuprynie.

W końcu wreszcie nadszedł ów dzień, który w życiu każdego z ludzi nadejść musi. Dnia tego skąpiec poczuł, iż oto już niedługo słońce wejdzie dlań po raz ostatni i po raz ostatni zajdzie, zaś dłonie po raz ostatni dotkną chłodnego kruszcu.

Ogarnęła go rozpacz i przerażenie. Nie chciał, nie umiał sobie wyobrazić, że przyjdzie mu zostawić to wszystko, co z takim trudem, z takim móżolem uzbierał przez tyle lat. Ale wiedział doskonale, iż przecie na tamtą stronę bytu niczego stąd się zabrać nie da.

I właśnie ta świadomość była dlań najstraszniejszą torturą.

Nocami budził się zlany potem, z krzykiem na ustach, bo w sennym majaku widział siebie i ową skrzynkę, spoczywającą w piwniczce, jak oddalają się od siebie nawzajem, coraz bardziej, i bardziej, i bardziej...

Aż oto któregoś ranka, jedząc swe skromne śniadanie złożone z paru kęsów chleba, który zapijał mlekiem mocno rozcieńczonym wodą, zaświtał mu w głowie

pewien pomysł. Tak, to było właśnie to, czego od tylu dni gorączkowo szukał w myślach.

Odsunął nie dojedzony chleb, odsunął wodniste mleko i nałożywszy na nogi połatane buty, wyszedł z domu, a udawszy się do pobliskiego sklepiku, poprosił by sprzedano mu garniec najlepszej śmietany.

Sprzedawca po trzykroć ponawiał pytanie, czego też życzy sobie lichwiarz, sądząc, że się przesłyszał i dopiero całkowicie upewniwszy, odmierzył mu żadaną ilość czegoś, czego ani razu przez wszystkie lata swego dorosłego życia skąpiec nie kupił i nie skosztował.

Wieść o rozrzutności lichwiarza lotem błyskawicy rozeszła się po mieście i okolicy.

Wzbudziła sensację i sprawiła, iż wielu, wielu ludzi łamało sobie głowy, by zrozumieć skąd u niego takowa rozrzutność.

Ale nie była to rozrzutność, o nie! Lichwiarz doskonale wiedział co czyni!

Wróciwszy do domu, inaczej niż zazwyczaj, bo w biały dzień, nie czekając wieczora, zszedł do loszku i zabrawszy stamtąd żelazną skrzynkę, z niemałym trudem wywindował ją po schodach i zaciągnął do mieszkania.

Uczyniwszy to, powrócił do przerwane go uprzednio śniadania. Na jeden, jedyny, wyszczerbiony fajansowy talerz z bladoniebieskim szlaczkiem, nałożył sobie solidną przygarść złotych monet, polał je po wierzchu śmietaną wymieszał wszystko drewnianą łyżką i... zjadł.

I odtąd przez cztery kolejne dni połykał swoje złoto ze śmietaną na śniadanie, obiad i kolację, często przeżuując po kilka pieniążków także między posiłkami, aż wreszcie w skrzynce pokazało się dno.

Lichwiarz stał się tak ciężki, iż nie mógł się prawie ruszać, a jeśli musiał, czynił to z wielkim trudem. Daremnie pukano, czy mocniej nawet dobijano się do drzwi jego domu.

Wszyscy, którzy pragnęli zaciągnąć u starucha pożyczkę, odchodzili z niczym, bo im nie otwierał. Nie otwierał, chociaż krajało mu się serce, że tyle pięknych okazji przymnożenia majątku utracił.

W końcu, czwartego dnia, wieczorem, skończyło się złoto i skończyła śmietana, a lichwiarz całkiem odzyskał spokój ducha. Teraz już wiedział, iż nigdy, przenigdy nie rozstanie się ze swoim skarbem, że związał się z nim na wieczność. Położył się więc do łóżka i wyzionął ducha.

Gdy po jakimś czasie ludzie zmiarkowali, iż lichwiarz musi nie żyć i wszedłszy doń do domu znaleźli go martwego, poczęli szukać skarbu, aby częścią pokryć koszty pogrzebu, a resztę przeznaczyć na jakiś zbożny cel.

Próżno jednak się trudzili, próżno opukiwali ściany, zdzierali podłogi, opukiwali sufity i przekopywali piwniczkę. Pieniądze wyparowały niczym kamfora i nie znaleziono nawet jednego miedziaka.

Musiał zatem magistrat pochować starca na swój koszt w trumnie zbitej z sosnowych, nie heblowanych desek, w zbiorowej mogile nędzarzy.

Tak jak ludzie przeklinali go całe życie, tak też przeklinali go i po śmierci.

Dwaj pomocnicy grabarza niosąc trumnę do wykopanego dołu, pomstowali że bardzo ciężka.

– Powiadają, że żył powietrzem i wodą i rzeczywiście chudy był jak szczapa, ale waży więcej niż tęgi zapaśnik – ozwał się jeden z nich.

– To ludzkie łzy i ludzka krzywda tak ciężą – odparł na to drugi.

Skoro bryły żółtej ziemi z głuchym łoskotem jęły padać na trumnę, dusza starca ze wszystkich sił poczęła się opierać, by jej nie zabrano do czeluści piekielnych. Uchwyciła się kurczowo swego złota, ale przecież nie mogła ostać się tam, gdzie chciała, bo wyroki były zgoła inne.

I nie myślcie, że dzisiaj cierpi męki palącego ognia, czy wrzącej smoły. Skądże! Jedyłą mękę zadaje sobie sama, tęskniąc za tym, co tyle lat stanowiło jedyny cel

i sens istnienia, a czego ją pozbawiono po śmierci.

Bajka o chłopie, smoku, lisicy i kurach

Dzionał był piękny. Pożłocista słoneczna kula leniwie wspaniała się ku zenitowi firmamentu, który błękitnym baldachimem, nie splamionym nawet jedną chmurką rozpinał się nad ziemią.

Po polnej, wyboistej drodze, wzniesając obłoczki kurzu, sunęła z turkotem drewnianych, okutych żelaznymi obręczami kół, fura ciągniona przez starą, kościstą kobyłę.

Na furze zaś siedział, rozparty na snopku żytniej słomy przykrytym połatana derką, niestary jeszcze chłop. Nucił coś pod nosem i uśmiechał się z zadowoleniem sam do siebie, od czasu do czasu zagadując do kobyły:

– No i cóż stara? Pięknie się dziś sprawiliśmy. Jeszcze się jarmark na dobre nie zaczął, a my już jesteśmy pozbyli się wszystkiego, co było do sprzedania i kupili wszystkiego, co było do kupienia.

Z lubością zważył w dłoni spore zawiniątko groszaków, pobrzękując z cicha monetami.

Kobyła nie zwracała nań wcale uwagi i nisko opuszczając wielki łeb ciągnęła furę z mozołem.

– Pewnie na południe wrócimy do chałupy. A to się stara zadziwi! No i pewnikiem pochwali za to, że taki obrotny. A może i nie pożałuje omasty?... – rozmarzył się w głos.

– Wiesz co? – zagadnął kobyłę. – Jeśli dzisiaj baba okrasi mi kaszę skwarkami to dam ci pięć garści owsa. Niech stracę!

Kobyła obróciła na te słowa swój kanciasty łeb ku mówiącemu i – już, już otwierała pysk, jakby mu chciała za ową obietnicę podziękować, ale nie zdążyła, bo chłop się zmitygował i rzekł:

– No, pięć garści to może nazbyt wiele, ale na dwie garstki, możesz liczyć.

Po obu stronach krętej, wąskiej dróżki ciągnęły się od horyzontu po horyzont pola bezkresne. Łany żyta, kłoniąc kłosy pod ciężarem dojrzewającego ziarna, w podmuchach łagodnego wietrzyku falowały niczym powierzchnia morskiej toni. Od zagonów koniczyny smużył się słodkawy zapach kwiecia, a uszu dobiegało miłe brzęczenie pszczół pracowicie spijających nektar.

Minął kęs czasu i pola ustąpić musiały przed zwartą ścianą boru, pośród którego, wychylając się wysoko ponad wierzchołki najrośniejszych nawet sosen, tkwiło skaliste wzgórze. Ze wzgórza tego tryskało źródło krystalicznej wody, przelewającej się między oślizgłymi i chłodnymi głazami, zbiegającej po pochyłości w dół, a później cienkim strumyczkiem wijącej się pomiędzy drzewami i ginącej kędyś hen, w zielonkawym półmroku gęstwiny.

Ucichł turkot kół na wybojach, gdy furka wtoczyła się na leśną drogę, grubo wysłaną opadłymi, zrudziałymi igłami sosen.

Chłop nie lubił lasu. Półmrok, cisza i powaga boru onieśmiały go. Ujął więc krzepiej lejce i już, już zamierzał się batem, aby ponaglić kobyłę do szybszego marszu, gdy jego uszu dobiegł jakiś dziwny odgłos. Zrazu zdało mu się, iż to skrzypienie starego studziennego żurawia, lecz rychło skrzypienie przerodziło się w ryk potężny i rozpaczliwy.

Splunął chłop po trzykroć, aby odegnać nieszczęście i mruknął sam do siebie:

– A cóż to za lichy?

Im bardziej zbliżał się ku skalistemu wzgórz, ryk ów narastał, potężniał, odbijał się echem od kolumnady pni.

– A cóż to za lichy? – ponownie wyszeptał chłop.

Nie miał jednak czasu, by dłużej zastanawiać się nad tym, bowiem kobyła wyminawszy zakręt, wyjechała na prosty odcinek leśnej drogi, biegnący u stóp skalistego zbocza. I wtedy chłop znalazł się oko w oko ze... smokiem.

Gad był potężny, przypominał wyglądem ogromną jaszczurkę. Okrywała go szarzielona łuska. Na łbie miał narośl w kształcie rogu, a u łap potężne pazury, zdolne rozerwać wołu.

Smok miotał się wściekle, aż zrył i stratował znaczną połać dróżki, poobdzierał korę z sosen rosnących w pobliżu, połamał krzewy i ryczał. Przerażliwie ryczał, a gdy zmęczył się, stękał ciężko, bądź wydawał odgłos przypominający skrzywienie studziennego żurawia.

Ściągnął chłop lejce i kobyła posłusznie stanęła, a później począł z zaciekawieniem przyglądać się bestii. Wnet wypatrzył, iż wielki kawał skały oberwawszy się, spadł z wysokości i przygniół ogon przechodzącego akurat tamtędy smoka.

Chociaż w pierwszym odruchu – na widok potwora – pomyślał o ucieczce, zoczywszy, iż ów jest uwięziony, zaniechał tego zamiaru i został.

Smok na widok chłopca ucichł i znieruchomiał. Wpatrywał się weń swoimi wylupiastymi oczyma dość długo, a później przemówił ludzkim głosem:

– Ach, co za szczęście, żeś tędy przejeżdżał, chłopie! Wielkie szczęście! Nie uciekłeś na mój widok, a to znaczy, iż odważne masz serce. Barczysty jesteś, ręce masz krzepkie, pewnie zdołasz dźwignąć kamień, który spadł na mój biedny ogon? Myślę, że to dla ciebie fraszka?

– A pewnie! – odparł chłop, którego próżność smok połaskotał mile.

– Ach, więc uczyn to, mój przyjacielu, uczyn! Uwolnij starego, biednego smoka, a zobaczysz, co ja uczynię w zamian! W tobie jedyna moja nadzieja na wybawienie! Nie odmawiaj mój miły przyjacielu! Nie odmawiaj! Bardzo, bardzo proszę!

Chłop litościwe miał serce i nie dał się długo błagać. Zeskoczył z furki odprzęgnął kobyłę i wzięwszy dyszel, podważył nim skałę, aby smoka uwolnić.

Ale niełatwa to była sprawa. Kamień był bardzo ciężki. Napinał chłop mięśnie

ze wszystkich sił, tak iż zdawało się, że lada chwila popękają. Pot lał mu się z czoła, a przed oczyma – z wielkiego wysiłku – przelatowały ciemne płaty.

Sporo czasu minęło, nim trochę siłą, a trochę sprytem, podźwignął kamień na tyle, iż smoczysko mogło wyszarpnąć spod niego swój ogon.

Chłop i smok przysiedli naprzeciw siebie po dwu stronach drogi. Smok dmuchał na ogon i chłodził go wodą wypływającą ze skały, chłop znowu obcierał pot połą koszuli i ciężko łapał powietrze. Tylko kobyła obojętna na wszystko co się działo, spokojnie obgryzała gałązki jakiegoś krzewu.

Gdy odpoczęli obaj, gad ozwał się do chłopca w te słowa:

– Ach, mój przyjacielu, to jeszcze nie koniec wszystkich moich zmartwień. Od jednego mnie uwolniłeś, podważając skałę. Lecz jeszcze drugie doskwiera.

– A jakież to zmartwienie, paskudo?

– Nie mów tak do mnie – smok skrzywił się szpetnie. – Nie lubię, gdy ktoś brzydko mnie nazywa. Pytałeś o me drugie zmartwienie? Cóż – westchnął ciężko – cóż, głodny jestem. Od wczorajszego wieczora kęsa stawy nie miałem w paszczy, a oto już południe się zbliża.

– Daruj, panie smoku – odpowiedział chłop na to – ale nie będę ci mógł pomóc. Co mogłem, to dla ciebie uczyniłem. Teraz jednak, sam będziesz musiał zatroszczyć się o swój brzuch. Miałem skibkę chleba, co to mi ją baba rano naszykowała, ale ją zjadł na jarmarku.

– Chleb! – smok skrzywił się z pogardą. – Chlebem można co najwyżej pozaklejać dziury w zębach, a mnie – tu się oblizał szybko – mięsa trzeba.

– A skądże ja ci wezmę mięsa?! – zakrzyknął chłop.

Gad skończył już z udawaniem grzecznego, szpetnie zazgrzytał, zionął ogniem i z gniewem zakrzyknął:

– Słuchaj, durny chłopie! Głodny jestem, a zatem dać mi musisz swoją kobyłę co wóz ciągnie, bym ją pożarł. Jeżeli odmówisz, to i tak ją zeżrę, ale ciebie

najpierw. Jeśli zaś mi nie odmówisz, wpierv zjem kobyłę, a dopiero potem ciebie.

– Ej, smoku – okrutniku – odpowiedział na to chłop. – Takż to twoja wdzięczność za moje litościwe serce? Jużeś zapomniał, iż obiecywałeś, co też mi uczynisz w zamian jeśli cię uwolnię?

– No właśnie – odparł smok. – Mówilem: „zobaczysz, co ci uczynię, skoro mnie uwolnisz”, a zatem chcę dotrzymać słowa, bom miał wtedy na myśli to, że cię zjem.

Załamal chłop ręce, schwycił się za głowę, a później zwrócił się do kobyły:

– Ty żeś to szkapo była jedynym świadkiem ilem owemu gadowi wyświadczył dobrego.

Osądź zatem, czy godzi mu się zżerać ciebie i mnie, czy też raczej winien puścić nas wolno?

A zwracając się do smoka ciągnął:

– A ty, panie smoku, miej honoru na tyle, byś nie krzywdził nas biedaków bez sprawiedliwego wyroku.

– Może i masz rację. Tedy zgoda. Co się odwlecze, to nie uciecze! Sądź nas kobyło.

Lecz kobyła była głupia, bo zamiast mądrym wyrokiem wyratować i chłopca i siebie, rzekła tylko:

– Nie masz wdzięczności na tym świecie! Oj nie masz!

Skoro smok owo usłyszał, z zadowoleniem zionął ogniem z pyska i już, już miał się do zjedzenia szkapy zabrać, gdy naraz z jamy znajdującej się pod korzeniami prastarej sosny wysunęła się lisica i powiedziała:

– Cóż czynicie?! Nikt nie może być sędzią we własnej sprawie! Pozwólcie raczej, iż to ja was osądzę.

Chłop i kobyła ucieszyli się, że mogą zyskać kilka chwil życia jeszcze, bo smok zgodził się na propozycję lisicy.

Ona zaś powiedziała:

– Ponieważ nie widziałam wszystkiego dobrze od samego początku, niech smok pozwoli przywalić się głazem, a chłop niech go ratuje, abym sprawiedliwie orzec mogła, czy istotnie go uratował.

Smok więc wsadził ogon do dziury, a chłop podważywszy dyszlem kamień, stoczył go tam po pochyłości. Ryknął gad przeraźliwie, gdy poczuł ból i dalejże miotać się na wszystkie strony, wołając:

– Ratuj mnie chłopie czym prędzej! Ratuj, bo nie wytrzymam bólu tak wielkiego! Och!

Ulituj się nade mną przyjacielu!

Już brał się chłop do dyszła, gdy lisica zakrzyknęła:

– Czy cię całkiem z rozumu obrało, dumny chłopie? Ocaliłam – dzięki podstępowi – życie tobie i twojej starej kobyłe. Uciekajmyż czym prędzej z tego miejsca, bo gdyby udało się smokowi wolność odzyskać, to krucho byłoby z nami wszystkimi!

Zaprzągnął więc chłop szkapinę do furki, rozparł się na snopku przykrytym połataną derką, lisica przysiadła obok niego i odjechali.

Gdy oddalili się spory szmat drogi i bór został już daleko za nimi, lisica ozwała się do chłopca:

– A nie zapomniałeś jeszcze, że ocaliłam ci życie?

– Niech mnie ręka boska broni, abym miał zapomnieć! Będę ci wdzięczny do grobowej deski.

– E tam! – skrzywiła się lisica. – Nikt się jeszcze nie napasł wdzięcznością. Myślę, że należy mi się jakaś inna podzięką z twojej strony, chłopie.

– A cóż byś chciała, lisico?

– Pewnie masz kury u siebie w chałupie?

– Ano mam.

– A ile?

– Dwanaście.

– Więc daj mi je do zjedzenia. Każdego dzionka po jednej.

Tak też się stało. Chłop spełnił ową prośbę i lisica co dnia zjadała po jednej kurze, lecz gdy schrupała ich już jedenaście i pozostała tylko jedna, żona chłopca nie mogąc ścierpieć poniesionej straty, schwyciwszy tęgiego sękacza, pobiła lisicę dotkliwie i przepędziła precz.

A teraz osądźcie sami: Czyż kobyła nie miała racji, mówiąc, iż nie było i nie ma wdzięczności na tym świecie?

O uczniu czarnoksiężnika

Przed wielu, wielu laty, tak dawno, iż nikt już nie pamięta kiedy się to działo, w niewielkiej wioszczynie zagubionej wśród bezkresnych pól, żył pewien świniopas. Mieszkał wraz z matką, która dla zarobku najmowała się bogatym gospodarzom do roboty w polu.

Świniopas oczywiście nie zajmował się własnymi zwierzętami, jakże bowiem byłoby go na nie stać, skoro cały jego majątek stanowiły zgrzebne portki i także koszula. Strzegł stada nierogacizny, którego sztuki należały do rozmaitych właścicieli, a najwięcej do opasłego młynarza.

Pewnego czerwcowego ranka, gdy słońce ledwie wychyliło skrawek swojej tarczy spoza widnokręgu, a wróble gniezdzące się pod strzechą rozpoczynały kłótnie, nasz pastuch zamiast zwlec się z posłania i ruszyć do roboty, jak to nieodmiennie czynił co dnia, czy był to piątek czy świętek, tym razem obrócił się tylko na drugi bok i na powrót pogrążył we śnie.

– Wojtuś! Wojtuś! – matka delikatnie potrząsnęła go za ramię. – Wojtuś! Czyś chory?

Powiedz mi syneczku. Boli cię co? Hę? Może ci zaparzyć mięty, albo dziurawca?

– Dajcie mi spokój matko. Nic mi nie jest.

– O la boga, la boga! – zajęczała kobieta. – To czemu nie wstajesz?! Dyć stracisz robotę przy świniach, coś ją z takim trudem zdobył.

Próbował Wojtek spać dalej, ale biadolenie matki nie pozwoliło mu na to. Wreszcie, zgniewały go owe jęki, usiadł na posłaniu i rzekł z irytacją:

– A to stracę! I cóż, że stracę! Ale mi też szczęście! Cięgiem tego chrząkającego świństwa pilnować! Otóż oświadczam wam matko, że mam dość

i więcej wieprzów pasać nie będę!

– Cóż więc syneczku będziemy jedli? Teraz nam obojgu często burczy w brzuchach, a co dopiero, kiedy nie przyniesiesz swojej zapłaty?! O la boga! la boga! – zajęczała znowu.

– Nie turbujcie się matko. Dajcie mi trochę czasu, a ja przecie coś mądrego wymyślę.

– O jej, jej! Jeszcze nikt się myśleniem nie najadł! Za robotę się weź, za uczciwą, a nie za myślenie! Och! Po cóż cię ksiądz jegomość liter na książce wyuczył?! Przez ową książkę to wszystko i przez owe litery!

– A żebyście wiedzieli, matko, że przez owe litery to wszystko. Mądry człowiek prędzej do majątku przyjść może, niż ciemny. I nie oplatajcie bodaj czego, że myśleniem nikt się nie najadł, bo jest akurat przeciwnie.

Więcej się już Wojtek nie odezwał, chociaż matka nie ustawała w biadoleniu. Dziwił się tylko w duchu, iż ma na to tyle sił i cierpliwości.

Odtąd włóczył się chłopak każdego dnia, nie bacząc na to czy pogoda piękna, czy pochmurno i deszcz. Włóczył się wśród pól, zapuszczał do lasu, szumiącego konarami stuletnimi z pół wiorsty za wsią.

Tak minęło kilka niedziel. Aż tu naraz któregoś ranka, zanim jeszcze koguty przestały pisać budząc się ze snu, a szary brzask ledwo rozświetlał nieboskłon, porwał się Wojtek z posłania, czym prędzej przyodział, obmył dłonie i twarz w konwi z wodą, zjadł parę łyżek wystygłej kaszy, której zostało z poprzedniego dnia i jął szarpać matkę:

– Wstawajcie, matuś, wstawajcie!

– Cóż ci to się stało synku, że mnie budzisz tak wcześnie?

– Zaraz mi się musiało coś stać? Wy o jednym tylko myślicie! Wstawać trzeba, bo daleka droga przed nami, a im prędzej wyjdziemy z chałupy, tym wcześniej dotrzemy do celu.

– Jaka droga?! O czym ty pleciesz? Dokąd mamy iść? Niceś wczoraj nie mówił!

– Bom wczoraj nie był całkiem pewien, iż winienem to uczynić, com wymyślił.

– A dzisiaj jesteś?

– A dzisiaj tak!

– Więc mi powiedz, czegoś to taki pewny?

– A zatem posłuchajcie. Pomyślałem sobie, iż najlepiej będzie, jeśli wyuczę się na czarnoksiężnika. Taki to ma słodkie życie! Wypowie zakłęcie i już przed nim stół pełen jadła i napitków! Wypowie inne, a złote pieniądze sypią się z sufitu! Musicie matko, zaprowadzić mnie do czarnoksiężnika i poprosić, aby wziął mnie w termin.

– Oj synku, syneczku! A czyż nie wiesz, że czary uprawiać do grzech ciężki?

– Ej, matuś! Czary czarom nierówne! Ja nie myślę ludziom szkodzić, cudzą krzywdą się tuczyć.

– To teraz tak mówisz, a cóż będzie później? Pamiętaj, co mądrzy ludzie powiadają: „Kto przez błoto przechodzi, choćby i najostrożniej, zawsze buty pobrudzi”. Toż samo i z tobą będzie!

Długo chłopak tłumaczył, a przekonywał, zanim nakłonił matkę, aby go jednak do czarnoksiężnika zawiodła. Wszakże, ruszając w drogę, rzekła mu, iż czyni owo tylko dla świętego spokoju. Wędrowali i wędrowali. Dzień przechodził za dniem, a noc za nocą.

Próżno pytali ludzi w mijanych wsiach, któredy najbliższej będzie do czarnoksiężnika. Nikt nie wiedział.

Dawno już matce i synowi skończyły się skromne zapasy jakie zabrali ze sobą, więc musieli prosić, aby ich kto nakarmił, co nie zawsze się udawało, dlatego też po wielokroć w owej podróży burczało im z głodu w brzuchach.

Matka niejedną raz mówiła:

– Wróćmy się, Wojtuś, do chałupy. Sam widzisz, że się pewnie nie uda do czarnoksiężnika trafić.

Ale chłopak kręcił głową i nieodmiennie odpowiadał:

– Jeszcze dzień. Jeszcze chociaż dzień.

Nareszcie któregoś wieczora, gdy znaleźli się na zupełnym pustkowiu i widząc, iż żadną miarą nie zdążą do pobliskiej wsi przed zmrokiem, jęli rozglądać się, gdzie by tu można głowę skłonić a odpocząć, i przypadkiem natknęli się na szałas owczarza.

– Dokąd to wędrujecie? – zapytał ich staruch.

A gdy mu wszystko opowiedzieli, swój zamiar wyłuszczyli, ozwał się w te słowa:

– Macie szczęście, żeście mnie spotkali bo ja znam drogę do siedliska czarnoksiężnika.

– Dalekoż to stąd? – zainteresował się Wojtek.

– Jużeście są nader blisko. Dzień, no może półtora, dnia drogi, a będziecie na miejscu.

– A jakież ten czarnoksiężnik? Srogi?

– E tam! Czarnoksiężnik, jak czarnoksiężnik. Zwyczajny. A srogi to jest tylko wtedy, gdy mu kto za paznokcie zalezie.

– A zechce mnie wyuczyć swej sztuki? – z zaciekawieniem spytał Wojtek.

– Może zechce, a może nie. Wszystko zależy od tego, czy będzie miał humor, czy mu się spodobaś i czy będziecie umieli prosić. Ale teraz chodźmy już spać, bośmy wszyscy utrudzeni srodze.

* * *

Noc minęła szybko, jak to z letnimi nocami bywa. Rankiem zaś babina wraz

z Wojtkiem ruszyli w dalszą drogę. Wędrowali przez dziką okolicę, pełną ugorów zarosłych chaszczami, zagajników i bagien.

Wreszcie dotarli do starego dębowego lasu, który porastał strome zbocza dość wysokiego wzgórza, na szczycie którego wznosił się zamek czarnoksiężnika.

Zastukali do bramy i oto sama, zupełnie bezszelestnie, otworzyła się na całą szerokość.

Pośrodku dziedzińca stał niepozorny człowieczek. Trudno orzec – karzeł czy też bardzo niski.

Długie włosy, smolście czarne niczym skrzydło kruka, opadały mu na plecy i ramiona, zaś broda tej samej barwy skrywała pierś.

Mężczyzna odziany był w obszerny płaszcz z cienkiej czarnej materii całej zahaftowanej w srebrzyste i złociste gwiazdy, księżyce oraz jakoweś tajemnicze symbole i znaki. Na głowie miał czapkę spiczastą krwistoczerwonego koloru, a w upierścienionej dłoni dzierżył krótką laseczkę dziwacznie jakoś poskręcaną.

– Czego tu szukacie?! – zapytał niskim, chrapliwym głosem.

Babina, którą na widok czarownika ogarnął lęk tak srogi, że poczęły drzeć jej łydki, włosy podniosły się na głowie, a rozszalałe serce omal nie wyskoczyło z piersi, padła na kolana, wyciągnęła ręce w błagalnym geście i płaczącym głosem zawołała:

– O! Miłościwy panie czarnoksiężniku! Przyszłam cię uniżenie prosić, żebyś wziął mojego Wojtusia do siebie na naukę. Żebyś go swojego fachu wyuczył.

Zaśmiał się czarownik dziwnie jakoś niemiło i rzekł:

– Śmiałości ci nie brak, babo! A czy wiesz, że gdybym chciał, to mógłbym was oboje zakląć w przedmioty albo li też w zwierzęta?

– A cóż by ci z tego przyszło, panie?! – ozwał się milczący dotąd Wojtek.

– Mądre pytanie! – pochwalił go czarownik. – Ponieważ nic by mi z tego nie przyszło, więc was nie zaczaruje. Widzę, że bystry jesteś, chłopcze. Może i warto

byłoby cię mojej sztuki wyuczyć?

– O! Tak! Pewnie, że warto! – podchwyciła baba.

– A zatem obstajesz przy tym, żebym twego Wojtka wziął do siebie w termin?

– Weźcie go, weźcie, miłościwy czarodzieju.

– Ba! Ale ile mi za naukę zapłacisz?!

Ani Wojtek, ani jego matka na taki obrót sprawy nie byli przygotowani, toteż posłyszawszy owe słowa, spojrzeli po sobie, a później ze wstydem opuścili głowy.

– Nie mamy ani pół grosika – wyszeptała baba. – Pójdźmyż Wojtuś nazad do domu.

Widzisz, że nie pisane ci było wyuczyć się zaklęć?

Chłopak błagalnie spojrział na czarownika. Ów zaś chrząknął i tak powiedział:

– Hm, cóż. Widzę, że bardzo pragniesz zostać moim uczniem. Mogę wziąć, cię na rok, pod warunkiem, że po tym terminie matka da mi osiem złotych dukatów, albo zgodzi się, bym ją poddał pewnej próbie.

– A jakaż to próba! Będziesz tylko musiała pośród wszystkich stworzeń, jakie wówczas znajdują się w moim zamku, rozpoznać pod postacią którego kryje się twój syn.

Chciała baba odmówić, ale Wojtek począł ją całować po rękach, prosząc:

– Zgódźcie się matuś! Zgódźcie! Toż to jedyna nadzieja dla mnie, a i dla was też. Jak się nauczę czarować, to już nigdy biedy nie zaznamy.

– A jak cię na zawsze utracę, synku?

– E tam! Wy ciągiem tylko o najgorszym myślicie! Czemuż to zaraz mielibyście mnie stracić, no czemu?

– Boję się!

– To się przestańcie bać!

I został Wojtek w zamku, matka zaś wróciła do rodzinnej wsi.

* * *

Odtąd dni upływały chłopakowi na wytężonej pracy. Uczył się, i uczył, i uczył. Od świtu, aż po zmierzch. A jeśli coś z zadanych lekcji nie weszło mu do głowy, czarownik prał go bez miłosierdzia grubym powrozem namoczonym w occie.

W miarę jak przemijały tygodnie i miesiące, Wojtek stawał się coraz mądrzejszy, umiał już gadać, czytać i pisać po łacinie i grecku, po hebrajsku i arabsku. Znał drogi gwiazd i planet, właściwości ognia, wody i powietrza, metali, soli i kwasów. Znał się na truciznach i znał się na lekach. Słowem zrobił się zeń całkiem dobry czarnoksiężnik.

Nie wiadomo wszakże czy byłby to wszystko wytrzymał, bo nauka była bardzo trudna, nie zawsze wchodziła do głowy tak szybko jak mistrz oczekiwał, a zatem powróż nie próżnował, znacząc plecy krwawymi pręgami.

Sił do wytrzymania dodawała Wojtkowi... śliczna dziewczyna, córka nauczyciela. Na imię miała Niezapominajka i była zupełnym przeciwieństwem swego ojca: Włosy miała złote, a oczy błękitne niczym chabry rosnące wśród pszenicy. Usta koralowe, szyję smukłą i delikatne dłonie.

Pokochał ją chłopak całym sercem, a ona pokochała jego.

Nieraz gdy czarnoksiężnik opuszczał zamek, udając się – w sobie tylko wiadomych sprawach – między ludzi, młodzi lubili przechadzać się po pięknym dębowym lesie, porastającym całe wzgórze.

Lubili snuć plany na przyszłość i oddawać się słodkim rojeniom, jak to też będzie im ze sobą dobrze, gdy w przyszłości się pobiorą.

Ojciec dziewczęcia nader niechętnym okiem patrzył na przyjaźń młodych, częstokroć mawiając do Wojtka:

– Wybij sobie z głowy ożenek z moją córką! Nie dla psa kielbasa, nie dla kota szperka.

Nazbyt wysoko sięgasz. Czy myślisz, że nie stać mnie na lepszego męża dla Niezapominajki?

– Kogo macie na myśli, panie? – pytał chłopak.

– A choćby mistrza Dalmasa! Ma co prawda sto dwadzieścia lat, a moja córka dopiero szesnaście, ale za to jest bogaty! Och, jaki bogaty! A na czarach zna się lepiej niż ja i ty i wszyscy czarownicy w tym kraju razem wzięci. Podobno uczył się był w swej młodości w Arabii, Indiach i Tybecie. Powiadają, iż zawadził również o Chiny, ale osobiście w to nie wierzę.

– A jeśli wasza córka mnie kocha?

– To i cóż? Kocha, kocha i przestanie. A przy Dalmasie będzie jej lepiej niż przy tobie.

Zresztą o sobie samym teraz pomyśl. Oto ledwie kilka dni, a minie rok, odkąd przybyłeś na naukę. Niedługo przybędzie tu twoja matka. Jeśli nie ma dukatów, to musi rozpoznać cię pod zmienioną postacią. Jeśli zaś jej się to nie powiedzie, już do końca życia nie przywrócę ci ludzkich kształtów! Ha! Ha! Ha!

Słyszając to Wojtek przeraził się ogromnie. Począł ze strachu drzeć na całym ciele, a zimny pot uperlił mu czoło. Popatrzył nań czarnoksiężnik z ironią i rzucił na odchodnym:

– A trzęś się, trzęś. Nic ci trzęsienie nie pomoże.

I od tej pory, aż do chwili w której miała zjawić się matka, chłopiec nie zaznał spokoju.

We dnie nie mógł sobie znaleźć miejsca w bezsenne noce rzucał się z boku na bok w wielkim łozu na puchowej pościeli, próżno próbując pogrążyć się w otchłań niepamięci i choćby przez kilka godzin nie myśleć o tym, co go czeka.

Świtało. Ptaki dopiero budziły się, rozpoczynając swe poranne pacierze w konarach drzew dębowego lasu. Mgła smużyła się u stóp wzgórza, rozpełzając się po całej okolicy.

Gdy bardziej pojaśniało i słońce wychyliło się spoza widnokregu, barwiąc nieboskłon purpurą i złotem, stara kobieta z podróżnym kosturem w dłoni, zastukała do bramy zamczyska, a gdy owa uchyliła się z przeraźliwym skrzypieniem, nieśmiało weszła na rozległy dziedziniec. I wówczas jej uszu doleciał szept:

– Nie oglądajcie się kobieto. Pilnie słuchajcie co wam rzeknę. Jestem Niezapominajka, córka Czarnoksiężnika i chcę wam pomóc, bo bez tego nigdy nie rozpoznacie swego syna.

Pamiętajcie o jednym. Co byście nie ujrzeli, wasz syn kryje się pod postacią wielkiego koguta.

Niech was nic nie zmyli. Pamiętajcie! Kogut!...

Szept ucichł. Babina stała niezdecydowana czas jakiś, nie bardzo wiedząc co ma dalej począć, aż oto wyszedł z zamku sam czarownik.

– A witaj mi, witaj! – zawołał. – Przyszłaś po swego Wojtka?

– Ano przyszedłam – odparła baba.

– A dukaty masz?

– Niestety, nie mam złota.

– Cóż?! – czarownik uśmiechnął się złośliwie. – Zatem musisz rozpoznać syna wśród stworzeń, które na ten czas znajdują się w moim zamku. A pamiętaj, że tylko jeden raz wolno ci zgadywać! Tylko raz!

Skończywszy mówić, klasnął w dłonie i natychmiast z rozmaitych zakamarków jęły wychodzić: sowa, kot, tłuste wieprze, kaczki, indory, dwa węże, jeden żółw i okazały kogut-

karmazyn. Na końcu pokazała się śliczna dziewczyna o błękitnych oczach i złotych włosach oraz... Wojtek.

Chłopak spostrzegłszy stojącą wpodle bramy przybyłą, rozwarł szeroko ramiona i zawołał:

– Oj, nareszcie, matuś, nareszcie! Oj, gnębił mnie czarownik, gnębił. Zabierzcie mnie do domu i to jak najprędzej.

– Poznajesz swego syna? – zapytał czarnoksiężnik.

Już, już miała kobiecina bez zastanowienia pokazać palcem na mówiącego do niej chłopaka, już, już otwierała usta aby rzec: „Oto mój syn”, gdy naraz wspomniała na ów tajemniczy szept, który posłyszała wchodząc na dziedziniec zamkowy: „– Niech was nic nie zmyli. Pamiętajcie! Kogut!”

Pokręciła zatem głową przecząco i rzekła:

– Choć podobny jak dwie krople wody do mojego Wojtka, przecie to nie on!

W tejże samej chwili – ledwo dokończyła tych słów – postać chłopaka skurczyła się, szerniała, porosła sierścią i... przemieniła w rosnego psa.

– Cóż, na razie ci się udało – ozwał się czarownik. – Lecz pozostało jeszcze najważniejsze – rozpoznaj swego syna!

Patrzyła kobiecina i patrzyła na wszystkie stworzenia, które biegały i pełzały po dziedzińcu i chociaż dobrze pamiętała słowa Niezapominajki, jakoś nie mogła się zdecydować. Czas upływał, czarnoksiężnik zaczynał się złościć.

– Prędzej, babo! Prędzej! Jak długo jeszcze mam czekać?!

Wyciągnęła drżącą rękę przed siebie i pokazując koguta, łamiącym się głosem rzekła:

– To on. To mój Wojtuś.

Zazgrzytał czarownik z wściekłości zębami. Zaklął szpetnie i powiedział:

– Udało ci się. Nie wiem jakim sposobem, ale ci się udało!

A kogut począł się natychmiast rozrastać i wydłużać, aż w końcu wrócił do swej poprzedniej, ludzkiej postaci. Wtedy podbiegł do matki i ze łzami w oczach zakrzyknął:

– O! Jakże się bałem! Jak bałem! Maluczko starczyło żebyście się pomylili matuś – a już do śmierci pozostałbym kogutem.

Później zaś przypadł czarnoksiężnikowi do nóg, objął je, z szacunkiem ucałował i powiedział:

– Dzięki wam mistrzu stokrotne za wszelką wiedzę, jaką dzięki wam posiadm.

– Od tej pory, jako prawdziwy czarownik, nie będziesz się już nazywał Wojtkiem, lecz Adalbertusem – odparł mistrz. – Nie ukrywam – ciągnął dalej – że z bólem serca cię wypuszczam z mego zamku. Wolałbym cię mieć pod postacią koguta. Ale cóż, słowo się rzekło, a słowo rzecz święta i nie godzi się go łamać. Idź więc z matką w swoje strony.

– Czy pozwolisz mi, panie pożegnać się z Niezapominajką?

– A żegnaj się, byle szybko!

– Pamiętaj, któregoś dnia przyjdę po ciebie – wyszeptał Wojtek dziewczynie do ucha.

– Będę na ciebie czekała – również szeptem odpowiedziała mu dziewczyna i w jej oczach zaszklily się łzy.

* * *

– Wojtuś, syneczku! To dobra kasza, chociaż bez omasty. Pokosztuj chociaż. Zjedz odrobinę.

Wojtek z niechęcią odsunął podsuwaną mu przez matkę miskę.

– Dajcież, matko, spokój z kaszą. Zjadłbym kawałek pieczeni, odrobinę pasztetu... Albo chociaż jajecznicy!!! – wrzasnął na ostatku. – Kaszę możecie dać kurom! Czyż ja kura, żebym coś takiego dziobał?!

– Nie złość się syneczku, ale przecie wiesz dobrze, że i tej kaszy nie ma w chacie pod dostatkiem. Powiedziałaś, iż czarów się wyuczywszy precz biedę od nas przepędzisz. No i cóż? Czary znasz, a bieda jaka była, taka i jest. Lepiej byś się

wziął do uczciwej pracy. We wsi pytali, czy nie zechcesz na powrót świń pasać?

– Chyba was z rozumu obrało! Ja, mistrz czarnej i białej magii, Adalbertus, świnie mam pasać?

– Jakaś taki Adalbertus, to wyczaruj przygarść groszaków, a nie będę cię kaszą karmiła.

– Wy myślicie, że to wszystko takie proste? Zakłęcie wypowiecie a pieniądze spadną z sufitu?

– Takeś gadał, zanim poszedłeś na naukę!

– Bom wtedy był głupi. Ale się nie turbujcie. Będziemy mieli pieniądze! Dużo pieniędzy.

Powiedzcież tylko, kiedy jarmark w pobliskim miasteczku?

– Tego nie wiesz? Dyć jutro.

– No to dobrze!

– Co dobrze?

– Obaczycie. Wstańcie skoro świt i idźcie za chałupę. Znajdziecie tam tłustego wieprza na konopnym uwiązanego powrozie. Pogońcie wieprza na jarmark, a bez na pewno sprzedacie go łatwo i z dużym zyskiem. Pamiętajcie tylko, że nie wolno wam zostawić powroza, na którym zwierzę pognacie, w rękach kupca. Skoro wyliczy należność, powróż koniecznie zabierzcie!

– A czemu to takie ważne?

– Jeśli zostawicie powóz, napytacie mi biedy i nigdy już więcej mnie nie zobaczycie!

– Skądże tego wieprza weźmiesz, synku? Ukradniesz?

– Nie muszę kraść! Dla mnie takiego wieprza wyczarować, to żadna sztuka!

– Ha skoro tak, to i dobrze.

* * *

Gdy północ minęła, Wojtek cichaczem wymknął się z izby i udawszy się za chałupę, jął odprawiać czary. Wypowiadał zaklęcia, obracał się na pięcie, pluł przed siebie i za siebie, kreślił jakieś tajemne znaki w powietrzu. Nie minęło wiele chwil, a pod krzakiem dzikiego bzu stał nie człowiek, a wielki, spasiony świniak, z którego szyi zwieszał się solidny konopny powróż.

Wieprz chrząknął kilkakroć, a później ułożył się wpodług pobielonej wapnem ściany domu i zasnął. Noc była cudna, gorąca, od pół smużył się miły aromat oroszonych ziół i stygnącej ziemi. Bezmiar ciemnego nieba pokrywały niezliczone świetliste punkciki gwiazd... Wokół panowała niczym nie zmacona cisza...

O świcie, ledwie tylko pierwszy brzask rozjaśnił nieboskłon, wstała babina i ścierając palcami resztki snu z powiek i przeraźliwie ziewając, udała się za chałupę.

– O! – zawołała na widok wieprza. – Prawdę mówił mój Wojtuś. Mój Adalbertus kochany!

Wzięła powróż w jedną rękę, w drugą zaś giętką leszczynową witekę i smagając nią zwierzę, pognęła do miasta. Próżno wieprzek kwiczał i oglądał się na matkę z niemą prośbą w oczach, mniemając iż wzruszona tym widokiem przestanie go okładać po zadku. Nic to nie pomogło. Z radością więc wstąpił na rynek mięsciny, wiedząc iż oto jego udręka zbliża się ku końcowi.

Na widok tak wspaniałego zwierzaka, obstąpili babę kupcy i wydzierając się jeden głośniejszy od drugiego i jeden drugiemu wyrywając powróż, chcieli dokonać transakcji.

Baba nie w ciemną bita, sprzedała wieprza temu, który dawał najwięcej, zastrzegając się jednocześnie, iż powróż na którym go przywiodła, zabiera z powrotem.

– A bierz go, bierz! Cóż mi po powrozie! – ochoczo zgodził się kupiec,

jednocześnie wyplacając jej sporo brzęczących monet.

Później kobiecina ruszyła w powrotną drogę, a wieprzka zapędzono do chlewika znajdującego się na tyłach kamienicy rzeźnika. Miał tam czekać, aż go przerobią na wonne kielbasy, smakowite kiszki i wyborny salceson.

Skoro jednak drzwi chlewu zamknęły się ze skrzypieniem i ucichł odgłos kroków, stała się rzecz zdumiewająca. Oto zwierzak chrząknąwszy kilkakroć, na powrót zmienił się w człowieka.

Wojtek nie czekając, aż ktoś tu zajrzy, czym prędzej odsunął skobel i otwarłszy cuchnący chlew, co sił w nogach wybiegł na dwór. Nie ustając pędził wśród pól, aby znaleźć się w chacie zanim przybędzie tam matka.

Ponieważ był młody, a nogi miał zdrowe i chyże, udało mu się owo znakomicie. Stojąc w progu, zapytał zbliżającą się rodzicielkę:

– No i cóż? Jakże wam poszło na jarmarku?

– Wspaniale, synku! Wspaniale! Już nigdy nie będę się z ciebie i z twoich czarów wyśmiewać. Spójrz tylko co przyniosłam!

Rozsupłała gałganek, który służył jej jednocześnie za chustkę do nosa i za sakiewkę i pokazała kilka srebrnych monet.

– Widzisz ileśmy zarobili?

– I odtąd zawsze tak będzie! Nigdy już nam grosza nie zabraknie!

Od tej pory żyli, Wojtek wraz z matką, niczym jacyś królowie. Sprawili sobie nowe, bogate przyodziewki, jadalni rozmaite frykasy, nie żałując podniebieniu niczego. Słowem – żyli całą gębą!

Dziwowali się ludziska we wsi tej nagłej odmianie losu nędzarzy, co poniektórzy pytali nawet:

– Skarb znaleźli, czy co?

– Jaki tam skarb! Mój Wojtuś to mądry chłopak. Myślał, myślał i wymyślił jak nas z nędzy wydźwignąć!

– Jeszcześmy nie słyszeli, aby się ktoś myśleniem utuczył – niedowierzali wieśniacy.

– Toście głupi! – odpowiadała baba, wzruszając ramionami.

Ale przy rozrzutnym trybie życia pieniędzy uzyskanych ze sprzedaży wieprza nie starczyło na długo. Więc Wojtek znów zmienił swoją postać, tym razem przybierając kształt wołu.

Dokładnie tak samo jak poprzednim razem pognąła go matka na jarmark gdzie bez najmniejszego trudu sprzedała za bardzo korzystną cenę Żydom. Ponieważ kupującym nie zostawiła powroza, mógł chłopak odzyskać ludzką posturę.

Chociaż za wołu było więcej grosiwa niż za wieprza, to przecie i tak dość szybko się skończyło. Myślał Wojtek i myślał, aż na koniec wymyślił, że jeżeli przemieni się w rumaka szlachetnej krwi, a matka go spienięży, mogą zyskać tyle grosiwa, że go na rok albo i na dwa lata starczy.

Próżno jednak babina oprowadzała wspaniałego konia pełnej krwi arabskiej wzdłuż i w poprzek i naokoło rynku. Podobał się wielu, bardzo wielu, niestety chętnych do kupowania jakoś nie było widać.

Niejeden szlachciura poklepał rumaka po szyi, gładził mu chrapy, cmokał z zadowolenia, ale starczyło, iż zajrzał do sakiewki, a natychmiast smutniał i kręcąc głową odchodził. Cóż, nikogo spośród tam zebranych nie było stać na zakup tak szlachetnego zwierzęcia.

– Idźcie z tym koniem lepiej do stolicy. Tam go bez na pewno sprzedacie – doradził babie jakiś gruby szlachcic o wysoko wygolonej głowie i wielkich niczym wiecheć wąsiskach.

W tejże samej chwili skądś z tyłu dobiegł jej uszu głos:

– Nie ma potrzeby! Nie ma potrzeby do stolicy chadzać! Ja tego konia wezmę!

Obejrzała się baba zdziwiona i ucieszona zarazem i ujrzała panka ubranego z niemiecka, w białej pudrowanej peruce, obcisłych spodniach, pończochach

i kwiecistej kamizeli. W ręku ważył sporą sakiewkę, którą potrząsał od czasu do czasu, a ona wydawała przyjemny dla ucha odgłos – cichutkie podzwanianie monet.

– Patrzcie. Oto mieszek złota. Daję go wam za tego pięknego rumaka. Zgoda?

– Pewnie, pewnie że zgoda! – ucieszyła się kobiecina. – Tylko panie, musicie mi oddać powróż, na którym go przywiodłam.

– O! Co to, to nie! – zawołał panek. – Albo sprzedacie go wraz z powrozem, albo zrezygnuję z kupna. Wybierajcie!

Skuszona taką kupą złota, pomyślała baba, że przecież nie może wspaniałej okazji przepuścić dla jakiegoś bezwartościowego konopnego sznura. Jak raz umknęło jej z pamięci ostrzeżenie Wojtka, że jeśli powroza nie odzyska, może stracić syna na zawsze.

– No dobrze! Niech będzie jak chcecie, panie – rzekła i wręczyła koniec sznura kupującemu.

Ów rzucił jej pod nogi sakiewkę, zaśmiał się dziwnie jakoś i złowieszczo, aż kobiecinnie ciarki przeszły po krzyżu i wskoczywszy na grzbiet konia, pognął w kierunku miejskiej bramy.

* * *

Czarnoksiężnik, bowiem to on kupił Wojtka przemienionego w rumaka, przynaglał go do coraz szybszego biegu i nie pozwalał odpocząć, dopokąd nie stanęli u wrót zamczyska wznoszącego się na szczycie wzgórza porośłego dębowym lasem.

– No i cóż, mądralo? – zakpił czarodziej. – Wybierając się w świat na poszukiwanie magicznych przedmiotów, ani bym pomyślał, iż cię zdybię. A teraz żeś mój i do końca będziesz mi służył jako wierzchowiec!

– Pójdź no tu, córeczko! – zakrzyknął na koniec. – Pójdź i zobacz kogo przywiodłem!

Niezapominajka wybiegła z zamku na dziedziniec i klaszcząc w dłonie zawołała:

– Och! Jakież śliczny koń! Czy pozwolisz mi ojciec od czasu do czasu jeździć na nim?

– A pewnie, pewnie, moja kruszynko. Wszakże jesteś w błędzie, bo to nie koń, choć końską skórę nosi.

– Nie koń? Więc kto?

– Ha! Ha! Toż to ów Wojtek, który niezbyt dawno pobierał u mnie nauki.

– Ojczulku najmiłszy! Zmiłuj się nad nim, przywróć mu ludzkie kształty! Za coś go tak pokarał?!

– Ja?! Ja?! A nic podobnego! Toż on sam zapragnął być koniem! Skoro zaś zapragnął, niechajże nim będzie?

– Lecz przecie możecie mu pomóc?

– Pewnie, że mogę! Ale po co? Czyż nie przyda mi się dobry rumak?

Dziewczyna zanosła się łkaniem i co sił w nogach pobiegła do zamku. Tam – skryta w swojej komnacie, odmawiając jedzenia i picia – siedziała dzień jeden i drugi, rozmyślając w jaki sposób mogłaby uratować ukochanego. Aż w końcu wymyśliła.

* * *

Skoro noc mrokiem otuliła ziemię, a z sypialnej komnaty czarownika jęło dobiegać głośne chrapanie, Niezapominajka bosy, by nie zdradził jej odgłos kroków, zakradła się do komnaty, w której ojciec miał bibliotekę i czarnoksiężką pracownię zarazem. Dopisało jej szczęście, bo poszukiwana księga akurat

znajdowała się na wierzchu. Zdjęła ją więc z pulpitu i co rychlej pobiegła do stajni.

Przy słabym świetle przenośnej lampy przewracała kartkę po kartce, aż wreszcie trafiła na odpowiednią stronę. Z powagą i namaszczeniem, głośno i wyraźnie wypowiedziała słowa odpowiedniego zaklęcia i natychmiast końska skóra opadła, a przed dziewczyną stanął Wojtek w swej naturalnej postaci.

Nie zdążył się jednak zbliżyć do dziewczyny, aby jej serdecznie podziękować za ratunek, gdy osadził go w miejscu groźny głos:

– Ach! To tak?! Ty wyrodna córko! Jak śmiałaś uczynić coś podobnego?! Jak śmiałaś?!

Czarnoksiężnik stał w progu stajni i ryczał wściekle, aż w kącikach ust pokazała się piana.

– Tylko nie myśl sobie, żeś go zdołała uratować! Wnet dostanę i rozprawię się z nim raz na zawsze!

– Czyż nie mówiłem ci, abys dał spokój mojej córce?! Nie chciałeś słuchać?! No to pożegnaj się z życiem!!! – zwrócił się do chłopaka.

Lecz ów nie miał zamiaru czekać na najgorsze. Wyszeptał zaklęcie, jakoś dziwnie zmalął i... przemienił się w lisa, próbując przemknąć pod nogami prześladowcy i szukać ratunku na drodze.

Ale widocznie mistrz czarnej magii przygotowany był na coś podobnego, bowiem natychmiast przywdział wilczą skórę i popędził za lisem.

Rudzielec czując na karku oddech goniącego i słysząc kłapanie jego strasznych zębów, usiłujących schwycić go za skórę, co prędzej znów przemienił postać, stając się niewielkim połocistym pierścionkiem.

Z zawrotną prędkością staczał się po stromiźnie zamkowego wzgórza, by na koniec z pluskiem pogrzyć się w nurcie niewielkiej rzeczki, przepływającej w pobliżu. Pech chciał, iż akurat pewna ryba, otworzywszy pyszczyk połknęła go. Chociaż ratując życie, zdołał umknąć czarnoksiężnikowi, znalazł się w bardzo

nieprzyjemnym miejscu, jakim są rybie wnętrzności.

Na razie jednak nie myślał, aby stamtąd się wydostać, odpoczywając po ucieczce i z wolna wyzbywając się strachu.

Czarodziej natomiast, widząc iż Wojtek umknął i próżno go ścigać, z wilka znów stał się człowiekiem i wygrażając pięścią powrócił do zamku.

– Jeszcze cię dostanę! Jeszcze cię dostanę! – mruczał pod nosem.

Nie dane było chłopakowi odpocząć zbyt długo. Oto bowiem rybacy, którzy akurat zapuścili się na wody rzeczulki, przypadkiem schwycili rybę, we wnętrzu której tkwił Wojtek.

* * *

– Kup coś z naszego połowu, dziewczyno! – zaczepił przechadzającą się tam akurat Niezapominajkę. – Kup rybę! Świeżutką smaczną, wyborną. O! Popatrz, jakie wszystkie są tłusciutkie!

– Doskonale! Ojciec tak lubi ryby! Zrobię mu przyjemność. A którą to radzicie kupić? -

zapytała na koniec rybaków.

– Myślimy, że owa będzie najlepsza – i podali jedną z nich.

Zawinęła dziewczyna wielką tłustą rybę w liście łopianu, aby się jej nie wyslizgiwała z ręki i czym prędzej pobiegła do kuchni.

Jakie wielkie było zdumienie Niezapominajki, gdy we wnętrznościach wodnego stworzenia znalazła niewielki, ale za to bardzo ładny pierścionek.

– O! Jakież to mam szczęście! – zawołała i natychmiast założyła go na serdeczny palec.

Gdy podawała ojcu ślicznie pachnącą, na złocisty kolor przyrumienioną porcję, ów z ukosa spojrział na pierścionek i zasapał gniewnie. Już, już miał wybuchnąć

wściekłością, ale się opanował i zrezygnowanym głosem rzekł:

– Na nic, wszystko na nic. Nie uchronię cię przed nim niestety.

– Przed kim, ojczulku? – zapytała zdziwiona dziewczyna.

– No, przed Wojtkiem – Adalbertusem – odparł.

– Nie rozumiem?

– Pod postacią pierścionka, który masz na palcu nie kto inny się ukrywa, a on właśnie. Nie ma co wierzgać przeciw losowi, który najwyraźniej chce was połączyć. Zatem mnie nie pozostaje już nic prócz tego, jak zgodzić się na wasze małżeństwo!

Skończywszy mówić, pstryknął palcami, wyszeptał kilka niezrozumiałych słów, a natychmiast pierścionek zsunął się z palca dziewczyny, stoczył się na podłogę i w tejże samej chwili Wojtek wrócił do swej naturalnej postaci.

Przypadli oboje młodzi do nóg starego czarodzieja, dziękując za to, iż zezwolił, aby stali się mężem i żoną ale ów tylko machnął ręką i z westchnieniem powiedział:

– Nie mnie dziękujcie, lecz losowi. Obyście tylko dobrze i zgodnie żyli ze sobą!

– Będziemy, będziemy, ojczulku! – zawołała Niezapominajka.

– Ciebie zaś Adalbertusie pragnę uczynić moim następcą – ciągnął ojciec Niezapominajki.

– Przekażę ci całą moją czarnoksięską wiedzę, wszelkie magiczne przedmioty i skarby, którym przez całe życie zgromadził. Nie jesteś głupi, tak iż z czasem możesz stać się większym mistrzem ode mnie. Cóż ty na to?

Nie zdążył jednak Wojtek ust otworzyć, bo dziewczyna z pasją w głosie zakrzyknęła:

– O, co to, to nie! Żadnych czarów. Dość już tego! Mam trochę grosza po mamusi nieboszczce, tyle akurat, aby nam starczyło na kupno kawałka pola.

Wybudujemy dom i zajmiemy się uczciwą pracą. Nie trzeba nam będzie wiele –

ot tyle, aby żyć godnie i godziwie. A skarby? Cóż nam po skarbach? Najlepiej ojcze uczynisz, jeśli je obrócisz na coś pożytecznego.

– O, nigdy! Przenigdy! – oburzył się czarodziej.

– A zatem zrób z nimi co ci się podoba – dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Myślę, Wojtuś, że ci już magia bokiem wyszła i że nie zapragniesz do niej powrócić? -

zapytała narzeczonego.

– Masz rację, mój kwiatuszku. Masz rację.

– Zatem żegnaj ojcze. Odchodzimy – ozwała się dziewczyna. – Jeśli kiedyś porzucisz czary, wiedz, iż w naszym domu zawsze się dla ciebie kąt znajdzie i łyżka stawy.

* * *

Z jaką radością stara matka przywitała młodych. Jak się cieszyła na wieść o ich rychłym ślubie!

– Nareszcie, syneczku. Nareszcie zmądrzałeś! I cóż ci z tej nauki przyszło? Przyznajże mi rację, iż myśleniem nikt się jeszcze nie najadł!

– O, co to, to nie! Umieć wiele, wiedzieć wiele, toż to szczęście! Mądryemu lżej i łatwiej żyć, niż ciemnemu prostakowi. Co innego jednak znaczy posiadać wiedzę, a co innego mądrze ją spożytkować. Ja jej użyłem źle i zostałem za to ukarany. I zobaczycie, iż rychło – dzięki wiedzy – stanę się najbogatszym gospodarzem we wsi, bo wiem to, czego inni nie wiedzą, że sama mądrość, i wiedza bez pracy nijakiego pożytku nie przyniosą. Toteż będę również ciężko pracował.

– A ja ci będę zawsze pomagać – dorzuciła Niezapominajka.

Gdzie diabeł nie może, tam babę pośle

Zmierzchało. Złocistoczerwone słońce ogromną kulą, od której snuły się szkarłatne refleksy, szeroko rozlewając się po niebie, zawisło tuż nad horyzontem.

W czuprynach rosochatych wierzb wróble wrzeszczały przeraźliwie, szukając najlepszych miejsc na nocleg.

Powietrze szarzało, a srebrzyste krople rosy osiadały na źdźbłach traw, łodygach ziół, na płatkach kwiatów.

Krowy porykując od czasu do czasu, wracały do zagród. Kury wygodnie rozsiadły się na grzędach, powieszają głowy pogrążone we śnie.

Chałupa Macieja i jego żony Anieli stała na skraju wsi w pobliżu parowu o zboczach porośniętych zwartym gąszczem dzikich róż, tarniny, czarnego bzu i głogu, oplątanych giętkimi wtkami jeżyn i dzikiego chmielu.

Dnem wąwozu płynął wąziuchny strumyk, ot, taki, że i dziecko mogło by go przeskoczyć.

W gęstej trawie poprzetykanej żółtymi jaskrami i drobnymi kępami modrych niezapominajek, siedziały żaby, niekiedy wskakując do wody, w której poruszały się zwinnie, szybko wiosłując łapami.

Chałupa Macieja zbudowana była z cegły spojonej glinianą zaprawą. Glinianym tynkiem też ją powleczono z zewnątrz i od środka, a wybielono wapnem z domieszką niebieskiej farby, tak że biel miała lekkuchno błękitnawy odcień.

Okienka były maleńkie, przekreślone na krzyż drewnianymi ramami, w które wstawiono błyszczące szybki. Do koślawych drzwi wejściowych podchodziło się trzema równie koślawymi schodkami, zbitymi z nieheblowanych desek sosnowych.

Pierwszym pomieszczeniem była sień, z której wiodło dwoje drzwi do dalszych izb.

Główna z nich strop miała niski, belkowany i poczerniały ze starości z wyrzezanym napisem: „Boże, błogosław temu domowi” i datą: 1757.

Zamiast podłogi była gładka gliniana polepa, wymieciona do czysta. Tuż przy jednej ze ścian tkwił wielki, również pobielony wapnem, piec chlebowy, spełniający jednocześnie rolę pieca kuchennego, na którym gotowało się posiłki.

Środek pomieszczenia zajmował masywny dębowy stół, obok którego stały ławy i jedno krzesło. Umieblowania dopełniała sosnowa prosta szafa, pękaty kufer okuty żelaznymi obręczami, podwójne małżeńskie łóże i kilkanaście obrazów pozawieszanych na ścianach.

Jeden z nich wyobrażał Świętą Rodzinę, drugi świętego Stanisława Kostkę, jeszcze inny Pana Jezusa z otwartym sercem.

Ponieważ na dworze pociemniało i w izbie zrobiło się mroczno, Aniela zapaliła lampę naftową, stawiając ją na środku stołu.

Żółtawy poblask wypełnił izbę, a wielkie, migotliwe cienie jęły się kłaść na ścianach.

Aniela wyszła przed chałupę.

– Macieju! Mój złoty, kończ ze tę robotę na dziś. Ogarnij się, obmyj i przychodź na wieczerzę.

Maciej tedy dokończył co miał zaczętego przy obrządzaniu zwierząt – krów, konia, świń -

i pomaszerował do chałupy.

W dużej glinianej misie dymiła ciepła woda, w której z lubością zanurzył spracowane ręce, a potem dokładnie obmył twarz, uszy i szyję.

Wycierając się lnianym, nieco już podniszczonym, ręcznikiem wesoło podśpiewywał, zadowolony z żony, zadowolony z siebie, z pracowicie spędzonego dnia i z tego, że im nie brakowało bożego błogosławieństwa.

Kiedy usiadł przed talerzem wypełnionym po wręby smakowicie pachnącą

zalewajką, w której pływały duże, tłuste skwarki, przeżegnał się zamasyście, rad że nie musi – jak tylu innych – układać się do snu z pustym brzuchem.

Siorbiąc zupę, którą nabierał na drewnianą łyżkę, z lubością spoglądał na żonę, którą kochał jak samego siebie, chociaż – co mu dość mocno doskwierało – nie dała mu jak dotąd potomstwa.

„– Ale – myślał sobie – może i na to przyjdzie kiedyś czas? Może i w tym nam Pan Bóg pobłogosławi?”

Jak zatem widzisz, drogi Czytelniku, tak Maciej, jak i Aniela byli ludźmi szczęśliwymi, którym los sprzyjał i wiodło się dobrze. Na ich twarzach częstym gościem był uśmiech, a w sercach rozdzwaniała się radość.

Przecie jednak nie ma tak dobrze na tym świecie, aby wszystko i zawsze układało się gładko.

U Macieja bowiem i Anieli, mimo że żyli zgodnie i uczciwie, usadowił się za piecem i mieszkał tam już od siedmiu lat, największy nieprzyjaciel rodzaju ludzkiego, jakim jest diabeł.

Kiedy sprowadzał się do chałupy naszych przyjaciół, wydawało mu się, że rychło nakłoni ich do grzechu, do gniewu, awantur i kłótni – słowem do obrazy boskiej.

Jak nam wiedzieć wypada, każdy diabeł karmi się złem i jeśli znajduje go dość naokoło siebie, jeśli ludziska, wśród których krąży, popełniają występki, miewa się dobrze. Jest tłusty, a i pysk ma okrągły i błyszczący, wypielęgnowane kopyta i pazury.

Jeśli jednak ludzie żyją po bożemu, cierpi diabeł srogi niedostatek. Chudnie, kudły mu lineją, a czasem wręcz wypadają całymi garściami. Wzrok robi mu się mętny, białka oczu przekrwione, kopyta popękane i łuszczące się, połamane szpony, a zęby chwieją się w pysku.

Jak rzekłem wcześniej, diabeł siedział u Macieja i Anieli na zapiecku przez

siedem lat, wciąż oczekując, że grzech zagości pod ich dachem. Przecież doczekać się nie mógł.

Wychudł tedy i zczerniał tak, że przykro nań było patrzeć. A ze słabości ledwie mógł się utrzymać na nogach.

Kiedy zatem małżonkowie podjadłszy sobie zalewajki odmówili wieczorne pacierze i ułożyli się do snu w wielkim łożu pod kopiastrą pierzyną, na miękkich puchowych poduchach, wylazł diabeł zza pieca, westchnął ciężko, splunął z obrzydzeniem na środek izby i wysunął się na dwór przez dziurkę od klucza.

– Nic tu po mnie, psia mać – burknął pod nosem. – Trzeba ruszyć w świat, by nowej, zacniejszej jakiejś stacji poszukać.

Ogromny, błękitnosrebrzysty księżyc majestatycznie wypłynął na nieboskłon. Na granatowej opończy rozpostartej ponad ziemią, a sięgającej od horyzontu po horyzont, skrzyły się roje gwiazd, wyglądające niby klejnoty ponaszywane na drogocenną tkaninę.

W chałupach stojących rzędem po obu stronach drogi dawno już pogasły światła, od traw i ziół smużył się słodkawocierpki zapach rosy, gdzie-niegdzie zaszczekał pies.

Cicho było, spokojnie i tak jakoś uroczyście.

Diabeł skulił się w sobie i noga za nogą laził ku skrajowi wsi, gdzie się zaczynał las, za lasem zaś cuchnące i zdradliwe bagna.

Na owych bagnach właśnie miał zamiar przycupnąć na czas jakiś, by nieco odzyskać siły przed poszukiwaniami nowej chałupy, w której mógłby zamieszkać.

Ale ponieważ był słaby i wynędzniały, tak że prędko iść nie mógł, cała noc mu minęła, zanim do owych błot dotarł.

Przysiadł zziębnięty na suchej kępie traw i ziół i począł masować obolałe kopyta.

Nagle – co to? Posłyszał jakiś dźwięk, tak jakby ktoś przedzierał się przez zarośla.

Przyczaił się diabeł w tataraku i rozchyliwszy nieco wyniosłe łodygi, spojrział kogóż to o tak wczesnej porze po bagnisku nosi.

A była to baba-zielarka, taka co i leczyć potrafi i umie odczynić urok. Baba owa co i raz schylała się ku ziemi i zerwawszy roślinkę jakąś wrzucała ją do lnianego worka, który dzierżyła w lewej ręce.

A przeskakując przy tym z kępy na kępę, zręcznie omijając błoto i topiel bezdenną, jednocześnie coraz bardziej zbliżała się do kryjówki diabła, który zamarł w bezruchu, w nadziei, że może nie zostanie dostrzeżony.

Przecie omylił się srodze, zielarka bowiem nieomal nań wpadła, a ujrzawszy Złego, przeraziła się tak, że aż jej dech zaparło.

Diabeł widząc, że został odkryty, podniósł się na nogi i jął wpatrywać się w babę. Baba natomiast wpatrywała się w niego. Stali tak zatem na przeciwko sobie, nie bardzo wiedząc jak zacząć rozmowę.

W końcu zielarka wzięła na odwagę:

– A cóżeś to taki lichy, czarcie? Chudyś, wyliniały, a i z pyska ci śmierdzi? Wyglądasz jakbyś z rok nie jadł!

– Oj nie rok, nie rok, ale aż siedem lat – jął utyskiwać diabeł.

– Jakże to? Aż siedem? – zdziwiła się baba. – Możliwe to aby?

I wtedy Zły opowiedział jej wszystko o sobie, o tym gdzie do tej pory mieszkał, o dobrym spokojnym życiu Macieja i Anieli i o tym, że jeśli ludzie nie grzeszą, to on srogi głód cierpi.

Podrapała się zielarka za uchem raz i drugi, podumała chwilę, a potem w te odezwała się słowa:

– Mój ty nieboraku, głodujesz, boś głupi. Gdybym to ja miała taki problem jak ty, rychło bym znalazła nań radę.

– Tak? A jaką? – zaciekał się diabeł.

– Proszą, proszą, biesie. Nie myśl przecie, że ci ją za darmo zdradzę.

– A czy ja mówię, że za darmo? Mam tu w pobliskich rozwaliskach starego zamczyska zakopaną nie jedną skrzynię ze skarbami. Jeśli tedy zechcesz mi pomóc, wiedz, że cię suto obdaruję i do końca życia biedy już nie zaznasz.

– Ile mi dasz, diable?

– A ile chcesz, babo?

– Jeśli napelnisz ten worek, co go mam ze sobą szczerym złotem do pełna, możesz na mnie liczyć.

– Zgoda, niech tak będzie.

– Zatem ruszajmy na powrót do wsi, nie mitrząc czasu po próżnicy.

Ponieważ zrobiło się już całkiem widno, diabłu nijako było leżać najpierw gościńcem, a potem między chałupami w widzialnej postaci, dlatego też zamachał rękami, pomamrotał coś pod nosem i – szast, prast – rozplął się w powietrzu.

Zielarka jednak wiedziała, że ciągle jest przy niej.

Szparkim krokiem wędrowała, wzbijając stopami obłoczki kurzu, a chociaż nie była już młoda, to drogę, która zajęła diabłu całą noc, ona w pół godziny przemierzyła.

Z kominów wiejskich chałup unosiły się obłoczki siwego dymu, a nozdrzy dobiegał zapach gotowanego mleka.

Kury dostojnie przechadzały się po podwórkach, od czasu do czasu rozgrzebując ziemię, skąd wyciągały tłuste robaki. Czasem znów skubały soczyste pędy, trawę i liście.

Krowy czekały niecierpliwie, kiedyż to gospodarze wypędzą je na pastwiska porośnię słodką i soczystą zieleniną.

Psy zaś, na widok zielarki, miast szczekać i warczeć, jak owo mają we zwyczaju, umykały z podkulonymi ogonami, dobrze bowiem wiedziały, kto idzie krok w krok za nią.

Tymczasem baba dotarła wreszcie do chaty Macieja i Anieli.

Gospodarza nie było już w domu, gospodyni zasię siedziała przy stole i dostojnie podjadała kluski na mleku.

Skoro spostrzegła zielarkę, uprzejmie zaprosiła ją by usiadła wraz z nią do stołu i poczęstowała śniadaniem.

Przybyła przez czas jakiś nie odzywała się wcale, nabierała tylko na łyżkę żółciutkie kluseczki, dmuchała na nie, bo były gorące, a potem je z lubością połykała.

Ale skoro poczuła, że ma już pełny brzuch, wsparła głowę na dłoni i zagaiła:

– A powiedcież mi Anielu, jak tam wasz chłop?

– Dziękować Bogu, dobry i poczciwy. Nigdy mi złego słowa nie powiedział, nigdy na mnie ręki nie podniósł. Nie to co inni mężowie, którzy potrafią swoim żonom skórę wygarbować i złym słowem Stwórcę obrażać.

– A macie tę pewność – ciągnęła zielarka – że Maciej zawsze taki będzie?

– Cóż, pewności nie mam, no bo i skądże mieć ją mogę?

– A chcielibyście ją zyskać?

– Możliwe to aby? – zdziwiła się Aniela.

– Pewnie, że możliwe. Trzeba tylko wiedzieć co robić. Ja zaś znam ową tajemnicę.

– O, moiściewy! A zdradźcie ją, zdradźcie. Na niczym bowiem mi tak nie zależy, jak na tym, żeby mój Maciej był zawsze dla mnie jednakowo dobry.

Zielarka chrząknęła znacząco i nic nie powiedziała. Aniela w mig zrozumiała, o co jej chodzi, dlatego rzekła:

– Jeśli mi powiecie, to dam wam najpiękniejszy, najtłustszy serek, jakim wczorajszego dnia zrobiła.

– No, chyba że tak – zgodziła się zielarka. – A zatem posłuchajcie, co wam trzeba uczynić.

Skoro zmierzch zapadnie weźcie brzytwę waszego Macieja i odetnijcie mu

kosmyk włosów z samego wierzchu czupryny. Kiedy już to zrobicie, zawińcie ów kosmyk w czysty gałganek i zakopcie pod progiem chałupy. Jeśli wszystko owo spełnicie jak należy, gwarantuję wam, że chłop będzie dla was dobry aż do grobowej deski. Teraz zaś dajcie serek, coście go przyobiecali i pójdę dalej, bo mi spieszno.

* * *

Maciej prowadził pług, który odwalał skiby tłustej czarnej ziemi. Tuż za nim, środkiem bruzdy, podskakiwało stadko gawronów, wydziobując wyorane z głębi gleby dżdżownice i pędraki.

Ściągnął Maciej lejce, zatrzymując konia i osłonił oczy dłonią od słońca, wypatrując któż to taki zbliża się do niego, na ukos przecinając ściernisko.

A była to zielarka, która już z daleka wołała:

– Macieju! Ej! Macieju! – wymachując przy tym rękami.

„– Cóż to się mogło stać?” – zdziwił się Maciej, bo nigdy z ową babą w zażyłości nie był.

Tymczasem ona podbiegłszy do niego, głosem drżącym z przejęcia takich oto kłamstw naopowiadała:

– Byłam dzisiaj w waszej chałupie...

– I co?

– I gadałam z waszą żoną...

– I co?

– I ona, w zaufaniu wielkim zdradziła mi, że was już nie tylko nie kocha, ale wręcz nienawidzi. Że patrzeć na was nie może i że z chęcią by was pogrzebała.

Zdziwił się Maciej słysząc takie słowa, ale nic się nie odezwał, czekając co będzie dalej.

– Wasza Aniela, Macieju, powiedziała jeszcze, że gdyby gdzieś w okolicy byli zbóje, to by do nich poszła, i zapłaciła za to, żeby was zabili. Ale skoro zbójców nie ma, to ona sama musi was zgładzić.

– W imię Ojca i Syna... – Maciej z przejęcia aż się przeżegnał. – Prawdę aby mówicie, zielarko? Nie łżecie?

– A po cóż bym miała łąć? Jakież to mój interes. Żal mi się was zrobiło, ot i wszystko. Do rzeczy z was chłop, zdatny i robotny, żal by was było, żal, by się miały wami karmić w ziemi robaki.

– Cóż więc robić? Cóż robić? – zajączkał Maciej.

– Posłuchajcie, co wam poradzę – odparła na to zielarka.

– Skoro zmrok zapadnie, jakby nigdy nic połóżcie się do łóżka i udajcie, że śpicie. Skoro zaś zobaczycie, że wasza baba wstaje, bacznie obserwujcie wszystko co czyni z pod przymkniętych powiek. A potem wygarbujcie jej skórę, tylko bijcie mocno, nie żałując rzemienia. No, ale na mnie już czas. Bywajcie Macieju, a nie zapomnijcie com wam powiedziała.

* * *

– No i gdzież tu podstęp, gdzie grzech, do którego ma on doprowadzić? – zapytał z przekąsem diabeł, który na powrót przybrał ludzką postać, gdy tylko zielarka skryła się za przydrożnymi krzakami.

– Ech, ty głupku – popatrzyła na czarta z obrzydzeniem połączonym z politowaniem. – Toż nie wiesz co będzie? Kiedy Maciej zobaczy w nocy, że Aniela zbliża się doń z brzytwą, ani chybi zbije ją na kwaśne jabłko, a i pewnie będzie przy tym przeklinał. Nie sądzisz?

– No, niby masz rację – zgodził się diabeł.

– Zatem zanosi się na grzech i obrazę boską, tak że będziesz się miał wreszcie

czym pożywić. No, ale ja swoje zadanie wypełniłam, dotrzymaj zatem przyrzeczenia. Masz tu mój worek, napełnij go złotem i jeszcze przed wieczorem dostarcz do mojej chałupy.

* * *

Maciej i Aniela leżeli w łóżku. Księżyc w pełni blaskiem swoich promieni rozświetlał izbę, tak iż było w niej nieomal tak widno, jak w dzień.

Maciej udawał, że śpi, i Aniela udawała, że śpi. Trwało to kęs czasu, aż wreszcie kobieta ostrożnie podniosła się z pościeli i stanęła obok łóżka.

Już miała zrobić pierwszy krok ku kącikowi, w którym znajdowała się Maciejowa brzytwa, ale odwróciła głowę i zapatrzyła się w mężowską twarz.

Wyglądała ona tak poczciwie i tak dobrotliwie, taka była kochana, że Aniela zapominając o tym, co miała uczynić, pochyliła się nad śpiącym i serdecznie ucałowała go w usta.

– Mój ty, mój kochany Maciusiu – szepnęła przy tym cichutko, ale przecie na tyle głośno, że mąż wszystko usłyszał.

Przestał tedy udawać, że śpi, objął żonę ramionami i obsypał pocałunkami jej włosy.

Zapalili potem naftową lampę i usiadłszy przy stole opowiedzieli sobie wszystko, co każdemu z nich naplotła zielarka.

Śmiali się przy tym i cieszyli, że ich miłość chociaż właśnie przeszła ciężką próbę, to przecież wyszła z niej jeszcze bardziej umocniona.

* * *

Skoro diabeł zobaczył jaki obrót wzięły sprawy, wylazł z za pieca

i wykrzywiając okropnie swoją szpetną gębę, wyrwał sobie pewnie z połowę kudłów z wyliniałego i nadjedzonego przez mole futra. A potem czmychnął na bagna, gdzie siedzi aż dotąd, wciąż rozmyślając kogo by tu i jakby do grzechu nakłonić.

* * *

Na koniec wypada mi jeszcze opowiedzieć kilka słów na temat zielarki.

Gdy wieczorem przysła do swojej chałupy, w rogu izby stał już worek cały wypchany złotymi dukatami.

Oj, rzuciła się baba na pieniądze, pieszcząc je w dłoniach, zanurzając w nich ręce po łokcie, tuląc się do nich i całując czule. Nie omieszkała ich też wszystkich policzyć, chociaż zajęło jej to nieomal całą noc.

Słowem – do snu kładła się szczęśliwa. Mniej szczęśliwe było za to przebudzenie. Około południa otwarła oczy, przecierając je pięściami, aby odzyskać ostrość widzenia i czym prędzej pobiegła do worka, by znów się sycić i cieszyć bogactwem.

Ale cóż to? Skoro tylko wór rozwiązała, miast złota zobaczyła popiół i kamienie.

Tak już bowiem bywa, że diabelskie pieniądze, którymi Zły płaci za grzech i przestępstwo, nigdy nikomu szczęścia nie przyniosły i nigdy go nie przyniosą, zawsze, w ciągu jednej nocy zamieniając się w śmiecie.

Porwanie mistrza Twardowskiego

Dzień był skwarny, sierpniowy. Głębokiego błękitu nieba nie plamiła ani jedna chmurka, tylko ogromne, do białości rozpalone słońce majestatycznie przesuwało się przez firmament.

Po obu stronach okrytego grubą warstwą kurzu gościńca stały nieruchomo szerokie łąny białoziarnej, acz czerwonokłosej pszenicy sandomierki.

Od Krakowa ku Sandomierzowi gościńcem owym sunęła niezgrabna, lecz wygodna bryka.

Woźnica przycupnięty na koźle co i raz cmokał i szarpał za lejce, usiłując – bez powodzenia jednak – pobudzić parę koni do szybszego biegu. Na nic się to przecie nie zdawało, bo zwierzęta zmęczone były i głodne.

Z tyłu, za furmanem, wygodnie rozparty, to podrzemując, to znów na zmianę sycąc oczy cudnymi widokami, siedział nie byle kto, tylko sam sławny krakowski doktor i czarownik -

mistrz Twardowski – Twardowiusem zwany.

Podskakiwanie okutych żelaznymi obręczami kół na wybojach miast go zmęczyć, wprowadziło w jakowyś stan przedziwny, stan w którym z bólem sięgnąwszy do przeszłości, przywoływał pod przymknięte powieki echa dawnych zdarzeń.

I oto Twardowski lustrował całe swoje życie.

Rodzinnego dworku, gdzie przyszedł na świat wcale już nie pamiętał. Wiedział, że był gdzieś w pobliżu Krakowa, a kojarzył mu się tylko z jednym – z otwartą trumną w okrąg której, w drewnianych masywnych lichtarzach, tkwiły żółte woskowe świece, a u ich szczytów migotały, niczym cętki światła na rozedrganej rzecznej toni, żółtawe płomyki.

W trumnie leżał mężczyzna, odziany w wyszarzały kontusz, z sumiastym wąsem opuszczającym się ku podbródkowi i złożonymi na krzyż dłońmi, które opleciono różańcem.

To był ojciec.

I tylko tak go zapamiętał. Tylko tak...

A potem? Potem był Kraków, dokąd się przenieśli pod dach dalekich krewnych, bowiem rodzinny dom zabrano im za długi.

Pamiętał jak matka oddawała mu swój chleb i swoją polewkę, byle tylko nie był głodny, byle tylko był silny. Wtedy nie rozumiał jak wielkimi były te ofiary... Dziś już to wiedział...

Matka... Gdy miał jedenaście, czy dwanaście lat, odeszła na zawsze. Umarła na Gromniczną, kiedy najsroższy mróz skuł ziemię, tak ich grabarz z trudem rwał jej żółtawe kęsy, kopiąc jamę, w którą opuszczono skrzynię zbitą z nieheblowanych desek, bo na prawdziwą trumnę dla nieboszczki krewniacy poskapili. Zresztą... Czyż należy się im dziwić?...

Gdy zmarł ojciec, nie płakał, bo jeszcze nie rozumiał czym jest śmierć, lecz kiedy Kostucha zastukała do ich ubożuchnej izdebki, kiwając zakrzywionym palcem na tę, którą ukochał całym sercem, wylał wiele, wiele łez...

I od owej pory dnia płynęły mu już podobne do siebie, niczym wytarte ziarna starego różańca, przesuwane w sękatych, spracowanych palcach.

Głód i poniewierka. On, szlachecki syn, musiał innym być sługą, byle tylko napełnić brzuch. Kpiono z jego ubóstwa, z ubrań przerabianych z ojcowych, ze zbyt wielkich, dobrze już poprzecieranych safianowych butów i zapadniętego z niedostatku brzucha.

Cierpiał, ale pokładał ufność w Bogu i w Jego Najświętszej Matce. Nie jeden raz noce całe spędzał na klęczkach, wyciągając ręce w stronę krucyfiksu i ze łzami w oczach błagając Pana o miłosierdzie, to znów śpiewając kantyczki ku czci Maryi

Panny, które sam nad podziw zgrabnie układał.

Przecież mijały tygodnie, przechodziły miesiące, upływały lata, a nic się nie zmieniało -

był jednak biedny i jednak głodny. Stwórca nie wysłuchiwał jego próśb. Dlaczego?!

Aż nadeszła chwila, gdy przemógł się i swoją naiwną wiarę w Boskie Miłosierdzie precz odrzucił. Uniósł ku górze zaciśnięte pięści bluźniąc i przeklinając, jednocześnie przysięgając i sobie i Niebu, iż uczyni wszystko, byle tylko precz odegnać nędzę, byle tylko stać się bogatym i sławnym.

A wówczas zjawił się on – Smutny Człowiek o czerwono jarzących się oczach i przyobiecał, że o ile młodzieniec da szlacheckie słowo, iż w przyszłości odda mu ciało i duszę za doczesne dostatki, sprawi, że odtąd nigdy już nie zazna biedy, szyderstwa i kpiny.

Dał słowo, zastrzegając, iż moc czartowska władzę nad nim rozciągnie nie gdzie indziej, a w samym Rzymie tylko. Dał słowo i obietnica Smutnego Człowieka stała się rzeczywistością.

Ponieważ miał wielki pociąg do wiedzy, wstąpił na Akademię Jagiellońską, gdzie oddał się studiom matematycznym, astronomii z astrologią oraz medycynie, zagłębiając się też w alchemię i magię.

Kiedy już uzyskał stopień doktora, stał się tak sławny, iż sam król, sam Zygmunt August, wziął go na swego nadwornego lekarza.

Sen Twardowskiego i obietnica dana przez Smutnego Człowieka, ziściły się. Był sławny i był bogaty.

* * *

O tym wszystkim rozmyślał Twardovius, z turkotem okutych żelaznymi

obręczami kół zbliżając się do Sandomierza, dokąd udawał się dla zażycia odpoczynku pośród gęstwiny sadów, kędy niczym w sercu puszczy rozłożyło się miasto cudne mieszczańskimi kamienicami, strzeliste wieżycami kościołów, zasobne spichlerzami i bezpieczne królewskim kasztelem.

Miał też sławny krakowianin nadzieję kupić pewne ziółko, najsroższe niemoce leczące, które rósć mogło tylko w ogrodzie świętego sandomierskiego doktora, sławą nawet samego Twardoviusa przechodzącego, uczonego Stanisława Bartolona.

Wiedział bowiem czarownik, iż zdobywszy owo ziele, nie jeden jeszcze rok mile spędzić może, ciesząc się młodością i wigorem.

Nie w smak to przecie było czartu, który radby czarnoksiężnika jak najrychlej posiąść...

* * *

Ledwo Twardowski minął był Bramę Krakowską, oto od strony rynku, na spienionym kruczoczarnym rumaku, przycwałował pazik pewien:

– Mistrzu Twardoviusie, ratuj!

– A cóż to się stało?

– Oto pan nasz, król August, spadłszy z konia, bez czucia leży w karczmie wpodłe miasta.

– Gdzież to? Daleko?

– Ot, zupełnie blisko. Na przedmieściu...

– Jedźże przodem, a żywo, chłopcze, a ja podążę za tobą! – przerwał mu Twardowski.

Bryka Twardowskiego z turkotem kół przetoczyła się przez brukowane dębowymi dylami i kocimi łbami uliczki Sandomierza, a wyjechawszy poza mury

miejskie, skierowała się tam, gdzie rzekomo czekano pomocy doktora.

* * *

Twardovius przekroczył próg karczmy. Choć na dworze żar lał się z nieba, w ciemnej, okopconej izbie, przesiąkniętej zapachem piwa i cebuli, chłodno było i przyjemnie.

Pazik, który szedł pierwszy, gdzieś się zapodział.

Skoro oczy czarnoksiężnika oswoiły się z półmrokiem, zobaczył, że oprócz szynkarza i jednego, z niemiecka odzianego człeka, który tyłem siedział do drzwi wejściowych w samym rogu izby, nie ma tu nikogo.

– Gdzie król? – zapytał doktor, już podejrzewając, iż zakpiono z niego.

– Aj waj! Jaki król?! Co za król?! Skąd u mnie król?! Co też wasza miłość powiada?! Toż to nawet łyków dzisiaj nie ma, a co dopiero mówić o szlachetnie urodzonych, a co dopiero mówić o królu?!

Zaklął Twardowski szpetnie, zbierając się do odejścia, gdy naraz posłyszał z kąta głos nieznanego:

– Skoro waszmość już wszedłeś do karczmy, to przynajmniej napij się ze mną. Skwar na dworze, widać żeś zdrożony, oczyść i gardło z kurzu.

A zaraz potem dodał:

– Ej, Żydzie! A podaj panu miodu! Ja płacę!

– Widzę, żeś waszmość grzeczny i kompanię lubisz. Jestem mistrz Twardowski, a wasze?

Nieznanomy powoli odwrócił się do mówiącego. Z poczwornej zwierzkształtnej twarzy, obciągniętej sinozieloną skórą, gdzie-niegdzie porośniętej siwą szczecią, wzyrały oczy płonące szkarłatem, niczym dwa węgle żarzące się na skraju ogniska.

– A jam twój druh... Z przed lat... Pamiętasz...

Oblicze demona wyrażało bezbrzeżną wzdargę i nienawiść. Wycelował zakrzywionym, haczykowatym palcem prosto w pierś Twardowskiego i ciągnął dalej:

– Napij się miodu. Napij. To już ostatni twój kusztyczek. Długom czekał, by się nareszcie doczekać. Od tej chwili jesteś mój, Twardoviusie! Na wieczność!

Czarownik poczuł jak nogi się pod nim uginają. Nie wiedzieć czemu opuściła go wola walki. Pojął, że ze złym duchem nie wygra.

Nie rozumiał tylko dlaczego ów szpetny stwór pokazał mu się akurat teraz, skoro zgodnie z umową winno to nastąpić dopiero w Rzymie, gdzie miał prawo z ciałem i duszą porwać go do piekła. W Rzymie – lecz nie w Sandomierzu!

Demon zaśmiał się chrapliwie:

– Czytałem w twoich myślach Twardoviusie! Czytałem! Nie pocieszaj się, zem jeszcze do ciebie nie nabrał praw. O, nabrałem ich, i to w dwójnasób. Czyż Sandomierza nie nazywają aby „polskim Rzymem”? A czyż ta karczma nie „Rzym” się nazywa?

Nad horyzontem przetoczył się grzmot. Niebo jęły zasnuwać czarne welony chmur, co i raz rozdzieranych zygzakami sinych błyskawic.

– Napij się miodu, Twardoviusie, a nie żałuj sobie...

Demon wyciągnął szponiaste palce, chwytając nimi doktora za gardło.

Powoli podniósł się z za stołu, pociągając za sobą Twardowskiego. Ten sparaliżowany strachem nie stawiał najmniejszego nawet oporu i posłusznie szedł, prowadzony przez złego ducha.

Karczmarz na ów widok aż przykucnął za szynkwasem, czując jak włosy, z przerażenia, podnoszą mu się na głowie, po plecach zaś splywa stróżka zimnego potu.

Tymczasem diabeł wraz z czarownikiem opuścili karczmę. Zaraz za progiem

wichura porwawszy kłęb kurzu, zawirowwała nim raz i drugi, a później uniósłszy w górę, cisnęła pyłem w twarz Twardowskiego.

Sinoniebieska błyskawica zygzakiem przeleciała przez firmament, na moment rozdzierając czarne chmury kłębiące się tuż nad ziemią.

Nie wiedzieć kiedy demonowi wyrosły u ramion wielkie, błoniaste, uderzająco podobne do nietoperzowych, skrzydła. Schwycił mocno Twardowskiego w pól i powoli jął wznosić się w powietrze.

Pioruny biły, jeden za drugim, przelatując tuż obok nich. Któryś nieomal otarł się o twarz czarownika, nieco tylko osmalając mu wąsy.

Twardowski, choć przerażenie dławilo go za gardło, spojrział w dół. Sady i ogrody i łany pszenicy sandomierki, falujące w gwałtownym wietrze. A pośród nich Sandomierz, zdobny niczym drogocennymi klejnotami, szlachetnymi i pięknymi w kształcie bryłami kościołów, ratusza, miejskich bram, królewskiego zamku.

Po chwili wszystko owo znikło, a unoszące się w przestworzach postaci, zewsząd otoczyła gęsta, lepka, bura mgła.

Kiedy i z niej się wydobyli, a ziemię pod stopami ujrzeli tak małą, niczym dorodny owoc dyni, nad ich głowami rozpostarło się czarne, nabijane milionami pozłocistych ćwieków -

gwiazd, niebo.

I wówczas – choć trudno w owo uwierzyć – przerażenie Twardowskiego j e s z c z e b a r d z i e j u r o s ł o . Zdał bowiem sobie sprawę z faktu, iż oto, na zawsze, opuszcza ziemski padół, kierując się ku jakowymś nieznanym, złym, a nieprzyjaznym światom, stanowiącym pomieszkanie Szatana i demonów.

Jał zatem czynić nadludzkie nieomal wysiłki, iżby wyswobodzić się z krzepko trzymających go szponiastych łap. Nadaremnie.

Właśnie przelatywali tuż nad powierzchnią Księżyca, gdy myśli

Twardowskiego – zgoła niespodzianie, bo przecież od wielu, wielu lat nie płynęły już były owym łożyskiem -

skierowały się ku Tej, którą ongi tak czcił, a która silniejsza jest od Szatana i wszystkich na raz jego upadłych aniołów. Ku Tej, która nigdy nie zawodzi i nie opuszcza człowieka, który się Jej odda w opiekę – ku Bożej Matce.

Wpół świadomie, a wpół nieświadomie, zrazu jął mówić, a potem jego mowa przerodziła się w śpiew. W błaganie, ale i w uwielbienie. W prośbę, lecz i wysławianie.

Ponad zrytą kraterami, pokąsaną przez rozbryzgi meteorytów powierzchnią Księżyca popłynął szeroką strugą donośny głos Twardowskiego:

„Zacznijcie wargi nasze, chwalić Pannę Świętą Zacznijcie opowiadać cześć Jej niepojętą.

Przybądź nam, miłościwa Pani, ku pomocy, A wyrwij nas z potężnych nieprzyjaciół mocy...

Zawitaj, Pani świata, niebieska Królowa, Witaj Panno nad panny, gwiazdo porankowa.

Zawitaj, pełna łaski, prześliczna światłości, Pani, na pomoc świata śpiesz się, zbaw nas z złości...”

I oto naraz – demon osłabł. Wytracił pęd. Już nie mógł unieść Twardowskiego. Skurczył się w sobie i z potwornym skrzekiem rozwarł ramiona, które dotychczas szczelnie opasywały ciało czarownika. A potem – odleciał w niezmierną czerń kosmicznej pustki.

Twardowski tymczasem jął opadać powoli, bardzo powoli, niczym liść w spokojnym, znieruchomiałym powietrzu, ku dołowi, aż wreszcie dotknął powierzchni Srebrnego Globu. I tam to właśnie od wieków, aż po dzień dzisiejszy przebywa, czekając darowania wszystkich przewin i wszelkiego zła, jakich się świadomie i dobrowolnie podczas ziemskiego żywota dopuścił.

(Wątek niniejszej baśni zaczerpnąłem z sandomierskich opowieści ludowych oraz z dzieła Romana Kosęły, pt. „Sandomierka. Legendy ziemi sandomierskiej”, Poznań, brak roku wydania, s. 175 – 219)

Opowieść o smoku i dziewczynie

Przed wielu, wielu laty, w małym miasteczku, położonym wśród pól porośniętych dorodną pszenicą sandomierką – białozianą i czerwonołosą – wśród pól kędy pomiędzy miedzami rosły rozłożyste, błogi cień dające w skwarne dni, dzikie grusze, mieszkał człek pewien.

Szczęśliwy był i ciągle wesół, bo niczego mu nie brakowało. Miał piękną, mądrą i gospodarną żonę, która obdarzyła go śliczną córeczką. Miał także spory majątek – dom w rynku, kawałek ogrodu i zagon pola za miastem.

Dnie upływały mu spokojnie i tylko uderzenia zegara na wieży kościelnej oraz zmieniające się pory roku mówiły, iż czas nie stoi w miejscu, lecz nieustannie podąża do przodu, wciąż do przodu...

Czegoż więcej można pożądać od losu, prócz tego, aby żołądek zawsze był pełny, grzbiet okryty, zgoda a miłość w rodzinie? Zda się, iż niczego. Tak... Lecz to nieprawda, bowiem ze wszech miar godną pożądaną rzeczą jest jeszcze zdrowie.

Pokąd dopisywało, nikt w rodzinie Mateusza – tak bowiem zwał się ów – smutny nie był.

Wszakże pewnego dnia, ledwo świt rozjaśnił nieboskłon, a zbladłe gwiazdy nie uciekły jeszcze przed złotymi promieniami słońca, do kamieniczki Mateusza przyszedł gość nieproszony – choroba.

Jego żona, ogarnięta gorączką i targana dreszczami, wyschniętymi, spieczonymi wargami, co kilka chwil prosiła, aby ją napoić. Nim ciemnopomarańczowa słoneczna kula skryła się o zachodzie poza horyzontem, odeszła cicho i niepostrzeżenie do lepszego świata. Odeszła pozostawiając męża i osierocając córkę.

Rozpaczał Mateusz, płakała dziewczynka, która była na tyle duża, iż wiedziała,

że nigdy więcej nie zobaczy matki. Ból obojga był wielki. Bardzo wielki, lecz nie będę nawet próbował go opisywać, czyż bowiem można opisać ból?!

Od tej pory ojciec z córką żyli cisi i milczący. Już pod dachem ich domu nie słyhać było głośnego śmiechu i trudno odczytać radość beztroski na twarzach obojga.

Ojcu i córce dobrze było razem ze sobą i oboje sądzili, iż w ich życiu nic się nie odmieni, niestety, mylili się srodze.

Oto bowiem przyjaciele Mateusza, gdy usiedli z nim razem przy kuflu złocistego piwa z grubym kozuchem piany na wierzchu, przy wilgotnym sosnowym stole, w szynku znajdującym się u wylotu jednej z wąskich uliczek odchodzących od rynku, powtarzali:

– Oj Mateuszu, Mateuszu! Nie bądź głupcem. Czemuż to masz się sam męczyć na świecie? Weźże sobie jakąś babę. Ożeń się po raz wtóry! – ozwał się któryś.

– Małoż to wdów chętnych by się za męża wydać? – dorzucił inny.

– A czemuż ty wdowy raisz? Toć to młody chłop jeszcze. Ledwo mu czterdziestka stuknęła. Na niego niejedna jeszcze młódka, niejedna panna poleciała! – dopowiadał inny.

– Na niego, czy na jego majątek? – zakpił stary kuternoga, któremu ktoś w karczemnej budzie przetrącił kulasa.

Na początku Mateusz nawet słuchać nie chciał podobnych gadek. Uważał bowiem, iż powtórny ożenek byłby nie tylko zdradą nieboszczki, ale też i jej córeczki Marty.

– Dajcie mi spokój! Dajcie spokój! – mawiał.

Lecz w miarę upływu czasu, w miarę oswojania się z tą myślą, coraz częściej rozważał w sercu rady kompanów, aż ostatecznie rzekł sam do siebie:

– A właściwie, to niby czemu nie miałbym sobie drugiej żony wziąć? Dom byłby dopilnowany, zadbany, mnie nie byłoby smutno i pusto, a Martusia miałaby

opiekunkę. Co kobieca ręka w wychowaniu dziewczyny, to kobieca ręka, nie zaś męska, twarda a niezgrabna.

* * *

Była pełnia lata. Lipy kwitły woniejąc słodkawo na kościelnym placu, a z łąk rozpościerających się poza miastem, dolatywał delikatny, korzenny zapach nostrzyka.

Cudnie było i zielono. Słońko przygrzewało, czasem tylko kryjąc się poza woalem białych kłębiastych obłoczków.

Gdzieś ćwierkały wróble, gdzieś zaskrzeczała sroka. Zabuczał ciężki trzmiel, zabrzczała mucha. Na uliczkach miasteczka sennie było i pusto – jak to w niedzielę.

Naraz rozspiewały się dzwony. Ich srebrzyste dźwięki radosną falą popłynęły ponad dachami kamienic.

Kościelne organy zagrały weselną muzykę. I wówczas trzymając pod rękę, przy melodii marsza, przywiódł przed ołtarz piękną pannę młodą.

Później zaś było weselisko. Stoły uginały się od najrozmaitszych potraw, gorzałka, miód i piwo lały się strumieniami. Żydowska kapela rznąła od ucha do ucha!

Och! Takiego wesela nie pamiętali i najstarsi mieszkańcy miściny!

Tylko Marta, zaszyta w najdalszym kąciku maleńkiego pokoiku na poddaszu, wtuliwszy twarz w poduszkę, płakała. Gorycz zalewała jej gardło, ból jakiś dziwny je ścisnął, a łzy perląc się na policzkach staczały się do kącików ust, smakując słono.

A później przyszły zwykłe, szare dni. Ojciec zapracowany i zabiegany, każdą wolną chwilkę poświęcał młodej, pięknej żonie. Nie, nie przestał kochać swojej

małej Marty, ale inne ważne sprawy jakoś mu ją przesłaniały.

Macocha, chociaż nienawidziła dziewczynki z całej mocy, z głębi duszy, i dokuczała jej na każdym kroku, karała wynalazłszy byle pretekst, przy mężu i przy obcych ludziach udawała, że jest dla niej czułą matką, czułą i troskliwą.

Lata płynęły, Marta rosła i nic się nie zmieniało. Nie zmieniało, aż do czasu, kiedy macosze najpierw urodziła się jedna córka, a później druga.

Teraz już, pewna swej przewagi, nie kryła się z niczym. Potrafiła dotkliwie pobić sierotę nawet i w obecności ojca, a gdy ów próbował dziewczynki bronić, wrzeszczała, ile tylko sił miała w gardle:

– Toś ty taki?! Łotrze jeden! Dla swojej Martusi, gotówes poświęcić i mnie i swoje maleńkie córeczki! Pójdę między ludzi! Wszystko im opowiem! Opowiem o twym okrucieństwie i niesprawiedliwości.

Na końcu zaś, zwykle zaczynała piszczeć tak przeraźliwie, iż ją chyba było słychać i w sąsiednich domach.

Mateusz zatem – dla świętego spokoju – milkł i machając ręką, odchodził. Macocha, widząc, swoją nad nim wyższość, rozpanoszyła się okrutnie i ster rządów w domu całkowicie przejęła.

Mąż jadał mało i skąpo, Marta zamieszkała w schowku pod schodami, a tylko piękna żona i jej dwie córeczki żyły lepiej niżli niejedna szlachcianka z bogatego pałacu.

Sypiały na jedwabiach, ubierały się w najbogatsze stroje, spożywały najwykwintniejsze potrawy, nie skąpiły sobie łakoci. Słowem – rajski wiodły żywot.

Dla Marty zaś były tylko stare łachy, połatanne i wyszarzałe, a do jedzenia resztki z obiadu -

przeważnie to, co którejs z dwu młodszych sióstr nie mogło się już zmieścić do żołądka.

Choć dziewczynka miała żal do ojca, za to, iż to przez ów niewczesny, a nie przemyślany ożenek wpadł w taką biedę, to przecież nie skarżyła się na swój los wiedząc, że przecież skargą i tak niczego nie zmieni, a rodzicielowi tylko sprawi przykrość. Rozumiała bowiem Marta doskonale, że ojciec ustawicznie czyni sobie wyrzuty, a dręczy się, iż jego skarb największy, jego najstarsza dziewczynka, takową cierpi niedolę.

* * *

Razu pewnego Mateusz przy śniadaniu ozwał się do żony:

– Dzisiaj muszę ruszyć w drogę do stolicy.

– A po cóż to? – zapytała kobieta.

– Interesy! Interesy! Mogę dobrze zarobić jeżeli udam się w tę podróż – odrzekł.

– Skoro musisz?... – wzruszyła ramionami. – Ale gdy tam będziesz, nie zapomnij ani mnie ani moim dziewczynkom, zafundować jakowychś drogich, a oryginalnych prezentów. Chcę żeby to było coś takiego, na widok czego tym jędzom – naszym sąsiadkom – oczy wyleżą z zazdrości!

– Dobrze, mój skarbie. Kupię coś ładnego. Ale chciałbym także...

– Co byś chciał? – żona spojrzała nań złym okiem.

– No, jakiś drobiazg... dla Martuni...

– Ja ci dam drobiazg! Ja ci dam drobiazg! Patrzcie no ludzie – wrzeszczała, a wrzask ów chwilami przechodził w pisk. – Uparł się, aby całkiem rozpuścić tę dziewczkę! Lepiej pędź do roboty tego próżniaka i czupiradło! Batem jej przyłóż, bo krnąbrna a harda!

– Ale ja widzę, że bez szemrania każde twoje polecenie wypełnia – nieśmiało zaprotestował mąż.

– To i cóż z tego? Ale jak hardo patrzy!

– Nie bądź niesprawiedliwa, moja droga – poprosił.

– Ja niesprawiedliwa? Ja niesprawiedliwa?! Obrażasz mnie! Nie przeżyję tego!
Justysiu, Gabrysiu, podajcie moje sole trzeźwiące! Och! Och!

Wzruszył Mateusz ramionami, włożył na głowę czapkę, na ramię zarzucił kapotę i wyszedł za próg.

* * *

Interesy w stolicy powiodły się nadzwyczajnie, toteż wracał do domu w wyśmienitym humorze. Podzwaniał pękatą sakiewką i uśmiechał się sam do siebie.

Niezgrabna bryka podrygiwała na wybojach gościńca, więc od czasu do czasu oglądał się przez ramię, czy liczne cacka i bogate prezenty dla młodszych córek i żony się nie uszkodzą.

Przypomniawszy sobie, iż dla biednej Martuni nie wiezie niczego, posmutniał i dobry humor gdzieś prysnął.

Jął wyrzucać sobie słabość i tchórzostwo, iż nie stać go było na to, aby twardo i zdecydowanie upomnieć się o prawa swojej najstarszej dziewczynki.

Toć przecie była to krew z jego krwi, kość z jego kości. Dobre, posłuszne, ciche dziecko, które nikomu – a zwłaszcza macosze – nie wadziło i w drogę nie wchodziło.

Wstyd mu się zrobiło przed samym sobą, że pozwalał dziewczyną pomiatać i postanowił, że teraz już na pewno zaprowadzi sprawiedliwy ład w domu. Ale natychmiast przyszło mu na myśl i nader plastycznie wyobraził sobie, co dzieć się będzie, skoro zamiar zechce spełnić.

– Och Boże, Boże! – westchnął. – Wszystko bym zniósł. Każdą mękę, ból

każdy, ale nie te wrzaski, nie ten pisk przeraźliwy... Nie... nie... Chyba jeszcze nie tym razem...

Przestał dumać i rozejrzał się bacznie wokoło. Na wschodzie niebo pociemniało groźnie, zasnute siwogranatową powłoką chmur.

„– Będzie burza! Na pewno będzie burza! – pomyślał Mateusz. – A ja w szczerym polu, gdzie nikaj nie można się skryć.”

Zaciął konia batem przynaglając go do szybszego biegu.

– Może przed deszczem zdążę chociaż do tego lasu, co rysuje się tam, na widnokręgu?

Lecz próżno ponaglał zwierzę. Próżno zmuszał do największego wysiłku. Ledwo minął niewielki zgoła kęs czasu, ołowianosiny gęsty woal chmur rozsunał się po całym nieboskłonie. Zerwał się wiatr, z mocą i wściekłością uderzył o ziemię, zawirował, porwał w górę tumany kurzu, przygniótł ku ziemi łany zbóż, zaszeleścił liśćmi przydrożnych krzaków.

Później zaczęły spadać grube krople deszczu, zrazu pojedyncze, ciężkie, rzadkie, by w końcu przejść w ulewę miotającą z nieba na ziemię całe potoki wody, rozbijające się na twardym podłożu w mgielny tuman.

Zagrzmiało, jakby ktoś przetoczył po niebieskiej powale setkę pustych, blaszanych kotłów.

Nie upłynęło wiele czasu, a niebo raz po raz jęły rozświetlać migotliwe zygzaki błyskawic.

Grom po gromie począł uderzać w wierzchołki drzew gdzie-niegdzie rosnących po miedzach.

Wiatr wył, deszcz chłostał ziemię zajadle. Zdało się, iż nastał potop i rychło świat cały skryje się pod wodą.

Ponieważ miało się już ku wieczorowi, gęste ciemności spowiły ziemię.

Mateusz kuląc się i osłaniając twarz, ciągle uparcie jechał swoją bryką naprzód,

wiedząc że przecie musi kiedyś trafić na spokojne miejsce i znaleźć schronienie.

Koń z coraz większym trudem ciągnął wóz, którego koła grzęzły w lepkim błocie. Mijały chwile, chwile zlewały się w godziny. Mateusz całkiem już zatracił poczucie kierunku, a końca jazdy nie było widać.

– Och, co to będzie? Co to będzie? – powiedział sam do siebie z cicha. – Zabłądziłem.

Gdzie jestem – nie wiem.

Wiedział jednak, że lepiej przeć do przodu, niżli zatrzymywać tutaj wśród pól. W końcu jednak teren się zmienił. Skończyła się płaszczyna, a zaczęły pagórki.

To bryka pędem zjeżdżała z pochyłości, to znowu z trudem wznosiła się ku górze. Nigdzie jednak nie widać było jakiegokolwiek ludzkiej sadyby.

Już Mateusz myślał, że przyjdzie mu noc spędzić na pustkowiu, w przemoczonej odzieży, w zimnie i z pustym brzuchem, gdy oto z nagłą, niespodziewanie, przed bryką wyrósł zarys jakowejś ogromnej budowli, której tylko okna rozświetlone były blaskiem, jaki dają gorejące świece.

Był to zamek na płaskim i niezbyt rozległym wierzchołku wzgórza. Szeroko otwarta brama w obronnych murach, jakby zapraszała strudzonych wędrowców.

Wjechał w nią Mateusz bez zastanowienia, marząc aby gdzieś ogrzać ciało, wysuszyć odzienie i nasycić głód po tak męczącej drodze.

Tymczasem rozpogodziło się. Wiatr rozpędził chmury. Na roziskrzone setkami gwiazd niebo, dostojnie wypłynął srebrzysty dysk księżyca, świecąc białą i dość mocno.

W owym blasku znalazł stajnię. Była pusta, chociaż żłób po brzezi wypełniał owies.

Przywiązał konia, który natychmiast zabrał się do jedzenia. Wyszedł na dwór, by szukać schowu dla siebie.

Wszedł do zamku przez nie zamknięte drzwi, zaintrygowany tym, iż nie widzi

żywego ducha. Zajrzał do każdej z bogato – ba! wręcz z przepychem! – urządzonych komnat. Były puste.

W jadalnej sali, ze zdziwieniem zauważył ogromny stół intarsjowany w cudowne wzory, cały zastawiony wazami i półmiskami z najrozmaitszymi potrawami. Czegoż tam nie było?!

Zupy i sosy, ryby i mięsa, dania zimne i gorące, ciasta i owoce, wina rozmaite.

Na widok jedzenia Mateusz powodowany głodem, który odczuwał dotkliwie, nie namyślając się wcale i nie dociekając do kogoż też jadło owo należeć może – wprost rzucił się na nie.

Przez długi czas nie było w całym zamku słyhać innych odgłosów prócz żucia, pomlaskiwania i bulgotania win przelewanych z omszałych flasz do kryształowych kielichów.

Mateusz podjadłszy już sobie poczuł ogromną senność. Poszedł więc do komnaty, w której spostrzegł wielkie łoże pod baldachimem zasłane śnieżnobiłą pościelą i jakby kuszące, ażeby w nim lec.

Rozdział się. Mokre ubranie starannie porozwieszał w pobliżu kominka, na którym płonął suty ogień i ułożył się na delikatnym prześcieradle.

Głowę przyłożył do miękkuchnej puchowej poduszki, przykrył się miękkuchną puchową kołdrą, zamknął oczy i natychmiast pogrążył się w bezdenną otchłań snu bez marzeń.

* * *

Słońce zajrzało do sypialnej komnaty Mateusza przez małe, grube szybki oprawne w ołowiane ramki, kładąc się na pobielonych wapnem ścianach tęczowymi refleksami.

W gęstej koronie rozłożystego wiązu ptak jakiś rozpoczął trel cudny, jakby

chcąc uczcić w ten sposób budzący się dzień.

Pozłociste promienie dziennej gwiazdy skrzyły się w milionach kropel rosy osiadłych na źdźbłach traw, gałęziach krzewów, kępach ziół.

Łagodny zapach świeżości przeniknął przez uchyloną kwaterę okna do środka komnaty.

Mateusz – przyzwyczajony do wczesnego wstawania – usiadł w pościeli przetarł zaspiane oczy.

Później zaś przeciągnął się, aż chrupnęło w kościach i rażno zeskoczył na podłogę, całą zasłaną grubym puszystym dywanem tkanym przez nieznanego mistrza z dalekiej Persji, w geometryczne wzory.

Przyodziać się było dziełem jednej chwili. Skoro to uczynił, raz jeszcze – nadzwyczaj dokładnie – obejrzał zamek, nie pomijając ni piwnic, ni strychu. Stwierdził, iż budowla jest jakby wymarła, wzruszył ramionami, nie mając zamiaru ani dociekać, ani się zastanawiać, jaka jest tego przyczyna i wyszedł na dwór, żeby oporządziwszy konia, ruszyć w drogę do rodzinnego miasteczka. Pomyślał, iż teraz – za dnia – drogę ową bez trudu odnajdzie.

Gdy koń był już w uprzęży i tylko czekał, aż mężczyzna wsiądzie do bryki i strzeliwszy z bata da znak do odjazdu, Mateusz pomyślał, że przecie w końcu może jeszcze obejść całe otoczenie zamczyska i zobaczyć, co też się w obrębie murów znajduje.

Wypatrzywszy wąską, ale mocno wydeptaną ścieżynę, wkroczył na nią śmiało. Wraz z nią skręcił za potężną basztę, wymurowaną z ogromnych kamiennych ciosów, spojonych wapienną zaprawą. To, co ujrzał, przyprawiło go o zawrót głowy.

Oto bowiem rozpościerał się przed nim widok tak cudowny, że podobnego nie znajdziesz nawet na obrazach najlepszych mistrzów.

Stanął u wejścia do nader starannie utrzymanego ogrodu. Gładziutkie, proste

ścieżki, wysypane różnokolorowym żwirem, jakby wabiły do przechadzki pośród drzew, krzewów, grządek i klombów porośniętych dywanami kwiatów.

Ale były to kwiaty zgoła inne, niż te, które dotychczas widywał. Wyglądały niczym obrazy ze snu. Płatki zaś miały nasycone takimi barwami, jakich nie spotyka się w naturze. Drżące w oddechu porannego wietrzyku, zroszone milionami lśniących kropeł, zdawały się mówić:

„– Zerwij nas. Zerwij przybyszu ze zwyczajnego świata. Zerwij i kochaj! Zerwij i podziwiaj! Dlaczego mamy tutaj darmo rosnać? Chcemy być twoje, chcemy komuś służyć...”

A Mateusz krążył wśród precyzyjnych roślin ogrodu, jakby chciał się nim nasycić na dziś na jutro, na pojutrze...

Naraz jego uwagę przykuł kwiat pewien. Z kształtu może nieco podobny do lilii. Na wysokiej, smukłej łodydze, pokrytej gęsto łuskowatymi listkami o barwie poczerńniętego srebra z lekko zielonym odcieniem, rozwierał się kielich purpurowych płatków, z których każdy obramowany był złotem. Ze środka wyrastały długie pręciki, zakończone fioletowymi pylnikami. Pośród nich tkwił duży, masywny szczerozłoty słupek.

Kwiat był tak śliczny, iż jego widok wprost zaparł dech w piersi Mateusza. Długo sycił oczy urodą, a wreszcie pomyślał sobie:

– Żona nie pozwoliła mi kupić nijakiego prezentu dla Martusi, ale nie zabroniła przecież, bym przywiózł jej z podróży kwiat. Zerwę więc to cudo, dam je mojej sierotce, niech chociaż nim się ucieszy.

Wyciągnął rękę i bez trudu ułamał kruchą łodygę. Ale skoro tylko owo uczynił, w jednej minucie pogodne dotąd niebo zasnuło się ciemnosinymi chmurami, a grzmot przetoczył po firmamencie. Ziemia zadrżała raz i drugi. Gdzieś niedaleko uderzył piorun.

Z ciemnej czeluści otworu wiodącego do lochów pod zamkiem, najpierw

wydobył się kłęb smrodliwego dymu, później zionął krwistoczerwony jęzor ognia, a na końcu wypełził smok.

Gad był wstrętny – chropawa, pokryta gruzłami i wyrostkami skóra miała jakąś trudną do opisanego barwę: ni to brązową ni szarozieloną, tylko na brzuchu była brudnobiała z żółtawym odcieniem.

Ogon zakończony grubymi, kolczastymi wyrostkami, nerwowo uderzał o ziemię, a z szeroko rozwartej paszczy pełnej ostrych niczym brzytwa zębów, na zmianę wydobywał się to rozwidlony język, to ogień. Potwór miał tylko jedną głowę i rozsiewał wokół taki smród, iż trudno było oddychać.

Mateuszowi przerażenie skrępowało ruchy do tego stopnia, że nie był w stanie uczynić najmniejszego nawet kroku, nie mówiąc o tym, aby mógł uciekać.

„– Już po mnie! Już po mnie!”

Ta jedna, jedyna myśl ustawicznie kłębiła mu się pod sklepieniem czaszki.

Tymczasem smok zatrzymawszy się jakieś dwa, trzy kroki przed mężczyzną, ozwał się w te słowa:

– Najadłeś się i zanocowałeś w moim zamku. Dobrze. Byłeś zmęczony, głodny i przemoczony. Ale czemu zerwałeś ów kwiat? Jakim prawem, bez koniecznej potrzeby, sięgnąłeś po cudzą własność?

– Panie... Smoku... – jękał się Mateusz, nie mając zgoła pojęcia jak nazywać owo monstrum.

– Panie, daruj! Oddam ci ten kwiat. Mogę za szkodę zapłacić! Weź, weź! To wszystkie moje pieniądze! – wyciągnął na otwartej dłoni pękata sakiewkę.

– A cóż mi po tych groszakach, robaku? – z drwiną w głosie zapytał gad.

– Innego od ciebie oczekuję wynagrodzenia – odparł.

– Swym jasnowidzącym umysłem niejedną potrafię przejrzeć tajemnicę.

– Wiem dla kogo i wiem po co ten kwiat zerwałeś – ciągnął. – Otóż słuchaj. Jeżeli za jeden miesiąc i jeden dzień twoja córka Marta nie przybędzie tutaj i nie

zostanie moją żoną, ty będziesz musiał umrzeć.

– Miej litość nad niewinną! Tyle już zła doświadczyła w życiu, tyle krzywd ją spotkało!

Czy jeszcze ty musisz ją zgnębić? – zaskomlał prosząco mężczyzna:

– Zamilcz człowiecze! – krzyknął smok. – Skoro jej rodzonemu ojcu nie zależało, aby krwi z twojej krwi, kości z twojej kości, córce pierworodnej, żyło się dobrze i spokojnie, to niby czemu ja się mam nad nią litować? Nad obcą?

Rzekłszy to, obrócił się tyłem do Mateusza, a wpełzając do jamy, rzucił jeszcze na odchodnym:

– Nie waż się zapomnieć! Jeden miesiąc i jeden dzień!

* * *

– Czegoś wrócił tak późno, nicponiu? – przywitała Mateusza w progu żona.

– Burza była, zabłądziłem... – jękał, tłumacząc się.

– Idź się przebierz i umyj, bo cuchniesz jakbyś się wykąpał w kloace! – dorzuciła kobieta.

Mężczyzna po powrocie do domu nie mógł sobie znaleźć miejsca. Chodził smutny, a lęk dławił go swoim stalowym uściskiem.

Jadał mało co, nie zawsze rozumiał, gdy do niego mówiono. Na dodatek nie sypiał. Jeśli już czasem udało mu się zapaść w czeluść niepamięci, budziły go przerażające koszmary.

Wychudł, zmizerniał, a pod oczami porobiły mu się sińce. Lecz ani żona, ani żadna z dwu młodszych córek nie zauważyły, iż dzieje się z nim coś niedobrego. Jedną tylko Martunię zachowanie i wygląd ojca zaniepokoiły. Któregoś tedy ranka zapytała:

– Powiedz mi ojcze, co cię gnębi? Jakież to robak smutku wgryzł się w twoje

serce?

– Nie pytaj! Lepiej nie pytaj córeczko! Moje zmartwienie pozostaw mnie!

Ale Marta nie dawała za wygraną a upewniwszy się, iż rzeczywiście ojca dręczy coś, postanowiła, że się tego dowiedzieć musi.

Dotąd chodziła za nim, dotąd nagabywała, aż wreszcie uległ i opowiedział dziewczynie wszystko, co go spotkało w zamku smoka.

Nie martw się ojcze – rzekła Marta. – Jeśli o to tylko chodzi, powodów do zmartwienia nie widzę!

Dziecko! Co powiadasz?! To już wolę umrzeć, niż ciebie tak strasznie skrzywdzić, wydając za mąż za ową poczwagę!

– Oj tatku, tatku! A co będzie, jeśli umrzecie? Jam do poniewierki przyzwyczajona, to i w zamczysku smoka wytrzymam. Co zaś stanie się z moimi młodszymi siostrzyczkami? Dyc macocha niczego nie potrafi, niczego nie umie. W nędzę popadną przeokropną, a może i z głodu poumierają?

– Pójdę do smoka – ciągnęła dalej. – Oddam mu swą rękę, ty natomiast zostań w domu spokojny. Da Bóg, zobaczymy się jeszcze!

Rozpłakał się Mateusz w głos, do serca Martę przygarnął.

– Skarbie mój największy – szeptał i obsypywał jej włosy pocałunkami. – Nie zasłużyłem, podły człowiek na tak dobre dziecko. Pomyśl jeszcze, zastanów się. Może jednak nie pójdziesz?

– Ojcze! Przecie smok nie chce mnie zabić, czy pożreć. On chce mnie za żonę, a to zupełnie co innego. Chyba tak źle mi nie będzie. Sam opowiadałeś, iż w zamku niewyobrażalny wprost przepych i dostatek wszystkiego. A że smok śmierdzi? To i cóż? Do wszystkiego można się przyzwyczać. Do smrodu, choćby najgorszego, też. Nie zapomnij com ci rzekła, iż oprócz mnie masz jeszcze dwie młodsze córki, a zatem żyć musisz!

* * *

Gdy zbliżył się wyznaczony przez gada termin, Marta wzięwszy kij podróźny w rękę, ruszyła szparko w drogę wiodącą do siedziby gada.

Bała się, to prawda. Ale może nie tyle samego smoka, co raczej nowej niepewnej sytuacji, miejsca, tego iż po wielu latach życia pozostawia – być może na zawsze – swoje rodzinne miasteczko.

W wężelku zawieszonym na ramieniu miała spory zapas chleba i sera, ba! nawet kawałek kiełbasy! Bo macocha dowiedziawszy się, iż dziewczyna opuszcza dom, do którego nigdy nie zamierza powrócić, dała jej to wszystko szczodłą ręką.

Co kilka mil odpoczywała, pragnienie gasząc w mijanych rzeczulkach i strumykach. W końcu, gdy poczęło się zmierzchać, a ptaki śród zarośli i w koronach drzew przydrożnych jęły odprawiać swoje ćwierkliwe nieszpory, na szczycie wzgórka, na tle zórz przedwieczornych kraszających widnokrąg, dostrzegła ciężką sylwetę kamiennego zamczyska.

Osiągnąwszy szczyt ujrzała, iż wszystko wygląda dokładnie tak, jak opisywał ojciec.

Szeroko otwarta brama zdawała się zapraszać podróźnych.

Wielki stół, zastawiony najwykwintniejszymi potrawami i najwyborniejszymi napojami kusił. Usiadła tedy i posiliła się, nie skąpiąc sobie najlepszych kąsków, które zapijała zamorskimi winami.

Po wieczerzy, obmyta z brudu, legła w jedwabnej, świeżej pościeli, na łożu pod baldachimem i zasnęła.

Spała spokojnie i głęboko. Nic się jej nie roilo, nie nękał zaden majak. Toteż gdy słońce zajrzało rankiem następnego dnia do sypialnej komnatki, wstała rześka i wypoczęta.

Ze zdumieniem spostrzegła, iż jej znoszone łachmany znikły, a zamiast nich

pojawiła się najdelikatniejsza bielizna i suknie tak cudnej roboty, z tak cennego materiału, że sama żona burmistrza nie mogła o takim stroju nawet marzyć.

Zerwała się Marta na równe nogi, zaścieliła posłanie, obmyła się w wielkiej porcelanowej miednicy, do której ktoś nalał już ciepłej wody pachnącej leciutko fiołkami. Później przyodziała się w ów strój wspaniały i ruszyła obejrzeć resztę zamku.

Nie uszła wszelako daleko. Oto bowiem – przekroczywszy próg ogromnej sali, w której znajdował się cudnie rzezany z hebanowego drewna i inkrustowany złotem tron, a nad nim zawieszona była mitra książęca – ujrzała... smoka.

Stał na swych krótkich, mocnych łapach i wpatrywał się w twarz Marty.

– Nie omyliłem się, dziewczyno – powiedział. – Jesteś piękna.

– Dziękuję, panie... smoku... Jak mam się do ciebie zwracać? – zapytała panna.

– Jak chcesz – odparł gad i przymknął oczy. – Byłeś mnie tylko nie zdenerwowała, bo wówczas cuchnę.

– A zatem dzięki smoku za komplement...

– Ależ to żaden komplement! Jesteś piękna i tyle!

– Czy wiesz po co przybyłaś? – po chwili zapytało monstrum.

– Tak, wiem – odparła.

– No i cóż?

– Kocham ojca, więc nie mogę pozwolić by umarł.

– Jakże dobre masz serce!... Słuchaj Marto. Daruję życie twemu ojcu. Nie spodziewałem się bowiem, iż kogokolwiek stać na tyle miłości. Możesz odejść... Możesz odejść... Nie chcę cię przymuszać do ślubu ze mną. Do czegoś, co ci jest wstrętne...

Smok odwrócił głowę i wtedy dziewczyna spostrzegła, iż w jego oczach błyszczą łzy.

Rzuciła się, wiedziona odruchem serca, do przodu:

– Ty płaczesz?! Dlaczego?! Taki bogaty, potężny i groźny?!

– Nie pytaj... nie pytaj...

Chciał gad odpełznąć, skryć się w swojej jamie, ale Marta mu nie pozwoliła.

– Chcę cię poślubić! Po tom tutaj przybyła! Wróć! Nie odchodź! Już dawno wybrałam życie obok twego boku. Wybrałam owego dnia, w którym ojciec opowiedział mi o tobie. Mój Boże! Ja nie rzucam słów na wiatr!... Wróć!

– Czy to możliwe? – wyszeptał smok – żeby ktokolwiek, którakolwiek kobieta, sama, dobrowolnie, zechciała oddać mi swą rękę?

Już nie krył łez, staczały się po chropowatej skórze.

– Dopełnijmy ceremonii. Nie zwlekajmy. Niech co prędzej stanie się to, co się ma stać.

Stanęli zatem obok siebie: wstrętny, szpetny gad i śliczna młoda dziewczyna, a skoro ona domówiła słów przysięgi małżeńskiej, naraz... smok skulił się, uległ jakowejś dziwnej przemianie i nim minęła jedna chwila, oto obok Marty pojawił się... człowiek.

Był to szpetny staruch, o łysej – gdzie-niegdzie tylko porosłej rzadkimi, żółtawymi włosami – czaszce. Pomarszczoną twarz zarastała kilkudniowa szczęć nie golonej brody. Ręce mu się trzęsły, oczy miał zaropiałe, a z ust ciekła ślina.

Starzec odwracając się do dziewczyny ozwał się w te słowa:

– Nie wiem, doprawdy nie wiem, jak mogę ci okazać swoją wdzięczność. Oto dzięki twojej bezinteresownej miłości mogłem się po tylu, tylu latach pozbyć smoczej skóry i powrócić do człowieczych kształtów.

Rozwarł szeroko ramiona:

– Pójdź do mnie! Pójdź!

Marta nie przygotowana na taki, zgoła nieoczekiwany, widok, walcząc sama ze sobą, w końcu się przemogła:

– Idę, mój mężu. Toć przecie świeżo poślubiona małżonka winna na znak

oddania i miłości, objąć i pocałować w usta swego wybranka.

I oto, w tej samej chwili, w której kładła pocałunek na usta starucha, stała się rzecz zdumiewająca! Już nie trzymała w ramionach tego, kogo nimi objęła, lecz... ślicznego młodzieńca.

– Mój mężu... – wyszeptała zdumiona i zachwycona.

– Moja żono... – wyszeptał chłopak. – Nareszcie przysł do końca czar, który dawno, dawno temu rzucił na mnie zły czarownik, za to tylko, iż nie chciałem popełnić podłości. Twe dobre serce po brzegi wypełnione miłością mocniejsze się okazało od wszelkich czarów.

– Bo prawdziwa miłość każde zło zwycięży – odparła dziewczyna.

Odtąd oboje żyli długo i szczęśliwie. Rzadko wyjeżdżali, rzadko przyjmowali gości.

Najlepiej im było tylko ze sobą...

Opowieść o Żydówce Judycie

Panował ongiś w Sandomierzu młody i dzielny książę Henryk, najmłodszy syn Bolka Krzywoustego. Wielki to był pan, odważny i pobożny wielce. Lubił też szukać przygód, a iż podówczas w kraju było w miarę spokojnie, czuł, że powinien ruszyć w świat szeroki.

Marzył o tym, by walczyć ze smokami, wolność nieść damom, wspomagać sieroty.

Wszelako nie godziło mu się porzucić księstwa! Aż razu jednego, z dalekiego frankońskiego kraju, a może z Italii – nie wiem tego – przybył na dwór sandomierski rycerz pewien.

Broń i zbroję miał najpierwszej roboty, lecz płaszcz lichy, z naszytym na wierzchu wielkim czerwonym krzyżem. Ów rycerz powiedział naszemu książęciu, że rzymski papież głosi wojnę przeciw Saracenom. Że kwiat rycerstwa z całego chrześcijaństwa od lat walczy z poganami.

Narzekał jeszcze ów cudzoziemski rycerz, że żaden z polskich panów i władków nie chce iść na to chwalebne bojowanie. Kpił, że nasz kraj to ziemia tchórzy, aż książę Henryk się rozsierdził i to bladł, to czerwieniał, słuchając tych obelg. Na koniec wszakże postanowił, iż sam z drużyną wiernych mu rycerzy pójdzie przelewać krew w imię Jezusowe. Jak postanowił, tako i uczynił.

Długo trwała podróż do Ziemi Świętej. Najpierw jechali konno przez lasy i góry, przebywali w bród rzeki, gubili podkowy. Marzli na szczytach, lodowatym wichrem smaganych, palił ich żar słoneczny na stepach Panonii, a bywało, że i głód dręczył srogi srogie pragnienie.

Jednak nareszcie przybyli do cudnego miasta Konstantynopola w ziemi greckiej leżącego, gdzie spotkali wielką mnogość frankońskich rycerzy. Ach, cóż to za

miasto! Domy pospólstwa większe i bogatsze tam, jak u nas książęce sadyby.
A kościoły!

Naszego księcia, jako udzielnego pana, zaproszono na cesarski dwór. Oglądał pałac, oczom swym nie wierząc. Ach! Nie mogły go wznieść zwykłe ludzkie ręce! Nie obyło się pewnie bez czarów!

Wszędzie ściany zdobne były drogocennymi kamieniami, kobiercami, a oponami złotem i srebrem tkanymi. W niektórych komnatach posadzki cudnie układane były w obrazy kunsztowne z kolorowych kamyków, a tak błyszczące i śliskie, że z trudem prawy rycerz mógł się tam na nogach utrzymać.

A sam cesarz! Ach! Za jego strój można by pewnie z pół sandomierskiego księstwa kupić, a za bogate przecie ono uchodzi!

Ale nasz książę nie stracił głowy. Rozmawiał z cesarzem jak równy z równym.

Sprawiedliwość oddać trzeba, że i frankońscy, i italscy, i niemieccy rycerze też tak się zachowywali.

Nie w smak to było Grekom, wielmożom i księżom. Ci ostatni szemrali szczególnie głośno, judząc cesarza, aby naszych przegnał. Wszelako cesarz posłuchu im nie dał i rycerstwo krzyżowe, Saracenów bić mające, ugościł, a potem przez morze przeprowił. A w ogóle to greccy księża dziwni są bardzo i cudacy. Włosy splatają w warkoczyki, brody trefią i pachnidłami skrapiają. Zaś na ich szatach ni plamki, ni pyłku najmniejszego nie znajdziesz, takie czyste. A na dodatek żony miewają! Naszych zaś księży pędzą, nie pozwalając im w swoich świątyniach mszy odprawować, a gdy przez upór uda się naszym msze ona odprawić, to Grecy później kościół powtórnie święcą!

Potem już była Ziemia Święta, gdzie żył i umarł Pan nasz Jezus Chrystus, a którą pustoszą Saraceni, Mohunda, po ichniemu Muhammadem zwanego czczą i za proroka Jedyne Boga mają.

I zaczęła się wojna. Nasi bili Saracenów, a oni naszych. Nasi z imieniem

Bogarodzicy, a oni – Mohunda na ustach – odrąbywali głowy, ramiona, krew wylewali z powalonych. Aż wreszcie nasi byli górą, bo Najświętsza Panienska mocniejsza od Mohunda.

Zobaczył księżę Henryk i jego sandomierska drużyna Jerozolimę i Grób Pański, a rycerz jeden, Jaksza z Miechowa, uskrobał z Grobu onego ziemi garstkę i w woreczku skórzanym do Polski ją przywiózł. W swojej wsi, w Krakowskiej Ziemi leżącej, klasztor i kościół zacny pobudował z Grobem Pańskim we środku, w którym oną ziemię umieścił, na pamiątkę jerozolimskiego. A i mnichów tam z Palestyny przybyłych osadził.

Ale księcia Henryka straszne tam dotknęło nieszczęście, bo zbył się rozumu! Oto bowiem, gdy którejś niedzieli jechał konno w orszaku króla jerozolimskiego na mszę do Bazyliki Grobu Świętego, zauważył w jednym z okien pannę precudnej urody.

Od pierwszego wejrzenia rozmiłował się w niej tak okrutnie, że nie mógł już żyć bez onej.

Poszedł tedy do domu, w którym ją wonczas ujrzał – a był to dom ormiańskiego kupca – i odkupił odeń cudne dziewczę, które okazało się żydowską niewolnicą.

Chciał ją księżę Henryk uczynić swą panią i prawowitą małżonką, wszelako zgiełk się okrutny podniósł przeciw niemu i to nie tylko śród Franków, Italczyków, Niemców czy Angielczyków, ale nawet i w jego własnej drużynie! Bo jakże? Pan możny i księżę udziałny miałby połączyć swój los z losem niechrzczonej prostytutki podłego stanu? Jakież to wstyd i jaka hańba dla rycerstwa!

Lecz rozstać się z nią Henryk i nie chciał, i nic potrafił. Gdy przyszło mu wracać do Polski, zabrał ze sobą Judytę (bo takie imię nosiła Żydówka). Zamieszkali oboje na sandomierskim zamku, ku zgorszeniu tak możnych, jako i pospólstwa.

I szemrano, i wymówki czyniono księżęciu, a biskupi straszili go klątwą, jeśli

dziewki nie przepędzi na cztery wiatry, a niegodnej miłości się nie wyrzeknie, aż w końcu uległ i ogłosił, że ją odprawi. Lecz owo w tym samym prawie czasie ogłoszono również, iż Judyta na jakąś ciężką, a nieznaną chorobę zapadła, a później nikt jej już nie widział i wszelki słuch o niej zaginął i nikt nie wiedział, co się było stało.

Bajali ludzie i bajają dotąd – a osobliwie Żydzi – że ksiązę Henryk podziemny pałac jej pobudował, i że oboje – nieśmiertelni dzięki jej żydowskim czarom – żyją tam aż do dnia dzisiejszego. Lecz tak naprawdę to zmarła, nieboraczka, a on tak ją kochał, iż w tajemnicy z przepychem grób jej urządził. I pewnie póki siedział na zamku, przychodził doń podziemnym chodnikiem płakać przy jej zewłoku.

Lecz rychło ruszył z Bolkiem Kędzierzawym na wyprawę przeciw Prusom, a na owej wyprawie, jak powiadali ci, którzy tam z nim byli, że ksiązę jakoby umyślnie szukał śmierci w bitwie. I nie wrócił, niebożę, już z tej wojny.

(Wątek opowieści o Judycie zapożyczyłem z „Wycieczki do Sandomierza” Jarosława Iwaszkiewicza)

O pięknej królownie i złej macosze

Ranek wstał pochmurny. Siwe kłaki mgły smużyły się leniwie w głębi parowów, otaczających dość wysokie wzgórze o stromych zboczach, które pionowymi obrywami broniły dostępu do królewskiej siedziby wieńczącej jego szczyt.

Nagie gałęzie drzew w parku, czarnymi krechami rysowały się na tle ołowianosinego nieba, a setki gawronów zwartym stadem kołowały ponad miastem rozsiadłym u stóp zamkowego wzgórza.

Kołowały z dostojeństwem, kracząc przy tym donośnie. Rozpostarłszy szeroko skrzydła, pozwalały się nieść łagodnemu wietrzykowi na żerowiska okolicznych pól.

Miasto powoli budziło się do życia. Słysząc było wózki przekupniów turkocące po wyboistym bruku, nierównościach kocich łbów, wiozące towar na stragany ustawione wokół rynku. Od bram dobiegał zaś odgłos skrzypienia nie nasmarowanych osi chłopskich fur, wyładowanych wszystkim, co tylko wydać może urodzajna ziemia.

Skądś dało się słyszeć nawoływania, ówdzie rozlegał się śmiech, a kościelne dzwony perlistymi dźwiękami wzywały ludzi na poranne msze.

Król wcale nie kładł się owej nocy, a teraz stał – nie bacząc na zimno listopadowego poranka – w otwartym oknie. Zaciskał palce na kamiennej framudze tak mocno, iż pobiełały mu knykcie. Obserwując go z dala, można by sądzić, że podziwia krajobraz rozpostarty przed nim szeroką panoramą, ale król patrzył nań niewidzącymi oczyma, z których płynęły łzy. Nie szlochał. Płakał bezgłośnie, tylko usta wykrzywione w bolesnym grymasie mówiły, iż bardzo cierpi.

A miał powód by cierpieć, bo oto pożegnał na zawsze swą królową, która cicho

i spokojnie, po życiu krótkim, choć pełnym cierpienia, odeszła do innego, lepszego świata.

Odeszła tam, skąd się nie powraca, a dokąd wcześniej czy później odejść musi każdy człowiek.

I choć przygotowany był na śmierć tej, którą ukochał był całym swoim sercem, bo choroba przykuła ją do łóżka przed wieloma miesiącami, to jednak teraz nie mógł powstrzymać łez bólu i rozpacz.

Oto przebiegał myślą wszystkie wspólnie przeżyte dni, od dnia ślubu – radosnego, pełnego dźwięku organów, dymów kadzideł w katedralnym kościele, kędy biskup błogosławił ich małżeństwu, przepychu toalet weselnych gości, muzyki, rozgwaru, śmiechu... aż po dzień inny, który zarówno radosny był i smutny. Po dzień narodzin ich córeczki.

Od owego zdarzenia bowiem, w miarę jak dziecko rosło, matka słabła. Próżno najtężsi lekarze próbowali przywrócić jej siły. Nie pomagały żadne eliksiry, ni odwary z ziół, ni kąpiele, ni maści...

Aż wreszcie nadszedł kres, nadeszła noc ostatnia, podczas której śmierć uciszyła wszystkie bóle królowej na zawsze, a król został na świecie sam, mając być dla maleńkiej księżniczki i ojcem i matką.

Pogrzeb królowej odbył się z całym przepychem, jaki zwykł był towarzyszyć pogrzebom władców. Zmarłą na miejsce wiecznego spoczynku odprowadzały nieprzebrane tłumy poddanych, którzy ściągali do stolicy by wziąć udział w owych smutnych obrzędach nie tyle z miłości do swej pani, ile raczej z ciekawości, a przede wszystkim, dlatego, iż pogrzebom miało towarzyszyć bezpłatne rozdawanie chleba.

Nad wspinałą trumną wykutą z mosiężnej blachy, zdobną w herby królestwa i roślinne ornamenty, jeden tylko król cierpiał naprawdę, chociaż oczy miał suche, bo już wcześniej wyciekły z nich wszystkie łzy.

Gdy nad trumną zasunięto ciężką płytę sarkofagu wyrzezanego z jednego bloku czarnego marmuru, żałobnicy rozeszli się, każdy w swoją stronę, i tylko władca pozostał w podziemiach katedry. Klęczał długo jeszcze, jakby bojąc się, iż jego odejście może ostatecznie zerwać ową nić łączącą go ze zmarłą żoną. Lecz w końcu przecież musiał to uczynić.

Odtąd dni płynęły mu w smutku, a pociechą była córeczka, jedyna radość, jaka pozostała władcy. Drżał o nią, lękał się aby nic złego nie spotkało dziecka. Nocami czuwał u wezłowania kołyski i chociaż niańki i mamki otaczały dziewczynkę jak najczulszą opieką, jemu się zdawało, że skoro nie ma matki, dzieje się jej krzywda.

Przemijały tygodnie, przemijały miesiące, zmieniały się pory roku. Księżniczka Joanna siadała już o własnych siłach, gaworzyła, wyciągała do góry ręce i śmiała się słodko jak chyba żadne dziecko nie potrafi.

Godzinami całymi król bawił się z nią, zaniedbując sprawy państwowe, co budziło niepokój ministrów. Aż wreszcie najstarszy z nich – tak wiekiem, jak i znaczeniem – odważył się w ten sposób przemówić do władcy:

– Miłościwy panie! Żaden mężczyzna nie zastąpił jeszcze i nie zastąpi dziecku matki. Jego rolą jest być ojcem, a to zgoła co innego, choć przecie odpowiedzialność nie mniejsza! Zatem, mimo twych ustawicznych starań, nie możesz dać księżniczce tego, co mogłaby jej zapewnić kobieca opieka.

– Czyż, miłościwy panie – ciągnął dalej – będziesz umiał nauczyć ją na przykład haftować?

A przecież prędzej w tym winna być biegła królewska córka, niż w robieniu mieczem, co mógłbyś jej pokazać. Raczej pozwól na więcej niańkom, a sam odsuń się od dziecka nieco, a wyjdzie mu to na lepsze.

Król nic na owo nie odrzekł, ale zamyślił się głęboko.

I chodził zadumany długo, mało co odzywając się do dworzan, by wreszcie dość nieoczekiwanie zwołać do sali tronowej wszystkich dostojników państwa i tak

do nich przemówić:

– Długo rozważałem słowa pierwszego ministra, aby w końcu przyznać mu rację. To prawda, że mężczyzna nie może sam jeden wychowywać córki. Potrzebna jej bowiem matczyna opieka. Ponieważ jednak królowna Joanna nie ma matki, a mieć ją powinna, postanowiłem ponownie się ożenić. Nie myślcie jednak, iż pamięć zmarłej królowej przestała być mi droga. To nie czeza zachcianka skłania mnie do ożenku, ale wyłącznie dobro dziecka.

Gdy wieść o decyzji króla rozeszła się po kraju wszyscy odetchnęli z ulgą. Oto bowiem władca na powrót miał się zająć tym, co do niego należało – a więc troszczyć się o sprawy państwa, umacniać warownie, strzec granic, budować miasta...

Jeden tylko minister spraw zagranicznych nie był wesół. Miał bowiem ciężki orzech do zgryzienia, ponieważ król uparcie odrzucał kandydaturę każdej z zaproponowanych mu na żonę księżniczek, córek ościennych władców. Twierdził, iż nową matką dla jego córeczki może zostać wyłącznie dziewczyna pochodząca z ich kraju.

Próżno minister tłumaczył, próżno nalegał, ba! próżno nawet groził, iż porzuci swój urząd, jeżeli władca popełni to głupstwo i pojmie za małżonkę własną poddankę. Król nieodmiennie wzruszał ramionami i trwał w uporze.

Cóż było począć? Kilku zaufanych dworzan rozeszło się zatem po całym państwie wypatrując w zamkach wielmożów, w szlacheckich dworach, mieszczańskich kamienicach, a i w chłopskich chatach także, dziewcząt pięknych, powabnych i niegłupich.

Choć dość długo trwały owe poszukiwania, to uwieńczył je sukces, bo wybrana przez dostojników dworskich dziewczyna była śliczna niczym brzoźka, gdy wczesną wiosną okryje się młodziutkim listowiem, tak delikatna jak tchnienie wschodniego wietrzyku w upalny dzień sierpniowy, a mądra niczym najmędrszy

z mnichów, którzy piszą i przepisują księgi.

Niestety, miała ona jedną szkaradną wadę, aczkolwiek dającą się bez trudu ukryć. Była ponad wszelką miarę żądna władzy. Gdyby król o tym wiedział, pewnie by jej nie poślubił.

Stało się jednak inaczej – był ślub, huczne weselisko, później zaś głowę młodej żony zwieńczyła, kuta ze szczerozłotego kruszcu, wspaniała korona – symbol władzy monarszej.

Nie w smak było dworzanom, nie w smak szlachetnie urodzonym, iż nie księżniczka krwi została ich panią, ale zwyczajna poddanka.

Nikt się jednak nie odważył protestować głośno, bojąc się pańskiego gniewu i niełaski. W duchu jednak wielu mówiło sobie, iż z owego ożenku nic dobrego nie wyniknie, ani dla kraju, ani dla rodziny królewskiej.

Młoda pani wszakże zachowywała się nadzwyczaj godnie, a ponadto była tak czuła dla męża i jego maleńkiej córeczki, iż nawet ci, którzy byli jej najbardziej niechętni, poczęli zmieniać zdanie.

Ale owa sielanka nie trwała długo. Nim minął rok od dnia ślubu, król podupadł na zdrowiu, wysechł, szcerniał i zesłabł tak bardzo, iż większość czasu spędzał w łóżu, sprawy państwa poruczywszy pięknej żonie.

Aż pewnego ranka, pokojowiec władcy, który wszedł do monarszej sypialni ze śniadaniem, spostrzegł, iż jego pan przeniósł się cicho i niepostrzeżenie do lepszego świata, zostawiając wszystkie bóle i całą nędzę żywota na tym padole smutku, na którym więcej słyhać szlochań, aniżeli beztroskiego śmiechu.

Od tej chwili królowa stała się jedyną i niepodzielną panią kraju. Władza, jaką sprawowała upajała ją niczym mocne wino, przyprawiała o najwyższą rozkosz i stanowiła jedyny sens życia.

Przepędziła precz dawnych ministrów, przegoniła dawnych doradców. Otoczyła się zaufanymi ludźmi, którzy do tej pory sprawowali jedynie podlejsze i mało

ważne funkcje. A oni, wyniesieni z nagła na sam szczyt, najwyższych dostąpiwszy dostojęństw, z wdzięczności dla swej dobrodziejki gotowi byli spełniać wszelkie jej rozkazy.

Źle działo się w państwie. Skarbiec pęczniał i pęczniały kieszenie dworaków. Prosty lud zaś poczuł na karkach ciężką rękę nowej pani, wzdychając teraz żałośnie do dawnych czasów, w których panował ład i porządek, i prawo. Do czasów, w których każdy znał swoje miejsce, swoje przywileje i obowiązki, mogąc przewidzieć, co też przyniesie dzień jutrzejszy, pozajutrzejszy, czy bardziej odległy nawet. Teraz zaś żyło się w lęku, pracowało z lękiem, lęk budził ludzi, tak, iż nasłuchiwali czyli do ich uszu nie doleci odgłos ciężkich kroków zbrojnych, idących wyzuć ich z mienia, a często i pozbawić życia. Jeśli akurat spodobalo się to władczyni, albo któremuś z jej zauszników. I tak płynęły miesiące i lata.

Prosty lud i prawie cała szlachta z jednakim utęsknieniem czekali aż dorośnie księżniczka Joanna, prawa dziedziczka ojcowskiego tronu, aż zasiądzie na nim, ująwszy w dłonie berło i jabłko, a głowę zwieńczy koroną. Wszyscy wzdychali do dnia, w którym królowa – regentka będzie musiała wyrzec się swej władzy.

A ona również myślała o owej chwili, gdy przyjdzie ustąpić miejsca w sali tronowej córce zmarłego męża. Nie były to wszakże wesołe rozmyślenia. Pocieszała się jednocześnie, iż być może Joanna nie każe jej odejść, całkowicie usunąć w cień, lecz że panować będą wspólnie.

Rychło uprzytomniła sobie, iż przecie Joanna poślubi jakiegoś królewicza czy księcia, a ów bez wątpienia przepędzi regentkę, nie pozwalając się nikomu postronnemu wtrącać do spraw państwa.

I wówczas ogarniał ją lęk i przerażenie, bo nie umiała już wyobrazić sobie życia innego jak to, które wiodła od śmierci króla.

Któregoś dnia, gdy strach przed utratą władzy silniej niż zwykle schwycił ją w swe szpony, w na wpół obłąkanym mózgu poczęła kiełkować myśl pewna. Myśl

zła i okrutna „– Oto przecie może pozbyć się Joanny... Może kazać Joannę... zgładzić...”

* * *

Tej nocy królowa zupełnie nie mogła spać. Mimo otwartych na oścież okien było jej duszno. Gdy chwilami poczyniała jednak zapadać się w czarną czeluść niepamięci, natrętna myśl bląkająca się na skraju świadomości, boleśnie przeszywała jej mózg: „Jak pozbyć się Joanny? Jak? Jak? Jak?...”

Na koniec wstała, widząc iż przewracanie się z boku na bok jest bardziej męczące niż jakiegokolwiek inne zajęcie o tej porze. Duszką wypłała puchar pełen chłodnego, czerwonego wina, o ledwo dostrzegalnym cierpko gorzkawym odcieniu podkreślającym wspaniałość aromatu i doskonałość smaku tego trunku sprowadzonego z odległych zamorskich krain.

Gdy napój dotarł do wnętrza i rozgrzał je, poczuła nieco ulgi. Ostrożnie i cicho, by nie zwrócić niczyjej uwagi, wymknęła się na korytarz, a później ukrytym przejściem do zamkowego ogrodu.

Objął ją miły chłód nocy. Łagodny wietrzyk owiewał rozpaloną głowę, przynosząc ukojenie. Spacerowała wysypanymi miałkim żwirkiem alejkami, wdychała woń wilgotnego listowia, zgarniała dłońmi rosę z igliwia zwartego gąszczy jałowców.

Spacerowała tak do rana. Do czasu, aż niebo na wschodzie pojaśniało.

Złotoczerwona kula słońca wtoczyła się na horyzont i z każdą chwilą wznosiła się coraz wyżej. W zaroślach ptaki zanosiły się śpiewem.

Miły, orzeźwiający zapach rosy i ziół niósł się od pól rozpościerających się poza miastem, mieszając się z wonią, żyznej ziemi. Wszystkie odcienie zieleni i błękitu, róż, czerwień złoto składały się na obraz dzikiego w tej części ogrodu,

rozpostartego na tle nieba spokojnego w swym bezmiarze.

Promienie przeświecały przez gąszcz gałęzi i liści, kładąc się złocistymi cętkami na kobiercu gęstej trawy zarastającej niewielką polankę, na skraju której ustawiona była kamienna ławka, wyrzeźbiona w czerwonym piaskowcu, a wokół niej rosły kępami białe lilie.

W chwilach, gdy leciutki wietrzyk wstrzymywał oddech, ich słodka woń drgała w powietrzu.

Królowa zmęczona nocnym spacerem, wypatrzywszy owo skryte przed ludzkim wzrokiem siedzisko, rozparła się na nim wygodnie.

Naprzeciw ławki usadowiły się krzewy bzów i jaśminów, kępy jakowychś przepysznych kwiatów, których nazwa była jej obca, rysowały się ostrą barwą na soczystym tle trawy. Tylko dał pomiędzy pniami drzew rosnących nieco z boku, niepokoiła zielonkawym półmrokiem.

Naraz do uszu monarchini doleciał delikatny chrzęst żwiru. Odgłos lekkich kroków kogoś, kto spacerował po alejce przecinającej ogród nie opodał. Zaintrygowana podniosła się by zobaczyć któż tak rano przywędrował aż do tej samotni i ujrzała królową Joannę, przechadzającą się pod zieloną powalą splecioną z okrytych gęstym listowiem konarów starych wiązków.

Dziewczyna była piękna i... dorosła.

Królowa pojęła, iż oto ostatni moment, aby ją usunąć, a samej zachować zdobytą przed laty władzę. Uśmiechnęła się, lecz nie był to uśmiech dobrotliwy, lecz okrutny. Potem, poczekawszy aż Joanna oddaliła się na tyle, by jej nie mogła już dostrzec, wyslizgnęła się ze swej kryjówki do zamku.

Przybrawszy na twarz maskę beztroski i spokoju, ba! radości nawet, zjadła śniadanie w otoczeniu dam dworu, a później udała się do swych prywatnych apartamentów, kędy wezwała najbardziej zaufanego ze swych zauszników. Skoro stanął przed nią, jakiś czas milczała mierząc go baczny, przenikliwym

spojrzeniem, aż począł to blednąć, to czerwienić, kurcząc się w sobie, bo nie wiedział co może owo znaczyć. W końcu jednak królowa ozwała się doń:

– Czy gotów jesteś spełnić każde me życzenie?

– Każdy twój rozkaz najjaśniejsza pani!

– Nie, tym razem nie będzie to rozkaz, lecz... prośba.

– Mów, pani.

– Jeśli mi pomożesz, do końca swych dni nie zaznasz trosk i niedostatku...

– Mów, pani.

– A zatem słuchaj. Dzisiejszej nocy, skoro tylko zmrok okryje ziemię, zakradniesz się wraz z zaufanymi ludźmi do komnaty królowy Joanny...

Tu przerwała na chwilę, czekając czy słowa owe wzbudziły jakowąś reakcję u żołdaka. Ale on patrzył na nią z niewzruszoną twarzą. Ciągnęła tedy dalej.

– Cichaczem uprowadzicie dziewczkę i wywiódlisz ją do puszczy – jak najdalej od stolicy -

w samym sercu gęstwiny pozbawicie życia.

Sługus uśmiechnął się z ironią jakby na znak, iż takiego właśnie zlecenia się spodziewał, a potem odparł:

– Możesz być spokojna, królowo. Sprawimy się szybko i nie zostawimy żadnych śladów.

Uklonił się nisko i wyszedł z komnaty.

Władczyni została sama. Od tej chwili liczyła minuty i upływające godziny. Gdyby to leżało w jej mocy, pewnie zrzuciłaby słońce z firmamentu, aby szybciej zapadły ciemności.

Aby prędzej mogła dokonać się zbrodnia.

Królowa nerwowo przemierzała komnatę. Tam i z powrotem. Tam i z powrotem. Od okna ku drzwiom, od drzwi, ku oknu... Ukojenie miał jej przynieść dopiero ranek następnego dnia.

Słońce chyliło się ku zachodowi. Pomarańczowa kula wisiała nisko nad horyzontem, zdawałoby się, zaplątana w gęstwinie wierzchołków drzew.

Na trawie poczęły kłaść się fiołkowe cienie. Wreszcie słońce zniknęło, tylko chmury na zachodzie widnokrzęgu pozostały rozświetlone złoto czerwonym blaskiem i wyglądały jakby ogarnięte jakimś przeogromnym pożarem, który – zda się – trawi połowę świata.

Od pól leżących za miastem słychać było niesiony po rosie bek stad powracających z pastwisk, pokrzykiwanie pasterzy, ujadanie psów. W końcu i to ucichło, tylko żaby rechotały zgodnym chórem, kędyś na brzegach stawów i strumieni. Olbrzymi księżyc majestatycznie wpłynął na firmament, rozbłysły roje gwiazd.

Joanna jeszcze nie spała, chociaż szykowała się już do snu. Do drzwi jej sypialnej komnaty zastukał ktoś nieśmiało, jakby lękając się, czy może przypadkiem nie zirytuje królowny chęcią złożenia jej wizyty o tak niewczesnej porze.

– Któż tam – zapytała, lecz nie usłyszała odpowiedzi, tylko po raz drugi delikatne pukanie.

Zaciekawiona podeszła do drzwi i otworzyła je na oścież. W tej samej chwili rzuciło się na nią zniecka dwóch mężczyzn. Jeden związał ręce, wykręciwszy je uprzednio na plecach, drugi natomiast wepchnął jej do ust zwiniętą w kłębek szmatę, aby nie mogła krzyczeć.

Mrocznymi korytarzami, kryjąc się, by nikt ich nie dostrzegł, zbrodniarze wymknęli się z zamku, wlokąc za sobą królownę. Podążała posłusznie, nie stawiając oporu, nie z lęku bynajmniej, lecz przez zaskoczenie i oszołomienie niecodziennością zdarzenia.

W cieniu starych lip, u podnóża góry zamkowej stał powóz zaprzęzony w parę czarnych ogierów. Wepchnięto doń Joannę i woźnica zaciął biczem konie.

Pojazd ruszył z ogromną prędkością. Koła podskakiwały na nierównościach gruntu tak, iż pasażerowie musieli trzymać się z całej siły siedzeń, by nie upaść. Królowa zaparła się tylko nogami o podłogę, bo ręce miała skrępowane. Próbowwała krzyżeć, ale wtłoczony do jej ust gałgan, skutecznie tamował wszelki głos.

Jazda trwała długo. Po jakimś czasie pojazd zwolnił, a potem skręcił na drogę o zgoła innym podłożu. Miękką, pewnie piaszczystą, bo ucichł turkot okutych żelaznymi obręczami kół, a jazda stała się płynniejsza.

Znów jechano dość długo, aż wreszcie karoca zatrzymała się i mężczyźni brutalnie wypchnęli dziewczynę przez szeroko otwarte drzwiczki.

Wyszędłszy rozejrzała się wokół. Byli w lesie. Gęste korony prastarych drzew nie przepuszczały prawie wcale srebrzystej księżycowej poświaty. Tylko gdzieś tam przez przerwy wśród gąszczu konarów przenikał białawosiny poblask.

– No dalej, naprzód – rzucił jeden z napastników, popychając jednocześnie Joannę.

Ruszyła, potykając się, a tuż za nią podążało dwu mężczyzn. Trzeci, ten który powoził karocą a był ich przywódcą, nie ruszył się z miejsca, tylko zawołał za odchodzącymi.

– A pospieszcie się! Nie marudzić tam długo!

Szli po miękkim igliwiu, grubą warstwą leżącym na piaszczystym podłożu. Milczeli.

Dopiero po dłuższej chwili jeden z mężczyzn się ozwał:

– Podła służba Jakubie. Podła służba. Ganiają człowieka po nocy.

– At! Cicho bądź! Nasza rzecz słuchać!

– Niby tak, ale przecie to, co nam każą teraz zrobić to podłość. Nie lękasz się splamić ręce krwią tej niewinnej dziewczyny? Nie lękasz się zostać zbrodniarzem?

– Moją rzeczą jest słuchać i wykonywać rozkazy – bronił się zapytany.

Ale pierwszy z mężczyzn nie dawał za wygraną:

– Głupiś! Przecie to nasza królowna, nasza pani. Jej to przede wszystkim winieneś posłuszeństwo i miłość. A jakby ci kazali zamordować własną córkę, to też byś posłuchał?

– Tfu! Nie oplatałbyś byle czego!

– No widzisz. A ona to więcej niż twoja córka. Nie uzalasz się nad sierotą?

– Cóż zatem mamy czynić?

– Zostawmy ją w lesie. Niech żyje. Niech ucieka. Królowno – zwrócił się do Joanny, jednocześnie wyciągając jej z ust knebel. – Królowno, a nie wydasz się, że ocalałaś? Puścimy cię wolno. Idź w las, schroń się gdzieś, kędy ręce królowej cię nie dostaną. Ale nie wydaj nas, nawet przypadkiem. Mamy żony, mamy dzieci. Trzeba je nakarmić. Trzeba je przyodziać.

Jeśli wydałoby się, żeśmy cię puścili wolno, sami postradamy głowy.

– Nie lękajcie się – ozwała się Joanna. – Nie wrócę do stolicy. Samej mi żywot miły. A was przecie Bóg wynagrodzi za dobroć i za litościwe serca.

Przypadli obaj żołdacy do stóp królowny, prosząc o przebaczenie za to, iż poważyli się podnieść na nią swoje ręce. Ona zaś ujęła w obie dłonie ich głowy w geście przebaczenia, a na koniec rzekła:

– Ale wracajcie już do karocy, wracajcie.

Odwrócili się więc i odeszli. Przez czas jakiś słychać jeszcze było cichy odgłos ich kroków, to zaszeleściły potrącone liście paproci, to złamała się z cichym trzaskiem nadepnięta stopą uschła gałązka. A później wszystko ucichło. Królowna została sama w przeogromnej puszczy.

Księżyc skrył się za chmurę, tak że ani plamka, ani smużka jego mdłego światła nie przenikała już przez gałęzie leśnych olbrzymów. Ciemność zapanowała taka, iż Joanna nie widziała nawet swojej wyciągniętej ręki.

Próbowała oddalić się z miejsca, w którym zostawili ją żołnierze, ale co rusz wpadała to na ogromny pień, to plątały się jej nogi pośród giętkich i kaleczących witek jeżynowych, lub sztywnych łodyg rozrosłych kęp jakiegoś zielska. Bała się, iż może stoczyć się do głębokiego wykrotu, postanowiła zatem poczekać ranka tu, gdzie się znajdowała.

Skuliła się więc i ległszy na miękkim mchu i wonnym igliwiu zamknęła oczy, a potem -

choć tyle strasznych przeżyć nie powinno pozwolić na to – zapadła w głęboką czeluść snu bez marzeń.

* * *

Obudził ją brzask wstającego dnia i chłód, który przenikał każde włókienko ciała, wgryzał się w głąb mięśni, docierał do kości i mroził w nich szpik.

Przysiadła, oparta o pień wielkiej jodły, szcękając zębami. Oczy, przymglone resztką snu, ze zdziwieniem spoglądały dookoła. Minął spory kęs czasu, zanim uświadomiła sobie gdzie się znajduje i przypomniała wszystko, co spotkało ją minionej nocy.

Powoli wstała, zastanawiając się, w którą ma iść stronę. Las otaczał ją zewsząd zwartą ścianą. Bała się go, bo był jej obcy. Próżno wypatrywała śladów ludzkich odcisniętych na powierzchni gruntu.

Gruba warstwa ściółki i miałki piasek nie przechowały ich. Oczywiście dla człowieka, który zna puszcę były one widoczne, ale nie dla dziewczyny wychowanej z dala od dzikiej, pierwotnej przyrody, mającej do tej pory do czynienia tylko z ogrodem obok królewskiego zamku.

Usiłowała sobie przypomnieć, z której strony doszła tutaj, lecz i tego nie potrafiła. Z pewnością do uczęszczanego traktu nie było nazbyt daleko, bowiem

kareta wjechała aż w głąb lasu, a od miejsca gdzie się zatrzymała uszli wraz z żołnierzami niewielki zgoła kawałek drogi. Lecz Joanna nie umiała tam powrócić.

Wreszcie obrała kierunek swej wędrówki na chybił trafił, mniemając, że jeśli ciągle będzie podążać w tę samą stronę, w końcu musi przecie dotrzeć do skraju puszczy i do ludzkich siedzib.

Zrobił się dzień. Ptaki śpiewały skryte w konarach drzew. Od świeżego igliwia okrywającego gałęzie smużył się delikatny, o cierpkawym odcieniu, zapach żywicy.

Joanna szła wpierw wąziutką przesieką, tak jednak starą, iż na wpół zarosłą krzewami i zielskiem. Miała jednak nadzieję, że wyprowadzi ją ona z lasu. Omyliła się jednak. Później wędrowała pośród kolumnady pni dostojnych leśnych olbrzymów.

Czuła głód i dręczyło ją pragnienie. Po dość długim marszu natrafiła na polankę okrytą dywanem poziomkowych krzaczków, poczerwieniałych od mnóstwa dojrzałych, słodko pachnących owoców. Zbierała je zanosząc do ust.

Ten skromny posiłek stępił nieco głód dziewczyny, a gdy jeszcze ugasiła pragnienie w leśnym bajorku, którego powierzchnia pokryta była zielonym kożuchem rzęsy, poczuła się znacznie lepiej.

Około południa, zanosła się szlochem. Czas płynął, ona błędziła, a las miał rzednąć, wręcz przeciwnie – gęstniał i z każdym krokiem robił się dzikszys i coraz bardziej tajemniczy.

– Cóż się z nią stanie? – myślała. – Czy ujdzie z życiem z owej głuszy?

Postanowiła jednak nie poddawać się a odzyskawszy nieco siły, powlokła się dalej. Szła teraz wśród rzadkiego lasu. Między drzewami rosły krzaki trzmieliny, widać było chruśnik malinowy i – co przyprawiło ją o największą radość – okazałe krzewy leszczyny.

Podbiegła do jednego z nich i poczęła zrywać sporawe już orzechy. Gdy nazbierała ich cały podolek, przysiadła na wpół zbutwiałym, zwalonym pniu jodłowym i zgmiotła w zębach skorupkę orzecha. Ale ogarnęło ją rozczarowanie – wnętrza nie wypełniało pożywne, słodkawe jądro, lecz dopiero formująca je biała „wata”. Miażdżyła nerwowo skorupki dalszych owoców, ale wszystkie były puste.

Wytrząsnęła więc resztę owoców na ziemię i zanosła się płaczem. Lecz tym razem nie przyniósł on ulgi. Świadoma beznadziejności swego położenia, drżała na myśl o tym, co ją spotka w przyszłości.

Tymczasem zapadł zmierzch. Ptaki powoli zaczynały milknąć – odprawiwszy swoje ćwierkliwe nieszpory, aż w końcu zapadła ciemność i cisza, przerywana tylko z rzadka pohukiwaniem sów. Skądś z daleka dolatywało jednostajne rechotanie żab. Rozpoczęła się druga dla królowy noc w puszczy.

Tym razem dręczyły ją przerażające majaki. Jakoweś twarze wykrzywione w złośliwym grymasie pochylały się nad nią. Jakieś ręce, sękaty i powykręcane, wyciągały się ku niej...

Świt wyzwolił ją z owej męki, chociaż chłód znów targał całym ciałem. Poczęła biegać, by rozgrzać się nieco, a potem, pełna determinacji, przyrzekłszy sobie, iż zaniecha wędrówki nie wcześniej, aż nogi odmówią jej posłuszeństwa, ruszyła w dalszą drogę.

Teraz poznawszy już nieco las, znajdując kępy poziomych krzaczków objadała je dokładnie zrywając wszystkie owoce i te całkiem czerwone i te białawe, zaczynające się dopiero dojrzewać.

Ile tego ranka przełknęła poziomek, trudno powiedzieć, ale pewno było ich kilka dobrych przygarści. Ustąpiła tedy czczość i bolesne ssanie w żołądku, świat wydał się Joannie nieco weselszy, a serce napełniła otucha i przekonanie, że przecież kiedyś musi wyjść z puszczy, albo też natrafi na ludzi, którzy jej pomogą.

Około południa natknęła się na dość rozległe jezioro, które zagroziło jej

drogę. Była brudna i zmęczona, a niebieska toń odbijająca od powierzchni refleksy słoneczne, bo tutaj gęste puszczańskie sklepienie nie tamowało promieniom słonecznym dostępu, kusila do kąpieli.

Orzeźwiwszy się i odpocząwszy, nazbierała liści dzikiego szczawiu gęsto porastających trawiastą łączkę, która łagodnym skłonem opadała ku brzegowi wody.

Chociaż Joannie nie groziła śmierć głodowa, to jednak posilanie się wyłącznie owocami i zielskiem nie przydawało sił. W końcu doszło do tego, iż nie potrafiła już myśleć o niczym innym, tylko o jedzeniu.

W marzeniach widziała bochny ciepłego chleba, okryte złocistą chrupką skórką, stosy piezonego drobiu, wazy pełne wonnych, gęstych zup i zawiesistych sosów, słodkie ciasta i wszystko, co tylko imaginacja zdołała była jej podsunąć.

Chętnie poleżałaby jeszcze na miękkiej trawie, wygrzewając się na słońku, ale wiedziała, że musi iść dalej, że tylko nieustanny marsz może doprowadzić w końcu do wyzwolenia z tej ogromnej pułapki, jaką dla człowieka nie nawykłego do kontaktów z pierwotną przyrodą stanowi puszcza.

W tej części las z iglastego przeszedł w mieszany, a w miarę jak posuwała się do przodu, drzew liściastych przybywało. W końcu wokół niej szumiały same tylko dęby.

Pnie miały grube, wyrastające z gęstego poszycia i widać było, iż owej dąbrowy nie tknęła jeszcze ręka człowieka. A może nawet nie dotarł on tu nigdy. Może królowna była pierwszą, której stopa deptała szeleszczącą warstwę uschłych sztywnych liści?

Kolumnada pni urwała się nagle, a poza nią otwierał się widok na polanę rozległą i gęsto porośniętą żywo zieloną murawą, przetykaną białymi główkami stokrotek, żółtymi jaskrów i liliowych driakwii. Gęsty, zwarty gąszcz krzewinek dziurawca pokrywał wielką połąć owej pustaci.

Na jej skraju, po przeciwnej stronie, dokładnie na wprost oczu królowny, można było dostrzec solidny dom. Zbudowano go z potężnych dębowych bali, a szpary utkano mchem, uschłym teraz i zrudziałym.

Na pierwszy rzut oka trudno było orzec, czy domostwo jest zamieszkałe, czy też nie. Więc Joanna postanowiła owo zbadać. Jednocześnie nadzieja wstąpiła w jej serce. Pomyślała, że oto kończy się jej udręka i cierpienie. Ruszyła ku budynkowi. Rychło stanęła przed drzwiami.

Teraz miała już pewność, iż mieszkają tutaj ludzie. Najbliższe obejście było zadbane, a od domostwa przez las wiodła kędyś wąska ścieżka.

Królowna zastukała do drzwi raz i drugi. Nie słyszała wszakże odpowiedzi. Krzyknęła tedy:

– Czy jest tam kto?!

Ale i teraz odpowiedzią była cisza.

Nacisnęła klamkę i drzwi się otworzyły. Nie wiedziała czy może wejść do domu pod nieobecność gospodarzy, była jednakże tak zmęczona, że postanowiła to uczynić. Miała nadzieję, że wybaczą jej tę zbytnią śmiałość i niegrzeczność.

Drzwi się rozwarły. Za nimi znajdowała się wielka, mroczna sień, do której wpadało nieco światła przez maleńkie okienko umieszczone prawie pod powałą.

W sieni widać było kilkoro drzwi wiodących do dalszych pomieszczeń. Podeszła do pierwszych z brzegu i nacisnąwszy klamkę, uchyliła je na tyle, by móc zlustrować wnętrze.

Spostrzegła, iż jest to kuchnia, z wielkim piecem wymurowanym z polnych kamieni, na którym stoi rząd glinianych, żelaznych i miedzianych garnków.

Na widok pożywienia nie umiała dłużej zapanować nad głodem. Nie bacząc, iż ono do kogoś należy, przysunęła sobie jedno z naczyń, wyciągnęła zeń kawał gotowanej sarniny i ostrymi zębami jąła odrywać wielkie kęsy, które później żuła z lubością.

Gdy nasyciła głód i zaspokoila pragnienie kubkiem chłodnego miodu, poczuła ogromną ulgę, ale jednocześnie zmorzył ją sen.

Położyła się zatem na szerokiej ławie okrytej kosmatą baraniną skórą i zamknęła oczy.

Spała chyba dość długo, bo gdy się ocknęła, słońce chyliło się już ku zachodowi, a jego promienie odbijając się w szybach, wzbudzały w nich pomarańczowo szkarłatne refleksy.

Joanna podniosła się i pomyślała, iż za spożyty przez nią obfity obiad, winna się jakoś odwdzięczyć. Roznieciła ogień na kominie odgrzała wszystkie stojące tam potrawy.

Pomyślała też sobie, że nim wrócą mieszkańcy domostwa, może je dokładnie obejrzeć.

W mrocznej sieni naliczyła kilkoro drzwi wiodących do wielu pomieszczeń. Najbliżej kuchni znajdowała się jadalnia. Była to sala ogromna, z ciężkim mahoniowym stołem ustawionym na środku. Wokół niego znajdowało się dwanaście palisandrowych krzeseł, wyściełanych złotogłowiem. Ściany izby wybite były czerwonym adamaszkiem. Widniało też na nich dwanaście szczerozłotych, sadzonych szlachetnymi kamieniami, świeczników, a w każdym z nich tkwiła wysmukła woskowa świeca. Wieloramienny świecznik znajdował się również na stole.

Prócz niego można było zobaczyć także puste złote i srebrne naczynia i półmiski oraz kryształowe karafki, flasze i puchary wypełnione najszlachetniejszymi trunkami.

Lśniaca od wosku posadzka ułożona była w precudne desenie z różnokolorowych kawałków drewna.

Królewna patrzyła na cały ten przepych w osłupieniu, bo kto widział chatę z wierzchu, nie mógł się go nawet pośrodku domyśleć. Pojęła też, iż znajduje się

w domostwie kogoś ważnego, a nie leśnego drwala, jak sądziła poprzednio.

Gdy obejrzała już sobie jadalnię, wróciła do kuchni, przyniosła stamtąd wszystkie potrawy i poukładała je na przygotowanych wprawdzie półmiskach.

Następne pomieszczenie urządzone było z jeszcze większym przepychem. Ściany miało wybite czarnym aksamitem, zaś z aksamitu purpurowego porobione były zasłony do okien.

Podłogę zaścielał dywan czarnej barwy zdobny krwistoczerwonym ornamentem. Tak puszysty, iż chodziło się po nim zupełnie bezgłośnie, a nogi zapadały się głęboko.

W pośrodku jednej ze ścian widniał cudnie rzezany w różowym marmurze kominek, na palenisku ułożona była przyzma grubych dębowych i bukowych polan, czekających – zda się -

aż ktoś roznieci ogień.

Stół, komody i rozmaite inne meble zrobione były z najcenniejszego hebanowego drewna, inkrustowanego w fantazyjne zwierzęce i roślinne ornamenty złotem, srebrem, perłową macicą i gałązkami koralu.

W różnych miejscach tego obszernego pokoju porozstawiane było dwanaście głębokich, wygodnych foteli, wybitych czarną safianową skórą tłoczoną w pozłociste wzory. Sadzone drogimi kamieniami, złote kandelabry i kryształowe szyby w oknach uzupełniały obraz przepychu, jaki roztaczał się przed oczyma królewny.

Joanna napatrzywszy się wszystkiemu do syta, usiadła blisko okna i oparłszy głowę na dłoniach, wyglądała na dwór, zastanawiając się jednocześnie dokąd to trafiła. Lecz nie musiała długo szukać odpowiedzi na dręczące ją pytanie, bo oto, spoza zakrętu leśnej ścieżyny, wyłonił się szereg dwunastu mężczyzn. Mężczyźni owi, uzbrojeni po zęby, byli...

zbójcami.

Przerażenie ogarnęło Joannę. Straszliwy lęk schwycił ją za gardło. Otarła zroszone potem czoło i jęła bezradnie się rozglądać, którędy mogłaby umknąć. Nie wątpiła bowiem, że gdy zbójcy spotkają ją tutaj, na pewno straci życie.

Ucieczka przez drzwi nie wchodziła w rachubę, ponieważ już w sieni słychać było ciężkie kroki. Próbowwała otworzyć okno, ale czy to klamka się zacięła, czy też w zdenerwowaniu próbowała ją przekręcić w złą stronę, zamknięcie nie puszczało.

Miotła się bezradnie po izbie, szukała schowu, ale daremnie. Wreszcie usłyszała jak ktoś naciska klamkę, skoczyła zatem ku ścianie, oparła się o nią i przymknąwszy oczy, pomyślała, że oto wybiła już jej ostatnia godzina.

Ale co to? Ściana pod naciskiem pleców rozwarła się bezszelestnie, a Joanna zachwiała się i omal nie upadła. Gdy otulił ją półmrok tajemnej komnatki, ściana zamknęła się tak szczelnie, iż nawet najbystrzejsze oko nie mogłoby dostrzec szpar zdradzających ukryte przejście. Była uratowana.

Pomieszczenie, w którym się znalazła łączyło się tylko z tym, do którego weszli zbójcy i tylko dzięki owemu ukrytemu przejściu. Był to niewielki pokoik – może dziesięć kroków długi i jakieś pięć szeroki.

Panował w nim półmrok, bo skąpe światło wpadało z sąsiedniej komnaty tylko przez maleńkie okienko znajdujące się prawie pod sufitem. Z drugiej strony nikt nawet nie mógł się domyślić jego obecności, bo maskował je ogromny zegar ścienny, którego kryształowe szybki stanowiły jednocześnie szybkę owego okienka.

Joanna ochłonąwszy nieco z trwogi rozejrzała się wokół siebie z ciekawością. Wszędzie widać było grube pokłady kurzu i cały gąszcz pajęczyn, co dowodziło, iż w tym ukrytym pomieszczeniu ludzka noga nie postąpiła od wielu lat.

Pod jedną ze ścian stał mały stoliczek, a obok niego dwa twarde, drewniane zydle. Pod drugą ścianą natomiast widać było wąskie żelazne łóżko, a na nim równo ułożoną pościel nakrytą kapą zszytą z cielęcych skór, tak jednak brudną, iż

można było rozpoznać z czego ją wyprodukowano dopiero po dokładnym obejrzeniu z bliska.

Gdy królowna ją odchyliła, pod spodem ukazała się nieświeża, ale jednak w miarę czysta pościel. To dzięki szczelnemu skórzanemu okryciu nie wgryzał się w nią kurz i brud, tak że od biedy można było z niej skorzystać i spędzić noc w owym łóżku.

Zresztą nawet gdyby dziewczyna chciała, nie mogłaby uczynić niczego innego. Zbójcy bowiem przez cały czas kręcili się po domu.

Na krótko opuścili przyległą komnatę, udając się do jadalni, gdzie zaspokoili głód przygotowanym przez Joannę obiadem. Lecz rychło powrócili.

Joanna przysunawszy sobie jeden ze stołków, wspięła się nań i obserwowała zbójców przez owo maleńkie okienko pod powałą. Mogła to czynić bez najmniejszych przeszkód, bo porzysiadali się naprzeciw niej w swych miękkich fotelach.

Najwspanialej prezentował się herszt. Był to wysoki mężczyzna o byczym karku i palącym spojrzeniu. Inni zbóje, chociaż również nie ułamki, ustępowali mu okazałością.

Wszyscy odziani byli dostatnio, chociaż bez przepychu. W sukienne kaftany i spodnie, skórzane buty i także pasy. Gdyby ich ktoś spotkał przypadkiem, nie przypuściłby nawet, iż to właściciele tak ogromnego majątku, jaki podczas krótkiej lustracji domu wypatrzyła królowna. A przecież nie widziała najważniejszego – ich skarbcza, gdzie gromadzili i przechowywali najcenniejsze łupy – szlachetne kruszce i szlachetne kamienie.

Zbójcy odpoczywali po posiłku i po dniu spędzonym na gościńcu, gdzie wypatrywali ofiar, które by mogli obrabować. Wypoczywając rozmawiali ze sobą. Królowna z przerażeniem posłyszała, iż przygotowany przez nią dla nieznanomych gospodarzy posiłek, wzbudził i zdziwienie i zainteresowanie.

– Bez ochyby, to skrzaty. Tak, skrzaty o nas zadbały i przyrządziły obiad – ozwał się jeden ze zbójców.

– Nie oplatałbyś bodaj czego, głupku – zganił go herszt.

– Jakie tam skrzaty. Niby skąd by się tu wzięły? Toż nie wiesz, że nie chcą one przebywać ze złymi ludźmi, a za dobrych trudno nas raczej poczytać?

– He, he – roześmieli się pozostali.

– A może jednak? – upierał się pierwszy zbój. – Może zabłądziły w lesie i przez przypadek trafiły do nas? A może mają we zwyczaju pomagać ludziom – tak jak my mamy we zwyczaju łupić ich ze skóry – to może i nam pomogły?

– Prędzej jakiś człowiek tu trafił. Tylko po cóż by przygotowywał posiłek dla nieobecnych? Jakaś dziwna to sprawa. Ale jeśli istotnie był to człowiek, to znak, iż odkryto naszą tajemnicę i póki on żyje, nie możemy czuć się bezpieczni.

– Ej, kamraci – zawołał jakiś inny zbójca – przeszukajmyż dokładnie dom! Może ów przybłęda kryje się tu jeszcze?

Na te słowa wszyscy porwali się na nogi i dalej zaglądać we wszystkie zakamarki, opukiwać ściany, sprawdzać obejścia, a i nawet znaczną połąć lasu wokół domostwa.

Poszukiwania – jak nietrudno się domyślić – nie przyniosły żadnych rezultatów. W sercach zbójców zakiełkował wszakże niepokój. Nie widząc jednak rezultatów poszukiwań, przerwali je. Zresztą zrobiło się już późno. Zmierzch okrył ziemię swą ciemną opończę, później niebo przybrało piękny ciemnogrnatowy kolor i roziskrzyło się miriadami pozłocistych gwiazd.

Opasły księżyc dostojnie wpłynął na firmament, w puszczy jęły pohukiwać sowy, a stada ciem wyroiły się z mrocznych zakątków i frunęły ku ciepłemu blaskowi płonących świec woskowych.

Zbójce powoli porozchodzili się do swych pokoi sypialnych, skąd rychło poczęły dobiegać odgłosy chrapania. Królowa wylękniona i niepewna swego losu, nie

wiedząc co przyniesie jutro, siedziała na zydlu rozmyślając, czy ma jakąś szansę by ujść z życiem z tej opresji. Ale w końcu i jej poczęły kleić się powieki. Położyła się więc na łóżku i zasnęła. Sen miała twardy i krzepiący. Po raz pierwszy od porwania z zamku nie zmarzła w nocy, toteż nie dręczyły jej żadne majaki.

* * *

Następnego dnia królewna obudziła się bardzo późno. Sprawilo to i zmęczenie i półmrok w jej schowku. W całym domu panowała cisza, bo zbóje odeszli wraz z brzaskiem pierwszych promieni słonecznych.

Joanna wyszedłszy z sekretnej komnatki i zaspokoiwszy głód resztkami śniadania pozostawionymi przez gospodarzy, usiadła na ławie w kuchni, wsparła głowę na pięści i poczęła rozmyślać nad swym dalszym losem.

Bała się, bardzo się bała, bo nie miała pojęcia o tym, co też wypada jej czynić. Ruszać znowu w las, na poszukiwanie drogi wiodącej do ludzkich sadyb? A jeśli pobłądzi? Jeśli nie odnajdzie skraju puszczy?

W końcu pomyślała, iż najrozsądniej zrobi, jeśli pozostanie w chacie zbójców. Za dnia będzie im sprzątać, prac, gotować, a przed wieczorem kryć się w tajemnej izdebce.

I od tej pory żyła w taki właśnie sposób. Gdy zbóje wychodzili rankiem szukać ofiar i bogatych łupów, ona zajmowała się ich gospodarstwem. Gdy zaś wracali wieczorem -

chowala się.

Najpierw fakt, iż ktoś pierze, gotuje i sprząta, niezmiernie dziwił i intrygował zbójców. Za wszelką cenę pragnęli rozwiązać tę zagadkę. Niestety – wysiłki by tego dopiąć, szły na marne.

Z czasem jednak przywykli do tajemniczej obecności kogoś obcego w ich

chacie, a przywykli tak dalece, iż zapewne uznaliby za nienaturalne, gdyby po powrocie z rozboju nie zastali na stole dymiących waz, pełnych półmisków i rozmaitych trunków.

Jeden tylko herszt nie dał za wygraną: łamał sobie ustawicznie głowę nad rozwiązaniem owej zagadki. Nie raz i nie dwa razy przeszukiwał całą chatę – od piwnic po strych, zaglądnąc nawet do komina. Lecz – jak nietrudno się tego domyślić – nie przyniosło to żadnych rezultatów.

Aż tu pewnej nocy, gdy spoczywał w szerokim, wygodnym łożu, w miękkuhnej pościeli, bardziej zmęczony niż zwykle, nawiedził go dziwny, bardzo wyraźny sen.

Oto w majaku ujrzał, iż poza czarnym obiciem ścian znajduje się tajemne przejście wiodące do niewielkiej, ukrytej komnatki, a w niej dostrzegł sylwetkę ludzkiej postaci.

Skoro tylko świergot ptasi rozległ się za oknami, a słoneczne promienie wśliznęły się do sypialni przez kryształowe szyby, odrzucił herszt pierzynę, zeskoczył dziarsko na podłogę i czym prędzej się ubrał. Później zimną wodą zmył z twarzy resztki snu i nie czekając, aż się pozostali towarzysze obudzą, wszedł do pokoju obitego czarną materią.

Chodził wzdłuż ścian przyglądając się im bacznie, badając każde załamanie, każde wgłębienie. Dotykał ich, naciskał, popychał i oto naraz jego trud został nagrodzony. Część ściany ustąpiła bezszelestnie, odkrywając niewielki otwór wiodący do tajemnej izdebki.

Herszt pochylił się i z trudem przecisnął przezeń. Znalazłszy się w środku ciekawie rozejrzał dookoła. W pokoiku panował szary półmrok. Słabe światło sączyło się poprzez maleńkie okienko znajdujące się prawie u pułapu.

Ściany były gołe, nie przyozdobione niczym i takież sama podłoga. Jedynymi sprzętami okazały się: stolik z dwoma drewnianymi zydłami stojącymi obok

i żelazne łóżko z rozesłaną na nim czystą pościelą. Na łóżku zaś, tu zbójca wyteżył wzrok, a potem stanął u wezglowia aby lepiej się przyjrzeć, spoczywała pogrążona w głębokim śnie... prześliczna dziewczyna.

Musiała chyba śnić o czymś przyjemnym, bo na jej w pół rozchylnych wargach błąkał się leciutki uśmieszek. Z ust herszta mimo woli wyrwał się okrzyk zdumienia.

Wówczas dziewczyna rozbudzona nim, gwałtownie usiadła w pościeli, a widząc przed sobą potężnego mężczyznę o groźnym wyglądzie, mężczyznę, w którym rozpoznała przywódcę rozbójników, również krzyknęła.

Strach, a nawet groza, schwyciła ją w swe szpony. Poczęła drzeć na całym ciele i naciągać kołdrę pod szyję, jakby mogła ją ona uratować przed czymkolwiek. Dzwoniąc zębami z przerażenia, wyszeptała błagalnym głosem:

– Nie czyńcie... nie czyńcie mi, panie, nic złego...

A herszt stał jak skamieniały i wpatrywał się w twarz dziewczyny rozmiłowanymi oczyma.

Nigdy, jak żyję, nie widziałem tak pięknego jak ty kwiatu – mówił na w pół do niej, a na w pół do siebie. – Moja cudna, moja najśliczniejsza! Jakżebym mógł uczynić ci coś złego?

Runął zbój na kolana, wyciągając ręce do królowny:

– Nie odtrącaj mnie, proszę, nie odtrącaj! W chwili, w której cię zobaczyłem, twoja piękność mnie poraziła, rozum się zmieszał, serce rozszalało w piersi. Jedno wiem tylko, że już bez ciebie nie umiem żyć. Nie odtrącaj mnie więc, zostań moją panią i małżonką, a spełnię każde twoje życzenie, zaspokoję wszelki kaprys!

Widząc i słysząc owo, wróciła królownie odwaga. Patrzyła na herszta, a im dłużej patrzyła, tym mocniejsza w jej serduszku rodziła się pewność, że nie jest on do końca złym człowiekiem, że – gdyby tylko miał po temu okazję – mógłby powrócić na drogę uczciwości.

Im dłużej wpatrywała się w mężczyznę, tym silniej ogarniało ją dziwne, nieznane dotąd uczucie tkliwości i jakiegoś rozrzewnienia, aż wreszcie pojęła, że i w jej sercu skiełkowała miłość do tego, który klęczał przy jej łóżku z pokornie opuszczoną głową, a dłońmi wyciągniętymi w błagalnym geście.

Nie mogła tego w żaden sposób pojąć, tym bardziej, że jeszcze kilka chwil wcześniej jego widok sprawił, iż strach dławił ją za gardło. Czyż jednak można zrozumieć najpiękniejsze z uczuć? Przecież nie, więc lepiej nawet nie próbować.

Ujęła dziewczyna wyciągnięte ku niej dłonie, ścisnęła je delikatnymi paluszkami i wyszeptała:

– Niech będzie jak pragniesz, zostanę twoją żoną, ale pod jednym warunkiem...

– Choćby najtwardszy – spełnię! – przerwał jej herszt.

– A zatem słuchaj: Musisz porzucić zbójckie rzemiosło, rozwiązać bandę i stać się uczciwym człowiekiem.

– Ale... ale... – szukał słów – ale przecież... Jeśli uczynię to, o co mnie prosisz, będziemy żyć w nędzy! Nie będę ci mógł dać ani pięknych sukien, ani wspaniałych klejnotów! A może nawet i jadła pod dostatkiem?!

– Nie oddam ręki komuś, kto bogaci się na bólu i łzach innych ludzi. Nie oddam. To moje ostatnie słowo, a zatem wybieraj.

– Twarde są twoje warunki – odparł zbój. – Twarde. Przecież ja niczego więcej poza rozbojem nie umiem! Ale niechże będzie, niech się stanie jak pragniesz. Wolę i głodny być, byle przy twym boku, niż syty, lecz bez ciebie.

* * *

Wielkie było zdumienie rozbójników, gdy dowiedzieli się o odkryciu ich przywódcy, a jeszcze większe, skoro usłyszeli nowinę, iż on i znaleziona w ukrytej izdebce dziewczyna, mają się pobrać.

Szemrali zbóje gniewnie, nie chcąc się pogodzić z postanowieniem, iż muszą zaniechać swego niecnego procederu. Próbowali się temu przeciwstawić i buntować, wszakże stanowczość herszta i łagodność królowny tak wpłynęły na nich, iż zgodzili się zostać uczciwymi ludźmi.

– Cóż więc mamy robić, aby nie poumierać z głodu? – zapytał stary kudłaty rozbójnik, drapiąc się wielkim nożem po plecach.

– Myślę, iż najlepiej będzie, jeśli tutaj, w sercu puszczy, wykarczujemy spory splacheć ziemi, obsiejemy ją pszenicą, obsadzimy warzywami, założymy sad – ozwał się przywódca.

– Podzielimy się robotą – ciągnął dalej. – Każdy zajmuje się tym, co mu najbardziej przypadnie do smaku. Jedni uprawą roli, a inni handlem. Myślę, że za sprzedane płody tej rodzajnej ziemi bez trudu będziemy mogli wyżyć.

Przykłaśnięto temu pomysłowi i nie odkładając go na później, zabrano się do karczunku.

Przez cały dzień echo niosło po lesie stukot siekier wgrzających się w pnie i trzask łamanych gałęzi, gdy padały leśne olbrzymy.

Wieczorem, skoro wszyscy uznojeni, ale szczęśliwi, zasiedli do sutej wieczerzy, którą przygotowała królowna Joanna, poczęto rozmawiać o postanowionym ślubie herszta.

Planowano go ze wszystkimi, najdrobniejszymi nawet, szczegółami. Układano jadłospis weselnej uczy. Naraz do uszu posilających się dobiegł odgłos pukania do drzwi wejściowych:

Porwali się dawni zbóje na nogi zaniepokojeni, kto by to mógł trafić do ich chaty. Z przyzwyczajenia pochwycili wielkie noże i ćwiekami nabite pałki, a później jeden z nich rozwarł dźwierz.

Na progu stała drobna, skulona babuleńka o pomarszczonej niczym uschłe jabłko twarzy, chytrych wyblakłych oczkach, z torbą żebraczą na ramieniu

i podróżnym kosturem w rękę.

– Dajcież nocleg biednej staruszce. Dajcież mi skibkę chleba i garnuszek mleka, a będę was błogosławić.

– Wejdz kobiecino – zaprosił ją herszt. – Usiądź wraz z nami do stołu, posil się i odpocznij.

Usiadła babuleńka na wskazanym miejscu i mało co się odzywając ciekawie nadstawiała ucha, jednocześnie pochłaniając takie ilości mięsiwa i zapijając je takimi ilościami piwa i miodu, że aż zbóje nie mogli się nadziwić, iż w nader wątłym ciele – kościach powleczonych skórą – może się pomieścić tyle samo, co w cielsku rosłego rozbójnika.

Babcia pod koniec wieczery, zaspokoiwszy swój potężny głód i nie mniej potężne pragnienie, przymknęła oczy, tak iż zdawało się, że drzemie. Jednakże ciągle pilnie nadstawiała uszu, a spod wpół zakrytych powiek wpatrywała się w twarz młodej ślicznej dziewczyny, siedzącej przy boku herszta.

– Skąd ja ją znam? – myślała żebraczka. – Gdzież to już widziałam owo lico?

I nagle olśnienie, niczym błyskawica, przeszło jej mózg:

– Ależ tak, tak na pewno! Toż to rzekomo umarła królowna!

W tej samej chwili herszt ozwał się uroczyście:

– A zatem postanowione. Nasz ślub – mój i Joasi – odbędzie się za równy miesiąc. Starczy więc czasu by wszystko godnie przysposobić do uroczystości.

– Pewnie, że starczy – odpowiedzieli kamraci.

* * *

Wczesnym rankiem, gdy tylko słońko wstało, a od wilgotnej murawy poczęły płynąć cudowne zapachy lata, babuleńka – żebraczka posiliła się śniadaniem podanym jej przez królownę, naładowała pełną torbę zapasów na drogę, pokłoniła

się niziutko gospodarzom i ruszyła w las, kierując się w stronę traktu wiodącego ku stolicy.

Po odejściu wszyscy zabrali się do pracy, a Joanna jęła czynić przygotowania do obiadu.

Ptaki w gałęziach drzew zanosily się od śpiewu, pszczoły i trzmiele brzęczały w powietrzu frunąc z kwiatu na kwiat i spijając słodki nektar, który miały przerobić na gęsty, wonny miód.

Z oddali dobiegało pracowite kucie dzięcioła. W zielonawym półmroku gęstwiny zamigotała ruda niczym płomień kita przemykającego wśród drzew lisa. Z karczowiska dolatywał jednostajny stukot siekier. Mijał jeszcze jeden dzień.

* * *

– Wpuśćcie mnie do najjaśniejszej pani! Wpuśćcie, bo mam jej rzec coś bardzo ważnego!

– słyhać było skrzeczący złością głos starej kobiety.

– Wynoś się stąd, babo! Wynoś, pókim dobry!

Halabardnik usiłował wypchnąć zasuszoną żebraczkę z kosturem w ręku i torbą na ramieniu, z powrotem za bramę, ale ona nie ustępowała. Wyślizgiwała mu się sprytnie, usiłowała przemknąć pod ramieniem i wciąż wrzeszczała:

– Wpuść mnie do naszej królowej! Wpuść mnie łotrze, który się wazysz podnosić rękę na starą kobietę! Wpuść, bo mam dla niej bardzo ważne wieści!

Nie wiadomo jak by się owa szamotanina skończyła, szczęśliwym jednak dla żebraczki trafem, przechodziła tamtędy władczyni, która na odgłos awantury podeszła do bramy.

– Co tu się dzieje?! – zapytała gniewnie. – Czegoż to chcesz ode mnie kobiecino?!

– Chcę ci rzec, miłościwa pani, coś bardzo dla ciebie ważnego.

– Tedy mów!

– Wolę ci rzec owo, ale... na osobności.

Zdziwiona, lecz i zaintrygowana królowa, postąpiła kilka kroków na ubocze a za nią truchcikiem podążyła żebraczka. Gdy znalazły się już same, ta ostatnia wyszeptała:

– Królowo moja, ciesz się, ciesz! Wieść to radosna i miła twym uszom. Twoja pasierbica, królewna Joanna, żyje! He, he! I ma się nad wyraz dobrze!

– Och! Cóż ty mówisz?! Przecież sama kazałam ją... – tu ugryzła się w język
– ...ją, ją...

szukać! I nie natrafiono na inny ślad dziewczyny, prócz podartej chusteczki! Przecież ongiś pożarły ja wilki, jak mnie zapewniali ludzie znający się na rzeczy!

– Ja zaś mówię, iż ona żyje! – i opowiedziała królowej wszystko co widziała i powtórzyła wszystko co usłyszała.

– Ślub, rzeczesz, ślub za miesiąc.

– Przecie bardzo ci, miłościwa pani, zależy, aby twoja pasierbica była szczęśliwa w tym stadle? Poślij jej prezent. Prezent godny ciebie. Na przykład piękną suknię ślubną.

– O czym ty pleciesz?! Bodaj była szczezła! Przeklęta dziewczka, moje utrapienie!

– He, he! – zaśmiała się żebraczka. – A ja ci mówię, poślij jej ów prezent. Niech go uszyją najlepsi krawcy, z najcenniejszych tkanin. Ja go zaniosę. A po drodze... po drodze troszeczkę poprawię, coś dodam, coś dodam, he, he!

– Kimże ty jesteś? – spytała zaintrygowana królowa.

– Tym czym widzisz, pani. Ale... znam się też trochę na... czarach... jadach, truciznach...

przekleństwach...

* * *

Dwa tygodnie minęło od rozmowy żebraczki z królową. Teraz staruszka rażno postukując kosturem, maszerowała przez las, znaną już sobie dróżką prosto do domostwa zbójców i królewny.

Gdy dotarła na miejsce, słońce chyliło się ku zachodowi, ozłacając swymi promieniami wierzchołki drzew. Joanna siedziała na progu chaty, czekając na powrót drwali. Babuleńka wysunęła się spoza drzew i z daleka machając ręką do dziewczyny, zawołała:

– Hej, hej! Witajże mi, panno, witaj. Niosę coś dla ciebie! Coś, co cię pewnikiem ucieszy!

– A cóż to takiego? – zapytała zaciekawiona królowna.

Staruszka podeszła do niej, przysiadła obok na progu i otwarłszy niesione pod pachą zawiniątko, wyciągnęła zeń wspaniałą suknię ślubną.

– No i cóż? Czyż nie godny dar ci przyniosłam, dziewczyno?

– Godny! Pewnie, że godny! Ale skąd u was, babuleńko, pieniądze na rzecz tak cudną?

Przecie za tę suknię można by całą wieś kupić, a wy jesteście żebraczką?

– Ech, moje dziecko! Nie ma o czym mówić! Pokochałam cię szczerze całym sercem, więc nie zataję. Otóż przydarzyło mi się szczęście. Wielkie szczęście, bom znalazła na gościńcu sakiewkę skórzaną pękata i ciężką, całą wypchaną szczerozłotymi monetami. Myślałam i myślałam co też mogę z nimi uczynić, a w końcu wymyśliłam, iż najlepiej zrobię, sprawiając dla ciebie tę suknię.

– Sierotką jesteś – ciągnęła. – Nie masz nikogo na świecie, to pewnie taki prezent sprawi ci przyjemność. A ja, cóż? Staram, niedołączna, mój żywot dobiega już kresu, to i co mi po pieniądzach? Ale przymierz, przymierz suknię, niech

zobaczę czy ci w niej do twarzy!

– Ponoć nie powinno się mierzyć ślubnej sukni w innym dniu, niżeli dzień ślubu – odparła królowna.

– Et, głupie zabobony! A cóż to ma do rzeczy? A jakbyś zamówiła ją u krawca, to jakże by mógł uszyć bez mierzenia?

– Rzeczywiście, macie rację.

Już bez oporów zdjęła królowna z siebie wierzchni przyodziewek i założyła wspaniałą, szytą z białej materii, srebrną nicią przetykaną, suknię. Zdobiły ją precudne hafty, fantazyjne i delikatne mieniące się w promieniach zachodzącego słońca i aplikacje z mleczno białych, niebieskawych i różowawych pereł.

Wyładziła królowna materiał i chciała wejść do chaty, aby przejrzeć się w zwierciadle. I w tej samej chwili świat zawirował jej przed oczami, ciemność ją ogarnęła, w piersiach poczuła bolesny ucisk, płucom brakło powietrza i runęła bez czucia na ziemię.

Staruszka zaśmiała się chrapliwie i czym prędzej skryła się w gąszczu trzmieliny i szakłaku za chatą.

A była po temu najwyższa pora, bowiem herszt wraz ze swymi kompanami akurat wracali na wieczerzę. Skoro wódz rozbójników ujrzał leżącą na ziemi bez czucia dziewczynę, jęknął głucho i chociaż twardym był mężczyzną, zalał się łzami, biadając nad tak strasznym nieszczęściem.

Rychło jednak przemógł swoją słabość i nie tracąc czasu, udał się pędem do leśnej wróżki po poradę. Wysłuchała go ona i nie zadając żadnych pytań pospieszyła do dziewczyny.

Obejrzała ją ze wszystkich stron, dotknęła puls i skroni, uniosła do góry powiekę, a później rzekła:

– Weź dziewczynę na ręce, herszcie, i nieś ją tam, gdzie ci powiem.

Dość długo kluczyli pomiędzy drzewami, omijali zwalone, na wpół zbutwiałe

pnie i głębokie wykroty, przedzierali się przez gąszcz krzewów, później zaś dotarli do partii lasu zupełnie pozbawionego poszycia. W dali, za kolumnadą pni, prześwitywała wapienna skała o dziwnym, przypominającym jakieś fantastyczne zwierzę, kształcie.

Zmierzchało i dlatego herszt zwolnił kroku. Bał się, iż mógłby upaść nie dojrawszy przeszkody. Ale nie szedł już daleko, bo tylko do podnóża owej dziwnej skały.

Bulgotało tam źródło dające początek wąziutkiemu strumyczkowi, toczącemu krystaliczną wodę kędyś w dal.

– Odejdź teraz herszcie. Zostaw mnie samą z dziewczyną. Wrócisz gdy zawołam – rzekła wróżka.

A potem, rozdziała dziewczynę z przecudnej ślubnej sukni i zmoczywszy wiecheć zmiętych liści paproci wodą z owego źródła (a było to źródło czarodziejskie) obmyła dokładnie całe ciało Joanny. Królowna otworzyła oczy, a później usiadła pytając:

– Gdzież się znalazłam, pani? I kimże ty jesteś?

– Nie bój się moje dziecko, nie bój. Jestem przyjaciółką twego narzeczonego i oczywiście twoją. Ale powiedz mi skąd masz tę piękną suknię ślubną? Kto ci ją dał i kazał założyć?

Ścisnęła królowna dłońmi skronie, ale daremnie wyteżala swoją pamięć.

– Nie wiem, nie wiem. Chcę sobie przypomnieć i nie mogę. Siedziałam na progu chaty, słońce chyliło się za drzewa... i to wszystko co pamiętam. Obudziłam się tutaj.

Gdy nadszedł przywołany herszt, wróżka ozwała się doń w te słowa:

– Musisz wiedzieć, iż ktoś czyha na życie Joanny. Ktoś próbuje ją zgładzić. Spójrz na tę suknię. Dostała ją od kogoś – czego nie pamięta – i założyła. Owo właśnie stało się przyczyną nieszczęścia. Materia, z której szatę uszyto, cała jest

nasączona potężnymi jadami trujących roślin. Gdy zetknęły się z ciałem, starczyło kilka chwil, by dziewczyna straciła przytomność.

Strzeż jej bacznie. Nie puszczaj samej nawet na krok. Teraz pomogłam, bo wiedziałam jak pomóc, ale czy uda mi się innym razem? Któż to wie? Dlatego raz jeszcze powiadam: Strzeż jej bacznie, niczym źrenicy oka!

Podziękował herszt, podziękowała Joanna wróżce za ratunek i przenocowawszy pod gołym niebem, bo bali się wracać po ciemku, aby nie pobłądzić w leśnym gąszczu, raniem udali się do chaty na polanie.

Starucha, która przez całą noc – czekając na powrót herszta – przesiedziała w zaroślach za domostwem, widząc u jego boku królową, pojęła iż tak misternie uknuty plan zgładzenia dziewczyny, nie powiódł się. Zmęła przekleństwo w bezzębnych ustach i splunąwszy za siebie, ruszyła, podpierając się kosturem, do stolicy.

* * *

Miasto spało i spał dwór królewski. Czuwały tylko straże, nawołując się od czasu do czasu z cicha i bezustannie krążąc po murach. W sypialnej komnacie władczyni, przy niewielkim stoliczku, na środku którego stała zapalona jedna, jedyna świeca, siedziały pochylone, nieomal stykając się głowami, dwie kobiety – królowa i żebraczka.

– Tedy powiadasz, iż twój zamysł się nie powiódł?

– Niestety, miłościwa pani, Niestety! Udało się hersztowi życie przywrócić Joannie -

odparła żebraczka.

– Cóż zatem czynić? Co czynić? – zawołała półgłosem królowa.

– Nie trzeba wpadać w panikę, najjaśniejsza pani. Mam już nowy plan. Sądzę,

iż tym razem powinien się udać. Daj mi któreś z owych cacek, jakich masz pełną szkatułkę... O!...

może być ta bransoletka, a ja ją poniosę twojej pięknej pasierbicy w darze.

Starucha pochwyciła szponiastymi palcami cudowną, kutą ze szczerzego złota i sadzoną rubinami bransoletę, która leżała na samym wierzchu szkatuły z biżuterią.

A nie boisz się, iż dziewczka cię rozpozna? – zaniepokoiła się władczyni.

– E, tego najmniej. Śród jadów, którymi nasączyłam suknię był też taki, który odbiera pamięć.

– Jeśli powiodło się ożywienie dziewczyny, to być może również odzyskała pamięć?

– Co to, to nie! życie mogła odzyskać, to i owszem, ale nigdy pamięć!

* * *

Słońko zawędrowało już do pół nieba i zbliżało się południe. Cicho było i spokojnie. Od traw i ziół snuł się zapach lata, kolorowe motyle fruwały w powietrzu, dzwoniły koniki polne i buczały trzmiele.

Wielki, brzuchaty zbójca, którego herszt wyznaczył, aby tego dnia pilnował Joanny, leżał w cieniu rozłożystej lipy – rosnącej obok chaty – i spał. Potężne chrapanie rozlegało się wokoło, od czasu do czasu przerywane tylko głośnym sapaniem.

Joanna, która w pobliżu zbierała do brzozonej kobiałki słodkie i wonne owoce poziomek, z uśmiechem na ustach spoglądała na swego stróża. Miast on jej, ona pilnowała jego. Nie wątpiła, iż śpiącego nie obudziłby i wystrzał armatni, a o odgłosie kroków człowieka nie było co mówić.

Skończyła zbiór i przecinając polankę na ukos, zmierzała wprost do chaty, gdy

oto nagle jej uszu dobiegł głos:

– Zatrzymaj się moje dziecko, zatrzymaj!

Obejrzała się królowna i zobaczywszy starowinkę, która ile sił w słabych nogach podążała za nią, przystanęła.

Zasapana babuleńka rzekła:

– Daj mi, moje dziecko, garsteczkę poziomek. O, jakże słodko pachną, aż ślina napływa do ust.

– Macie, babciu!

Królowna szczodłą ręką nabrała owoców.

– Słyszałam, że wychodzisz za mąż, moje dziecko?

– Owszem, ale skąd o tym wiecie?

Joanna bacznie przyglądała się żebraczce.

– Chyba was już kiedyś widziałam – powiedziała po chwili.

– A owszem – przytaknęła zagadnięta. Parę niedziel temu gościłam w tej chacie. Wtedy to właśnie dowiedziałam się o ślubie. Dzisiaj zaś przyszedłam tu specjalnie, niosąc dla ciebie prezent.

– Wy babciu? Prezent dla mnie?

Żebraczka sięgnęła do torby, wydobywając z niej prześliczną złotą bransoletę, sadzoną rubinami.

– Skąd u was takie cudo?! – zakrzyknęła dziewczyna, nie mogąc oderwać oczu od klejnotu.

– To królewski prezent, a wy jesteście przecie żebraczką tylko?

– Ech, moje dziecko! Nie ma o czym mówić! Pokochałam cię szczerze i całym sercem wówczas, gdy tu gościłam. Powiem prawdę, niczego nie zataję. Otóż przydarzyło mi się szczęście. Wielkie szczęście, bom znalazła na gościńcu sakiewkę pełną złotych monet.

Myślałam i myślałam, co też mogę z nimi uczynić, aż w końcu wymyśliłam, iż

najlepiej zrobię, kupując dla ciebie tę bransoletkę.

– Sierotką jesteś – ciągnęła. – Nie masz nikogo na świecie, to pewnie taki prezent sprawi ci przyjemność. A ja cóż? Staram, niedołączna, mój żywot dobiega już kresu, to i co mi po pieniądzach? Ale załóż na rękę owo cacko, niech zobaczę czy ci w nim ładnie!

Spełniła Joanna prośbę żebraczki, założyła bransoletkę na rękę i w tej samej chwili świat zawirował jej przed oczami, poczuła ból w piersiach, później ogarnęła ją ciemność i osunęła się martwa na ziemię.

Babka zachichotała nieprzyjemnie i tak jak poprzednim razem ukryła się w zaroślach, aby zobaczyć co będzie dalej.

A była najwyższa pora po temu, bowiem spomiędzy drzew wychodził już herszt, a za nim reszta zbójców.

Skoro spostrzegł leżącą bez ruchu na ziemi swoją narzeczoną począł lamentować i rwać włosy z głowy. Schwycił dziewczynę na ręce i czym prędzej udał się do leśnej wróżki po ratunek.

Wróżka obejrzała ciało dokładnie, zupełnie tak jak poprzednim razem, a później zapytała:

– Czy nie widzisz, herszcie, na ciele Joanny czegoś, co nie należy do niej?

Patrzył bacznie herszt i patrzył, aż w końcu wykrzyknął:

– No przecie! Owa bransoletka, którą ma na ręce!

Zdjęła tedy wróżka klejnot, przetarła rękę dziewczyny cudownym balsamem, który sporządziła z tysiąca i sześciu ziół, a potem wszystko potoczyło się jak kiedyś.

Odzyskała Joanna przytomność, wszakże nie odzyskała pamięci. Próżno wypytywano ją próbując dowiedzieć się kto jej podarował szczerozłotą bransoletkę.

– Zbierałam poziomki na polanie przed domem. A potem... potem... Nie wiem...

Ogarnęła mnie ciemność... Naprawdę nie wiem!

– Wystrzegaj się obcych – mówił herszt do królowy, gdy po cudownym powrocie do życia, wędrowali do zbójckiej sadyby. – Ktoś chce za wszelką cenę cię zgładzić.

– Och, wiem o tym. Tylko jedna osoba na świecie dybie na mnie. To królowa, a od niej nie przyjąłabym przecie niczego. O to możesz być spokojny.

Żebraczka siedząca w zaroślach już z daleka wypatrywała idących. Zakląła szpetnie, po trzykroć splunęła, wściekła iż po raz drugi nie powiodło się jej uśmiercenie dziewczyny.

Cichaczem i chyłkiem, bojąc się zostać zauważona, oddaliła się od polany i dotarła do bitego traktu, podążając do stolicy.

* * *

– Jeszcze tylko kilka dni najjaśniejsza pani, pozostało do ślubu twojej pasierbicy z hersztem rozbójników.

– Co zrobić? Och, co zrobić? Zapewniałaś mnie, że sobie poradzisz z ową wstrętną dziewczką, a tymczasem?! – rozzłościła się królowa.

– Spróbuję po raz trzeci. A jak powiadają, do trzech razy sztuka. Teraz mam plan idealny, który bez ochyby się powiedzie!

– Dwa razy już to słyszałam i nic – skrzywiła się królowa. – Naraziłaś mnie tylko na poważne wydatki, a efektu brak.

– A co, a moje nogi się nie liczą? Po dwakroć szłam taki kawał drogi. A sporządzić truciznę? Jak ci się królowo zdaje, to nie wysiłek? Jestem tak samo wściekła, a może i bardziej. Zaryzykujemy jeszcze raz!

– Czego ci trzeba?

– Muszę mieć mały, całkiem prosty złoty pierścionek z pojedynczym

diamencikiem. Nic więcej. Jak widzisz, pani, wydatek niewielki.

Długo przebierała wiedźma w stosie biżuterii należącej do królowej, zanim natrafiła na potrzebny przedmiot.

– Kto by pomyślał? Identyczny jak tamten – mruknęła pod nosem.

– Co powiadasz? – zagadnęła władczyni.

– Nic, nic. Nic takiego. Powiadam, iż znalazłam to, czego szukałam.

– Rzeknij mi, najjaśniejsza pani, co będzie z zapłatą, gdy wreszcie wypełnię swoje zadanie? – zapytała po chwili.

– Dostaniesz swoje dukaty. Tak jak przyobiecałam – odparła królowa. – Spójrz, oto one.

Starucha z pożądlivością zajrzała do otwartej skrytki, w której spoczywał spory kopczyk żółtawych krążków, brzęczących miło, gdy się go przebierało palcami.

* * *

Wczesnym rankiem tego dnia, w którym miał się odbyć ślub herszta i Joanny, królowna wyszła na polanę, zbierać nieco kwiatów, by nimi przystroić stół biesiadny.

Nie uszła daleko, gdy naraz spostrzegła wysuwającą się spomiędzy drzew starowinkę, która bacznie wypatrywała czegoś na ziemi.

– Czegoż babciu szukacie o tak wczesnej porze? – zapytała dziewczyna.

– Ach, moje dziecko! Nieszczęście, nieszczęście na mnie spadło – zawołała żebraczka.

– A jakież? Może mogłabym ci pomóc?

– Kto wie, kto wie?... Onegdaj pewna można pani, nie mając przy sobie sakiewki z pieniędzmi, ofiarowała mi jako jałmużnę malutki złoty pierścionek z brylancikiem.

Ucieszyłam się. Toż to był dla mnie istny skarb. Po sprzedaniu go, dostałabym tyle grosiwa, że miałabym już do śmierci zapewniony byt.

– Ale cóż? – ciągnęła dalej. – Wczoraj wieczorem przechodziłam w pobliżu tego miejsca i gdzieś na polanie mój skarb, mój pierścionek zgubiłam. Teraz go szukam, ale czy odnajdę?

Pewnikiem nie.

W oczach staruchy zaszklily się łzy. Szybko je otarła rękawem kapoty i bacznie przypatrując się ręce królowny rzekła:

– O! Ty dziecko masz na palcu pierścionek identyczny jak mój! A może go znalazłaś w trawie, może to mój właśnie? Pokaż go mi, pokaż, niech obejrzę!

Królowna nieśmiało próbowała przeczyć posądzeniu, iż posiada własność staruszki.

Widząc jednak wyciągnięte ku sobie w zachłannym geście pożądania trzęsące się, szponiaste palce, wzruszyła ramionami, zsunęła pierścionek z palca i podała go ze słowami:

– Możecie, kobiecino go obejrzyć, ale zapewniam was, iż to mój, a nie wasz.

Starucha łapczywie schwyciła złociste kółeczko, odwróciła się tyłem do dziewczyny, aby rzekomo móc lepiej obejrzyć go w świetle wstającego słońca. Jednocześnie niepostrzeżenie sięgnęła ręką do kieszeni i wyjęła stamtąd pierścionek, który miała od królowej. Zmianienie go z należącym do Joanny nie stanowiło najmniejszego nawet problemu.

– Niestety, miałaś rację – powiedziała płaczącym głosem żebraczka, przybierając bolesny wyraz twarzy. – To nie mój pierścionek.

Królowna odebrała go z rąk staruchy i machinalnie nasunęła na palec. Lecz w chwili, gdy to uczyniła, świat zawirował jej przed oczami, ciemność zmroczyła źrenice, w piersiach poczuła bolesny ucisk, płucom brakło tchu i runęła bez czucia na ziemię.

Starucha ujrzawszy to, zaśmiała się chrapliwie i jak to miała we zwyczaju, skryła się w gąszczu za chatą aby zobaczyć, co będzie dalej.

Tym razem mogła wreszcie triumfować. Próżno sprowadzono czym prędzej wróżkę, a ta próżno usiłowała cucić dziewczynę. O pierścionku nikt nie pomyślał. Zresztą, nie było żadnych podstaw by przypuszczać, iż to on właśnie stał się przyczyną tragedii. Wyglądał identycznie, jak ów, który Joanna zawsze nosiła na palcu.

Pokiwała tedy leśna wróżka głową, uściśnęła ręce herszta i rzekła:

– Cóż, nie strzegłeś jej, jak cię prosiłam i oto stało się najgorsze. Przykro mi, uwierz, że bardzo przykro, lecz pomóc nie potrafię.

Płakał herszt, płakała reszta zbójców, bo przez wszystkie te dni, gdy mieszkali pospołu, cała banda gorąco pokochała królową. Skoro wylali wszystkie łyzy, sprawili Joannie wspaniały pochówek.

Kupili przepiękną kryształową trumnę, rżniętą cudnie w kwiaty i liście, ułożyli w niej ciało dziewczyny. Ustawili trumnę w pokoju, którego ściany obite były czarną materią, zapalili setki świec i przez całą noc czuwali.

Skoro świt rozjaśnił niebo na wschodzie czuwanie dobiegło kresu, zbóje, jeden po drugim, jęli wychodzić z pokoju. Tylko herszt się nie poruszył.

Zbliżyło się doń kilku zdziwionych kamratów i nuże potrząsać go za ramię. Ale ów ani drgnął, bowiem był już martwy. To rozpacz i ból po stracie ukochanej sprawiły, iż serce mu pękło.

Naradzili się zbójcy między sobą, co im teraz czynić wypada, aż w końcu orzekli, iż banda bez wodza, to żadna banda. Rozeszli się zatem każdy w swoją stronę, rozproszyli się po całym kraju, a o domu w lesie, który przez wiele lat był ich schowem, całkiem zapomnieli.

Stara żebraczka, niezmiernie uradowana, iż na koniec powiodło się jej i otruła królową, wróciła do stolicy po przyobiecanej nagrodę.

Przeliczyła się jednak, bowiem królowa upewniwszy się, iż tym razem jej pasierbica naprawdę nie żyje, ani myślała wyzbywać się całkiem sporej kupki złota.

Przykazała strażnikom, aby żebraczkę przepędzili precz, a na drogę poczęstowali kijami.

Zbita, obolała, a na dodatek wściekła powlokła się baba przed siebie, gdzie oczy poniosą. Nie uszła wszelako daleko. Straciwszy nadzieję, iż ostatnie dni żywota przepędzi w dobrobycie, rozchorowała się ze zgryzoty i nie minął nawet tydzień, gdy wyzionęła ducha.

Triumf królowej był pełny. Za jednym zamachem pozbyła się tej, która mogła odebrać jej tron oraz niewygodnego światka.

Nareszcie po wielu, wielu latach, spała spokojnie w ogromnym łożu pod baldachimem, na pościeli z łabędziego puchu.

* * *

Mijały lata. Słońce wielokroć wstawało i zachodziło. Wielokroć puszysty śnieg pokrywał białym całunem świat cały. Wielokroć wiosną budziło się nowe życie. Wielokroć zboża dojrzewały. Wielokroć jesień barwiła owoce w sadach...

Pewnego jesiennego popołudnia, gdy lasy przystroiły się w cudne szaty o kolorach złota, czerwieni i brązu, a łagodny wietrzyk niósł białe pasma babiego lata, pewien król, władca ościennego państwa, wybrał się z wizytą do naszej złej królowej.

Podróżował konno, w otoczeniu kilku zaledwie rycerzy i sług i nie śpieszył się zbyt.

Lubił uganiać się za jeleniem czy sarną, jeśli wychyliły się z leśnego gąszczu, rosnącego zwartą ścianą wzdłuż drogi, którą akurat podążał.

Gdy był już niezbyt daleko od stolicy, zobaczył rudą lisią kite, migającą między smukłymi pniami sosen, popędził za zwierzakiem.

Lisowi udało się – szczęściem dla niego – umknąć, a król dość nieoczekiwanie, wraz z towarzyszami, znalazł się w sercu puszczy.

Rozglądał się po rozległej polanie, na skraju której widać było stareńką, mchem porośłą i w pół rozwaloną chatę. Zaciekawiony, do kogoż owo domostwo położone przecież dość daleko od uczęszczanych traktów, może należeć, polecił jednemu ze sług, aby zajrzał do środka.

Pachołek posłuszny rozkazowi, zeskoczył z końskiego grzbietu i brodząc po kolana w wysokich trawach, podążył ku chacie. Rychło też zniknął w jej wnętrzu.

Znalazłszy się tam, z zaciekawieniem patrzył dokoła. Rzucił mu się w oczy obraz kompletnej ruiny, niemniej, wiele wskazywało na to, iż przed laty owa niepozorna z wierzchu chałupa, była świetną rezydencją jakiegoś bogacza.

Wpół podarte, zblakłe i wyjedzone przez mole obicia z cennych tkanin okrywały ściany, a na posadzkach leżały dywany znajdujące się w takim samym stanie.

Gdy trafił do ostatniej komnaty, widok, jaki tam ujrzał, wprost go oszołomił. Oto bowiem na jej środku stała, cudownie rżnięta w roślinne ornamenty, kryształowa trumna, a w niej, obsypana klejnotami, spoczywała dziewczyna o wspaniałej urodzie.

Szeroko otwartymi oczyma chłonał sługa ów widok, a później rzucił się ku trumnie i wyjmując z niej cenne przedmioty ze złota i srebra, napchał nimi kieszenie. W szale chciwości nie ominął nawet samego nawet ciała dziewczęcia, zdzierając z niej biżuterię.

Wreszcie ściągnął leżącej z serdecznego palca niepozorny pierścionek z brylancikiem i machinalnie, całkiem bez zastanowienia, nasunął go na swój najmniejszy palec u lewej ręki.

I w tejże samej chwili, w której owo uczynił, pociemniało mu w oczach, poczuł ból w sercu i brak tchu w piersi, ogarnęła go ciemność i cisza, a potem runął martwy na podłogę.

W momencie, w którym sługa króla upadał, Joanna westchnęła cicho, otworzyła oczy, a potem usiadła. Rozejrzała się bacznie dookoła nie mogąc pojąć, co stało się z domostwem zbójców, czemu znajduje się ono w ruinie, a ona sama jest w trumnie.

Nie dane jej wszakże było pozbierać myśli, bowiem król zaniepokojony długą nieobecnością pacholka, lękając się, iż mogło mu się przytrafić coś złego, sam w otoczeniu rycerzy, udał się do chaty.

– Kim jesteś piękna?! – zawołał na widok dziewczyny. – Kim jesteś i skąd się tutaj wzięłaś?!

– Najpierw ty, panie, powiedz mi kim jesteś? – odpowiedziała pytaniem na pytanie Joanna.

– Nie wyglądasz na prostego rycerza.

Władca skłonił się dwornie:

– Jestem królem ościennego państwa.

– Ach tak! – zawołała dziewczyna. – Więc wysłuchaj mojej smutnej historii...

Gdy skończyła opowiadać królowi swe dzieje, ów nie ozwał się nic, tylko zgrzytnął zębami i wydał rycerzom krótki rozkaz:

– Na koń!

Joanna siedząc na grzbiecie rumaka należącego do chciwego sługi, który pozostał martwy (i jakże bogaty!) w leśnej chacie, towarzyszyła jeźdźcom. Rychło przybyli do stolicy.

A potem? Potem rycerze i lud dowiedziawszy się, iż prawa dziedziczka tronu żyje, pozbawili władzy złą królową – uzurpatorkę i wtrącili ją do lochu.

Władca ościennego państwa, który urzeczony urodą Joanny poślubił ją

w stołecznej katedrze, chciał uzurpatorkę ukarać śmiercią za wszelkie przewinienia i popełnione przez nią zbrodnie, tak jak tego wymagało prawo. Lecz jego świeżo poślubiona małżonka wstawiła się za nią:

– Darujmy jej życie. Nie zaczynamy naszych rządów od przelewu krwi. Niech zabiorą jej wszystko, zostawią tylko przyodziewek, dadzą kostur do ręki a torbę żebraczą na ramię i niech idzie precz poza granice naszych krajów. Jest już stara, włosy jej pobielają, a usta ma bezzębne. Nie kalajmy rąk krwią okrutnicy. I tak prędko przyjdzie po nią śmierć – kostucha.

– Ale prawo wymaga by ją ściąć, Joanno – oponował król.

– A czyż monarcha nie posiada prawa łaski? – odparła Joanna.

– Skoro taka jest twoja wola, cóż, niech żyje.

Król uśmiechnął się do swej pięknej żony, przygarnął ją do piersi i czule ucałował.

O parze staruszków i ich przybranym synu

Przed wielu, wielu laty, w stronach gdzie więcej jest lasów niż pól uprawnych, w maleńkiej wiosce liczącej zaledwie kilkanaście chałup, mieszkała para staruszków.

Ubodzy byli, słabi i zatroskani o swój przyszły los. A mieli się czego lękać, bowiem Pan Bóg nie obdarował ich dziećmi, zatem nie mogli liczyć na jakąś podporę, gdy ręce ich zesłabną do tego stopnia, iż nie będą już w stanie wykonywać żadnej pracy.

Staruszkowie pola posiadali niewiele, ot, tyle zaledwie, że z trudem mogło ich ono wykarmić. Ponieważ jednak mieszkali nieopodal rozległego dębowego lasu, zajmowali się hodowlą świń.

Latem karmili je drobno usiekanymi pokrzywami i zielskiem, tudzież resztkami z obiadu, zaś gdy nastawała jesień, tuczylili żołądziami, za którymi – co przecież nie jest żadną tajemnicą – świnie wprost przepadają.

Bartłomiej i Marianna, bo takie imiona nosili bohaterowie naszej opowiadki, sterani życiem i ciężką pracą, której nigdy los im nie oszczędzał, modlili się często, iżby żyli dopotąd, dopokąd sił im wystarczy i zdrowia. Lękali się nędzy i poniewierki, nie chcieli też być dla nikogo ciężarem.

Marianna, nauczona tego jeszcze przez swoją babkę, znała się niezłe na ziołach leczniczych, toteż zawsze na stryszku miała ich spory zapas, gdzie powiązane w pęczki zwieszały się suche i wonne, przymocowane do krokwi.

Znając zioła, umiała sobie poradzić z niejedną chorobą, z niejedną słabością, toteż ludziska cenili ją za to i nie raz przychodzili po radę i pomoc.

* * *

Któregoś dnia, a był to piękny słoneczny czerwcowy dzionek, Marianna wybrała się na skraj lasu, by zbierać dziurawca, zwanego także świętojańskim zieleń, była bowiem pora kwitnienia owej rośliny.

Chodząc od kępki, do kępki, zrywała ukwiecone wierzchołki pędów, aż nazbierała ich pełną zapaskę.

Już miała wracać do domu, gdzie czekało ją gotowanie obiadu i inne jeszcze prace, których nie będę tu wymieniał, aby cię nadto nie znudzić, drogi Czytelniku, gdy naraz z pobliskiego gąszczu tarniny do jej uszu dobiegł słaby, lecz wyraźny ludzki głos:

– Weź mnie ze sobą, będę twoim dzieckiem!

Rozejrzała się Marianna dookoła, rozgarnęła gałęzie krzaków, ale nikogo nie zobaczyła.

„– Et, przywidziało mi się!” – pomyślała i zabrała się do odejścia, gdy powtórnie usłyszała te same słowa:

– Weź mnie ze sobą, będę twoim dzieckiem!

Tym razem nie dała za wygraną i dotąd szukała, aż znalazła jedną, jedyną żywą istotę, skrytą w gęstej murawie, która cienkim piskliwym głosikiem zagadywała do babiny:

– Weź mnie ze sobą, będę twoim dzieckiem!

Skoro zobaczyła, kto wypowiada owe słowa, stanęła jak wryta, jednocześnie przecierając oczy ze zdumienia, bowiem nie był to bynajmniej człowiek, lecz... jeź.

Tak, tak, właśnie jeź, którego grzbiet pokrywały gęsto ostre, sterczące kolce.

Wyglądał biednie: na samotnego i opuszczonego, na istotę, która tęskni za ciepłem i uczuciem drugiej żywej istoty. Cóż zatem mogła uczynić? Wzięła go na rękę, ostrożnie umieściła w kieszeni fartucha, zapaskę z nazbieranymi ziołami zarzuciła na plecy i ruszyła do domu.

* * *

Płynęły dni i tygodnie. Marianna i Bartłomiej rzeczywiście traktowali jeża jak własnego syna, tak że nie zbywało mu na niczym. Podsuwali mu najsmaczniejsze kąski, a sypiał w puchowej pościeli. Słowem, wiodło mu się lepiej, niż mógł to sobie kiedykolwiek wymarzyć.

Ale gwoli sprawiedliwości dodać trzeba, że zwierzak nie był ani leniem, ani niewdzięcznikiem. W zamian za troskę i opiekę, jaką otoczyła go para staruszków, odwzajemniał się im jak mógł i jak umiał. Przeważnie pilnując świń, które w lesie karmiły się opadłymi z dębów żołądziami.

I tak minęła jesień i przeszła zima. Wiosna roztopiła śniegi i wywabiła z ziemi młodziutkie źdźbła traw i pierwsze kwiaty. Strumyki wezbrane od topniejącego śniegu przemieniły się w rwące potoki, a chłopci czekali cierpliwie, aż ziemia dostatecznie obeschnie, aby mogli ją zaorać i obsiać ziarnem, które daje smakowity, sycący i wonny chleb.

Jeż tego ranka dreptał sobie wążiuchną ścieżynką wijącą się przez sam środek lasu, a wiodącą od wsi, ku przesiece, a stamtąd dalej, aż ku gościńcowi, który prosto, jak strzełił, prowadził do stolicy.

Naraz zaniepokojony przystanął, ponieważ skądś z pobliza, z najgęstszych chaszczy, dobiegł go trzask łamanych gałęzi i tępy stukot końskich kopyt.

Jeż skrył się za omszonym ściętym pniem i zaczął wypatrywać, któż to taki wyłoni się z krzaków.

Nie czekał długo, a to co zobaczył, zaparło mu nieomal dech w piersiach. Na ścieżynę bowiem wyjechał na karym ogierze – ni mniej, ni więcej, tylko sam król.

Widać było po jego wymizerowanym obliczu, że jest zmęczony i głodny. Potargane odzienie zaś wskazywało na to, iż przebył ciężką drogę.

Król bezradnie rozglądał się dookoła, nie bardzo wiedząc co ma począć i w którą udać się stronę.

Jeż wyłoniwszy się z za pniaka, podreptał w stronę władcy, a zatrzymawszy się tuż przed kopytami jego rumaka, ozwał się w te oto słowa:

– Poblądziłeś, najjaśniejszy panie?!

– Czyżby ze zmęczenia w głowie mi się poplątało? Gadający jeż? – mruknął król dość głośno.

– Ależ nie! Jestem realną rzeczywistością, a z twoją, panie, nierzeczywistością. Wszystko jest w jak najlepszym porządku.

– Zatem, czego chcesz ode mnie? – zapytał jeździec.

– Przede wszystkim chcę ci pomóc. Nakarmić, napoić i wyprowadzić na właściwą drogę.

– O, toś mi spadł z nieba, mój ty kochany! Jeżeli rzeczywiście spełnisz wszystko owo coś mi tu przed chwilą obiecał, ja ze swej strony dam ci w zamian czego tylko zapragniesz, pod warunkiem oczywiście, iż nie przekroczy to moich możliwości i będę w stanie wywiązać się z podjętego zobowiązania. Nie żądaj przeto gwiazdki z nieba, ani czarodziejskiego kamienia, który wszystko przemienia w złoto, bo ci ich dać nie będę w stanie. Proś wyłącznie o to, co mam i czym mogę wedle swej woli dysponować bez przeszkód.

– Ależ oczywiście! To się rozumie samo przez się! – zawołał jeż. – Jestem stworzeniem rozsądnym i praktycznym, dlatego poproszę cię o jedno tylko i to o coś, czym, jak się wyraziłeś, możesz dysponować wedle swej woli, bez przeszkód.

– Ha, jeśli tak, to zgoda! A więc o co prosisz?

– O rękę jednej z twoich córek i wcale nie musi to być najstarsza, bo bynajmniej nie pragnę dziedziczyć po tobie korony.

– Co?! Co?! Moja córka żoną jeża?! – król aż się zatrzęsł z oburzenia. – Nigdy!

Przenigdy!

– Jak chcesz, najjaśniejszy panie. Zatem żegnam i ruszam w swoją stronę.

– A co ze mną?! – król przestraszył się nie na żarty. – Przecież już pięć dni i nocy błąkam się po kniei i zdążyłem nabrać pewności, że sam, bez pomocy, nigdy się z niej nie wydostanę.

– Znasz warunki! – jeż był nieustępliwy. – W zamian za pomoc dasz mi jedną z córek za żonę.

Zapadło długie milczenie. Król szarpał brodę i gryzł palce.

To zdejmował czapkę, to nakładał ją na nowo. Jeż natomiast przysiadł na miękkiej kępie mchu i cierpliwie czekał, co też władca postanowi.

A ten mocował się sam ze sobą, choć wiedział, że wcześniej czy później i tak musi podjąć jakąś decyzję.

Wreszcie przemówił:

– Zgoda. Bez twojej pomocy zginę. Ale zdajesz sobie sprawę z tego, jakież to wstyd mieć jeża za zięcia?

– Ależ oczywiście – jeż poważnie skinął głową. – Lecz przecież ja nie domagam się by po ślubie mieszkać w pałacu! Ba! Ja nawet nie chcę wiana twej córki. W zupełności wystarczy mi sam fakt, iż ją poślubię.

– No to wybacz, zwierzaku, ale cię nie rozumiem. Zatem nie polujesz na moje skarby i dostatki? – zdziwił się monarcha.

– Nie. Przyjdzie czas, że być może, wszystko pojmiesz.

* * *

Rankiem następnego dnia, król odświeżony, umyty, a przede wszystkim posilony solidnym śniadaniem, które składało się z kopiałej michy jajeczniczy na słoninie, świeżutkiego żytniego chleba i dwóch kubków gorącego mleka,

prowadzony przez jeża dotarł do stołecznego gościńca.

– A zatem szykuj weselisko, najjaśniejszy panie! Za miesiąc zjawię się na dworze! -

zawołał jeż na odchodne.

Król skrzywił się, jakby się octu napił i nic nie odpowiedział. Teraz doznawał wyrzutów sumienia, że być może nazbyt pochopnie dał zwierzakowi swoje królewskie słowo.

* * *

Stoły ugiwały się pod mnogością jadła i napitków. Muzyka płynęła skądś z sali balowej.

Cały dwór z niecierpliwością oczekiwał owej niecodziennej uroczystości. Panna młoda, najmłodsza z królewien, długonoga, o pięknych oczach, ustach i podbródku, Karolina, świadomie i dobrowolnie zdecydowała się poślubić jeża. Kochała bowiem bardzo swojego ojca i gdy starsze siostry, jedna po drugiej, zdecydowanie odmówiły, ona postanowiła się poświęcić, ratując honor monarszy, nie dopuszczając do złamania danego przez władcę słowa.

Dworzanie, przyodziani w pyszne, skrzące się od klejnotów stroje, stali grupkami, półgłosem komentując mające nastąpić wydarzenie, dlatego też na sali panował rozgwar.

Naraz... wszyscy ucichli.

Oto, poprzedzany przez marszałka dworu, drepcząc na swych krótkich łapkach, przez środek sali, kierując się w stronę pałacowej kaplicy, podążał jeż.

Na ołtarzu płonęły żółte woskowe świece, dymy wonnych kadzideł przesycaly powietrze, przez kolorowe szybki witraży wpadały słoneczne smugi, kładąc się na marmurowej posadzce barwnymi plamami. Dostojnie było i uroczyście.

Biskup, odziany w pontyfikalne szaty, oczekiwał aż państwo młodzi zbliżą się do niego, aby mógł udzielić im ślubu.

Ceremonia się rozpoczęła. Słowa małżeńskiej przysięgi najpierw wypowiedział jeź. Słowa małżeńskiej przysięgi wypowiedziała królowa. I naraz... Wszyscy świadkowie ze zdumienia przetarli oczy. Oto bowiem u boku Karoliny ujrzeli zamiast małego i pokracznego stworzonka, pięknego, postawnego młodzieńca, odzianego w królewskie szaty, ze złotą koroną na głowie.

Cudny pan młody wpierw czule ucałował swoją, dopiero co poślubioną, żonę, a potem odwróciwszy się do zebranych, ozwał się w te słowa:

– Przez wiele, wiele lat czekałem na tę chwilę, która teraz nadeszła. Przed wielu, wielu laty zła wiedźma, której nie zechciałem pojąć za małżonkę rzuciła na mnie czar, przemieniając w jeża. Przekleństwo zaś mogła ze mnie zdjąć tylko, przywracając prawdziwą ludzką posturę, ta dziewczyna, która bezinteresownie z dobrego serca zgodziłaby się zostać moją żoną.

Zamilkł na chwilę, a potem dodał:

– I stało się... Uratowała mnie twoja dobroć i twoja szlachetność, Karolino.

* * *

A co było potem? Potem młodzieniec wraz ze swoją panią, zabrawszy też staruszków, którzy go ongiś przygarnęli i pielęgowali, udał się do kraju, którego był władcą.

A tam wszyscy żyli długo i szczęśliwie, aż do czasu, gdy przychodzi ta, która uwalnia od wszelkich trosk i prowadzi do nowego, lepszego świata, kędy szczęście i radość są udziałem wszystkich, których życie było dobre i prawe.

O dziewczynie, która pokochała Księżyc

Dawno, dawno temu, tak dawno, że owych czasów nie pamiętają nawet wasi pradziadkowie, w niewielkiej wsi, której maleńkie, trochę koślawe chatynki wybielone wapnem, pięknie wyglądały na tle rozciągającego się z tyłu za nimi sosnowego boru, mieszkał pewien niemłody już wdowiec wraz z dorastającą córką.

Matka dziewczyny zmarła, gdy dziecko miało zaledwie kilka lat, ale ojciec, którego serce było dobre i wielkie, sam jeden, w miarę sił i możliwości starał się Kasi, bo tak było jej na imię, zastąpić obydwójce rodziców.

Niełatwa to rzecz, oj! niełatwa. Przecież robił co mógł, aby jego skarb, jego ukochanie, było na tyle szczęśliwe, na ile można być szczęśliwym w doczesności, w naszym pięknym, choć częstokroć okrutnym świecie, rozciągającym się poniżej niebieskiej powały.

Jak łatwo się można domyślać, Kasia odpłacała ojcu takim samym żywym i gorącym uczuciem, wiedziała bowiem, iż był najlepszym z ojców, takim, któryby dla niej nie poskąpił nawet krwi serdecznej, gdyby tylko jej potrzebowała.

Choć Wojciechowi i Kasi smutno było i pusto żyć bez żony i matki, to przecież nieźle dawali sobie radę.

Chata zawsze była wymieciona do czysta, o dokładnie wybielonych ścianach i nigdy nie zakurzonych sprzętach. Na niczym im też nie zbywało.

Pola mieli dużo i to o samej czarnej, urodzajnej glebie, która nigdy nie skąpiła im plonów, a im więcej na niej pracowali, tym więcej pożytku im przysparzała.

Dlatego też w chlewach i oborach stały tłuste, zadbane zwierzęta, a piwnica i spiżarnia zawsze były pełne.

Kasia nie wiedziała, co to głód, ani co to chłód, a miłości rodzicielskiej nie była spragniona, miała jej bowiem – rzecz można – w obfitości. Nie użyję tu słowa „w

nadmiarze”, bo przecież dobra i szczęścia nigdy za wiele i choćbyśmy nie wiem jak czuli się nimi przepelnieni, to nasze serca zawsze mogą pomieścić ich więcej i więcej.

W tym miejscu – drogi Czytelniku – muszę ci powiedzieć coś jeszcze: Otóż Kasia była najpiękniejszą dziewczyną we wsi.

Włosy miała złociste i tak długie, że sięgały jej kolan. Oczy błękitne niczym niezapominajki rosnące na brzegu potoku leniwie wijącego się meandrami przez płaszczyzną łąk szeroko rozciągających się poza wsią. Kasia miała pąsowe usta, zgrabny nosek, wesoły dołeczek w brodzie i leciutko zarumienione policzki, co dopełniało jej urody.

Nie dziwny się przeto, że gdy podrosła i z podlotka przeistoczyła się w pannę, prawie każdy chłopak we wsi oglądał się za nią i aż cmokał z zachwytu, marząc w skrytości ducha o tym, iż to cudo zostanie kiedyś jego żoną.

Ale Kasia, mimo że nie brakowało jej zalotników, a na wiejskich zabawach była najczęściej obtańcowywaną panną, jakoś żadnym z chłopaków poważniej się nie interesowała.

Lubiła jednego, czy drugiego więcej niż pozostałych, lecz wyłącznie jako kolegów.

Tymczasem czas płynął, przemijały lata. Kasia z pięknego pączka przeistoczyła się w cudownie rozwinięty kwiat. Ojciec zaś przeciwnie – posiwiiał, twarz porały mu zmarszczki, skóra na dłoniach stała się twarda i gruba, a palce powykrywał reumatyzm, plecy wreszcie mocno przygięły ku ziemi.

Któregoś wiosennego wieczora, gdy skończyli pracę w gospodarstwie i posilili się wieczerzą, a potem usiadłszy sobie wygodnie na ławie ustawionej wpodłe ściany, pozwolili ciałom odpoczywać po całodziennym trudzie, ojciec ozwał się do Kasi tymi słowami:

– Córeczko moja kochana. Z dnia na dzień coraz bardziej się starzeję. Z dnia na

dzień sił mi ubywa. I musisz się spodziewać, iż rychło nadejdzie dzień, kiedy stanę się całkiem niedołężny. Zostaniesz sama, ze zgrzybiałym starcem, który będzie dla ciebie miast podpora, tylko ciężarem. A nie daj Boże ciężarem nie do udźwignięcia.

– Nie mów tego, ojcze! – zaprotestowała Kasia. – Nie chcę słuchać takiej mowy!

– Tak, tak! Wiem, że nie jest ona miła, ale przecież prawdziwa. I czy moich słów zechcesz słuchać, czy też nie zechcesz, nie zmieni owo faktu, iż czas mego życia się kurczy, że powoli dobiegam do mety, którą mi niegdyś, przed laty, wytyczył los.

– Nie lękaj się ojcze. Jeśli będzie takowa potrzeba, zaopiekuję się tobą nie mniej troskliwie, niż ty opiekowałeś się mną, gdy byłam dzieckiem.

– Ależ Kasiu! Ja nie o siebie się lękam. Znam cię, wiem że jesteś dobrą córką i nie porzucisz mnie, gdy już nie będę mógł pracować.

– Zatem nie rozumiem twoich obaw?

– O ciebie się boję, i o ciebie troszczę! Jakże sobie poradzisz z takim ogromem pracy w polu, w obojętności, kiedy moich rąk zabraknie? Proszę cię córeczko, nie zwlekaj już dłużej.

Tylu kawalerów chciałoby pojąć cię za żonę. Możesz w nich przebierać niczym w ulęgałkach.

Wybierz zatem jednego, takiego który zda ci się najmiłszy i najzdatniejszy. Weźcie ślub i przejmijcie po mnie gospodarzę.

Kasia milczała długo, nie odpowiadając ojcu ni słowem. Twarz miała poważną i zamyśloną, tak iż każdy by odgadł, że wzięła sobie do serca to, co usłyszała.

Gdy zmierzch zapadł, a mrok rozsnął się po nieboskłonie, na którym rozbłysły roje gwiazd i zajaśniało wielkie srebrzyste oblicze Księżycy, Kasia bez słowa wyszła z domu.

Wędrowała powoli ścieżką wśród łąk. Trawa i zioła pachniały rosą, od ziemi ciągnął chłód, a z błot i rozlewisk dolatywał żabi rechot. Tuż nad jej głową przeleciał nietoperz.

Cicho było i tak jakoś uroczyście.

Kasia – nie wiedzieć kiedy – znalazła się na brzegu niewielkiego stawu i przysiadła nieopodal wody, nieomal na wyciągnięcie ręki od jej połyskliwej tafli, na starym wypróchniałym pniu, zwalonym przez jakowąś burzę.

Zapatrzyła się w gładź wody, jednocześnie rozmyślając nad tym, co usłyszała z ust ojca, zastanawiając się kogo mogłaby wybrać na męża.

Wiedziała, miała tę świadomość, że musi poślubić jakiegoś chłopaka. A przecież nie kochała żadnego! Nie kochała żadnego...

Czuła się samotna i opuszczona. Czuła się tak jak zwierzę schwyte w pułapkę.

Spojrzała w niebo i naraz... Oblicze Księżycy wydało się jej tak piękne, tak pełne uroku, iż jej serce nieoczekiwanie przepełniło się miłością.

Tak, tylko Księżyc mogłaby pokochać. Z całych sił i do ostatka swoich dni... Tylko Księżyc...

Siedząc na wierzbowym pniu na brzegu stawu wpatrywała się z tęsknotą w srebrzyste, lśniące cudownym blaskiem oblicze Księżycy, który majestatycznie płynął po niebie.

– Zabierz mnie do siebie, ukochany – szepnęła, lejąc przy tym rzęsiste łzy.

I stała się rzecz przedziwna. Oto Księżyc usłyszawszy głos serca dziewczyny, zatrzymał się w swej wędrówce, spojrzał na nią i zobaczył, jaka jest piękna. W tejże samej chwili pokochał ją równie gorącą miłością.

A kiedy się to już stało, powoli, bardzo powoli, opuścił się ku ziemi i rozwarłszy szeroko ramiona objął nimi Kasię, a potem wraz z nią majestatycznie wznosił się na nieboskłon.

W tym samym czasie ojciec zaniepokojony przedłużającą się nieobecnością córki, wyszedł z chaty na jej poszukiwanie i dane mu było ujrzeć jak Pan Nocnego Nieba zabiera ją do Górnej Krainy.

Zapłakał, że oto już ostatni raz widzi swoje dziecko, ale jednocześnie odczuł również ulgę, iż przyszłość jego jedynaczki została zabezpieczona.

Stał tak zapatrzony w niebo, skąd do jego uszu doleciały jeszcze słowa miłosnego wiersza, który Księżyc ułożył właśnie na cześć Kasi:

jesteśmy sami cisza wydzwania jak skowronek przez cały dzień dźwigamy nasze szczęście od czasu do czasu przystajemy wypatrując wieczoru radośni jak dzieci w bezrozumnej galopadzie mijamy brzaski i mielizny konstelacje gwiazd nie mów mi że nie warto żyć...

Skoro słowa wiersza przebrzmiały, litościwa śmierć zamknęła powieki Wojciecha, oszczędzając mu ciężaru starości i łagodnie ująwszy za rękę, przeprowadziła na drugą stronę życia, gdzie nie ma ni łez, ni smutku, ani żadnego utrapienia...

Królewna i wąż

Dawno, dawno temu, tak dawno, że owych czasów nie pamiętają najstarsi nawet ludzie, w pewnym kraju leżącym poza rozległą dziką puszczą, żył pewien król, ojciec trzech pięknych córek.

Był to władca dzielny i prawy, sprawiedliwie rządzący państwem i dbały o sprawy ludu.

Toteż wszyscy poddani kochali go gorąco i dziękowali niebu, iż mają takiego właśnie pana, a nie tyrana i okrutnika.

Nasz król był pracowity nad miarę, a jedyną rozrywkę na jaką sobie pozwalał, było polowanie, na które wybierał się z rzadka, nie częściej niż dwa, trzy razy do roku. Żał mu było bowiem czasu, który mógł poświęcić na jakieś pożyteczniejsze zajęcia niż tracić na błahostki.

Tego jesiennego dnia, gdy złociste, czerwone i brązowe liście mieniły się swymi pysznymi barwami w blasku słońca, ruszono do puszczy.

Pogoda była wspaniała, zwierzyny pod dostatkiem, psy chętne do walki – wydawało się, iż łowy będą udane, a król rozerwie się nieco.

Niestety, nie wszystko i nie zawsze jest tak, jakbyśmy chcieli i jakbyśmy planowali.

Ledwo kawalkada myśliwych wjechała między pierwsze drzewa, gdy oto królewski rumak, kary ogier z białą gwiazdą na czole, przestraszywszy się czegoś – poniósł.

Mknął cwałem pomiędzy pniami dorodnych buków, których kora połyskiwała srebrzyście.

Nieszczęście chciało, iż konar, gruby niczym ramię tęgiego mężczyzny, zwieszał się nisko ku ziemi.

Zbyt późno król zauważył przeszkodę. Zresztą koń i tak nie reagował na pociągnięcia uzdy, słowem, władca z całych sił uderzył głową o ową gałąź i stracił przytomność.

Wierzchowiec czas jakiś jeszcze cwałował, wlokąc monarchę po ziemi, bowiem zaczepiwszy jedną nogą o strzemię, nie spadł od razu na ziemię.

Gdy nadjechali rycerze i damy, król leżał na wznak z szeroko rozłożonymi ramionami, nie dając oznak życia. Jeden z baronów ukląkł przy leżącym i przyłożywszy mu ucho do piersi czas jakiś nasłuchiwał.

Wszyscy czekali w napięciu.

Baron w końcu podniósł się na nogi i poważnie skinąwszy głową wyrzekł tylko jedno słowo:

– Żyje.

Wyraz ulgi odmalował się na twarzach dworzan.

Ostrożnie ułożono monarchę na obszernym płaszczu i ująwszy go za końce, poniesiono, stąpając noga za nogą, do zamku.

* * *

Król poruszył się z trudem. Potworny ból przewiercał mu czaszkę na wskroś. Ostatnie, co pamiętał, to oszalały ze strachu ogier i gruby konar zwieszający się na wysokości jego czoła.

A potem była ciemność. Ciemność, która nie ustępowała.

– Ojczel! Ojczel! – posłyszał głos najmłodszej z córek. – Ojczel ty żyjesz! Czy mnie słyszysz?

Z niewypowiedzianą trudnością skinął głową na potwierdzenie.

– Tak, słyszę – dodał szeptem.

– A więc wszystko będzie dobrze. Będzie dobrze. Skoro porusza głową i mówi,

wyjdzie z owej przypadłości bez szwanku – ozwał się nadworny, słynny na cały kraj, medyk.

Król jeszcze raz poruszył się z trudem i otworzył oczy. Ale wokół panowała ciemność.

Czarna i lepka, w której tkwił zanurzony cały. Czyżby panowała noc? Jeśli tak, dlaczego zatem nie zapalono świec?

– Córeczko – powiedział z wysiłkiem. – Dlaczego tu tak ciemno?

– Ciemno? – zdziwiła się królowna. – Ależ jest widno. Słońce świeci pełnym blaskiem, jego złociste promienie wpadają właśnie przez okno komnaty i oświetlają twoją, ojczy, twarz!

– Czy mówisz prawdę? Nie kpisz ze mnie?

– Gdzież bym śmiała! Jesteś moim królem i ojcem.

– Zatem... zatem... o Boże! To nie może być prawda! Wszystko, byle nie to! O Boże! Ja oślepiłem!!!

Na moment zapadła cisza, którą przerwał medyk:

– A więc omyliłem się. Straszliwy jest skutek owego uderzenia, straszliwy...

– Medyku! Ratuj! – zawołał król. – Dam ci tyle złota, ile wazysz! Ba! Dwa razy tyle! Pięć razy tyle! Ale ratuj! Wolałbym stracić władzę w nogach, ale nie oczy!

– Może jeszcze nie wszystko stracone? – powiedział medyk.

– Poczekajmy, najjaśniejszy panie. Gdy wydobrzeje ci głowa, gdy ból w pełni ustąpi, to i może wzrok wróci. Tymczasem nie poskapię ci najlepszych lekarstw, tak krajowych, jak i zamorskich.

* * *

Czas płynął. Przemineła jesień. Zima ubieliła cały świat, okrywając go śniegiem. Potem przyszła wiosna i wszystko zazieleniło się na nowo.

Król dawno już nie odczuwał żadnych bólów. Był w pełni władz fizycznych i umysłowych.

Jako posłuszny pacjent przyjmował wszelkie lekarstwa, jakie mu tylko zlecono. Na dworze wprost roiło się od lekarzy i to samych najlepszych, którzy ściągnęli tu nie tylko z całego kraju, ale i z państw ościennych.

Któregoś majowego popołudnia do wrót pałacowych zapukał dziwnie wyglądający człowiek.

Był to starzec mocno pochylony ku ziemi, o twarzy gęsto pooranej zmarszczkami, z niewielkim tobołkiem na plecach i podróżnym kosturem w dłoni. Jego charakterystyczny strój wskazywał, iż przybył z którejś z odległych krain Wschodu, gdzie baśń się miesza z rzeczywistością, dojrzewają soczyste owoce mango i duriany, krzewy pieprzu obsypane są czerwonymi jagodami, kwitną drzewa aśoki i odurzająco pachną jaśminy.

Początkowo strażę nie chciały go przepuścić do środka, ale wystarczyło, że każdemu z żołnierzy głęboko popatrzył w oczy, a on czym prędzej usuwał się na bok.

Starzec minął bramę, przemierzył pałacowy dziedziniec, a później lśniącem od przepychu korytarzem podążył prosto do komnaty, w której przebywał król.

Władca siedział bez ruchu na wybitym atłasem krześle. Na jego twarzy malował się dojmujący smutek. Jak każdy ślepiec słuch miał wyostrzony, toteż gdy nasz staruszek przekroczył próg pokoju, natychmiast go zapytał:

– Kim ty jesteś i po co tu przyszedłeś?

Poznał bowiem po krokach, iż to ktoś obcy.

– Przybywam z dalekiej krainy, która leży za niebotycznymi górami, tam gdzie ziemia styka się z oceanem, sponad którego co dnia wschodzi słońce.

– Daleką zatem przebyłeś drogę – zauważył król.

– A tak, daleką.

– I po cóż to?

– By cię zobaczyć, najjaśniejszy panie. A być może... uleczyć.

– Czy potrafiłbyś dokonać owego cudu?

– Tego nie wiem, dopokąd cię nie zbadam.

– Zatem badaj! Na co czekasz?!

Stary człowiek długo oglądał oczy króla, aż ów zniecierpliwiony zapytał:

– I cóż?

– Niestety, najjaśniejszy panie. Nie uleczy cię sztuka lekarska, nie uleczą cię moje moce.

– Więc wszystko stracone! – wykrzyknął władca. – Już do końca życia pozostanę ślepy!

– Tego nie powiedziałem. Jest bowiem pewien sposób, aby cię uzdrowić.

– Jakież?

– Za rozległymi bagnami, w samym sercu gór, wznosi się pewien szczyt, a na owym szczycie stoi zamczysko zbudowane z czarnego kamienia. Na dziedzińcu zamczyska, w głębokiej studni, tryska zaczarowane źródło. Kto napije się wody z tego źródła, ten natychmiast zostanie uleczone, bez względu na to, na jaką cierpiał chorobę.

– Ach! To wspaniale! Zaraz po tę wodę wyślę moje sługi! – ucieszył się król.

– Tu muszę cię rozczarować, najjaśniejszy panie. Owa woda ma nadzwyczajną moc tylko wtedy, gdy przyniesie ją choremu osoba, która go kocha i czyni to zupełnie bezinteresownie, a nawet gotowa jest poświęcić własne życie, byle chorego uratować.

– Czy masz takiego poddanego, któryby się podjął owej ryzykownej wyprawy, wiedząc, że może podczas niej zginąć?

– Za pieniądze może by się i znalazł jakowyś śmiałek, ale za darmo?...

– Cóż, wskazałem ci możliwość uleczenia. Nic więcej nie jestem w stanie

uczynić. Życzę ci tylko, dobry królu, aby ci się udało znaleźć kogoś, kto zechce ci pomóc.

Stary człowiek jak niepostrzeżenie wszedł do zamku, tak samo niepostrzeżenie go opuścił.

Rychło znalazł się poza miastem i zapyłonym gościńcem ruszył kędyś, w sobie tylko wiadomym kierunku.

* * *

Król tego wieczora był bardziej markotny niż zwykle. Na próżno się starano zabawić go rozmową i rozweselić.

Siedział bez ruchu, od wielu godzin nie zmieniając pozycji, zasłuchany we własne myśli.

Najmłodsza z córek, królowna Małgorzata, zbliżyła się do ojca i objąwszy go rękoma za szyję, przytulając swój policzek do jego policzka, jęła wypytwać o powód strapienia.

A taka była nieustępliwa, i tak się przy tym przymilała, iż ślepiec w końcu przerwał milczenie, by opowiedzieć o dziwnej wizycie, jaką mu przed południem złożył mag z Odległej Wschodniej Krainy.

– Zatem jest jeszcze dla ciebie, ojcze, nadzieja! – zawołała Małgorzata.

– Nie ma nadziei, moje dziecko. Któż bowiem zechce, całkiem bezinteresownie zaryzykować życie, bylebym ja mógł odzyskać wzrok?

– Wierz mi, jest ktoś taki – wyszeptwała królowna.

– Nawet nie myśl o tym, moje dziecko! Nigdy nie pozwolę, byś ryzykowała dla mnie.

Ale królowna wcale nie miała zamiaru pytać ojca o pozwolenie.

* * *

Skoro tylko przeminęła noc, a świt zaróżowił nieboskłon, zaopatrzywszy się w pieniądze i pożywienie, Małgorzata wyruszyła w drogę.

Szła i szła. Tygodnie całe mijały jej w marszu. Przechodziła przez ludne miasta, senne miasteczka i wioski. Przeprowiała się przez rwące potoki i szeroko rozlane rzeki. Przedzierała się przez najbardziej splątane gęstwiny puszczańskie, kędy nigdy jeszcze nie powstała ludzka stopa. Dwakroć omal nie utonęła w bagnie, a raz tylko cudem uniknęła ukąszenia żmij.

Aż wreszcie nadszedł dzień, gdy na horyzoncie zarysował się łańcuch górski, którego kontury zacierały się nieco w szaroliliowej mgiele, a ponad łańcuchem owym wystrzelał ku niebu, wyżej nad inne, pewien szczyt, o prawie pionowych ścianach gołej, nie porośniętej żadną roślinnością, skały.

Do podnóża owej góry, która stanowiła kres wędrówki, królowna dotarła późnym wieczorem, a ponieważ nikt nie mieszkał w najbliższej okolicy, zmuszona była przenocować w lesie.

Rankiem, niezbyt wypoczęta, odświeżywszy się w lodowatej wodzie skaczącego po kamieniach strumyka i posiliwszy tym, co dźwigała w węzélku na plecach, poczęła wspinać się ku szczytowi.

Lecz góra była stroma i wysoka, z jedną, jedyną wijącą się serpentynami, dróżką, która wiodła do bram zamczyska. Dlatego minęło kilka godzin, nim Małgorzata osiągnęła cel.

Zamczysko było ogromne, ponure i wymarłe. W załomach murów gnieździło się drapieżne ptactwo, a cały wewnętrzny dziedziniec, na który kiedyś, przed wiekami, naniesiono z dołu tyle żyznej i urodzajnej ziemi, iż rozłożona grubą warstwą na skalistym podłożu, stała się siedliskiem prawdziwego gąszczu dorodnych i wybujałych chwastów, był pusty.

Pośród zielsk, gdzie-niegdzie, dawało się jeszcze odczytać zarysy ścieżek i klombów, co pozwalało odgadnąć, iż niegdyś, kiedy życie tętniło w owych posepnych murach, urządzono tu wspaniały ogród.

Rozejrzała się królowna dokładnie, bacznie lustrując cały podwórzec, aż dostrzegła studnię, na dnie której tryskało zaczarowane źródło. I zaraz na myśl jej przyszedł pewien wiersz, który przed laty ułożył młody, nieszczęśliwy, nadworny poeta jej ojca:

w starym ogrodzie zarosłym piołunem cembrowina zmurszała zapomnianej studni mchami pozieleniała gdy pochylasz się nad nią wydeptawszy ścieżynę w burzanach zobaczysz dojrzewanie snu i światów sto tysięcy przebrzmiałych niby granie organów pod sklepieniem pustego kościoła w czeluści owej studni lśni zaklęty diament czasem zbląkanym promieniem a czasem światłością która w nim samym znajduje siedlisko czekając śmiałka którego stopy przejdą cembrowinę.

Królowna przedzierając się przez chaszczę zbliżyła się do studni, wyjęła z tobołka niewielki miedziany kubek oraz zwój mocnej rzemiennej linki, przymocowała ową linkę do kabłąka kubka i poczęła go spuszczać w czarną czeluść, aby nabrać wody.

Ale w tej samej chwili coś zaszeleściło w zaroślach i tuż do jej stóp przypętał ogromny wąż, którego cielsko grube było niczym udo silnego mężczyzny, a długie na wiele, wiele metrów.

– Ssss...Ssss... – zasyczał najpierw, wysuwając z szeroko otwartej paszczyki długi, czarny, rozwidlony język:

– Ssss...Ssss... kto ci pozwolił, dziewczyno, nabrać wody z mojej studni?

– Ach, nie wiedziałam, że należy ona do kogokolwiek. Jeżeli nie zapytałam o zgodę, to nieświadomie. Wybacz mi proszę zatem i pozwól zaczerpnąć z zaczarowanego źródła.

– Ssss...Ssss... Cóż, nie widzę przeszkód. Możesz nabrać wody tyle, ile

zechcesz, pod jednym wszakże warunkiem...

– A jakiż jest ów warunek? – zaniepokoiła się Małgorzata, przeczuwając, iż może on być niełatwy do przyjęcia.

I nie omyliła się.

– Ssss...Ssss... Jeżeli przysięgniesz, że zostaniesz moją żoną, wówczas pozwolę ci nabrać wody, jeśli jednak odmówisz złożenia takowej przysięgi, przepędzę cię stąd precz! Czy dobrze mnie zrozumiałas? Ssss...Ssss...

– Ach! Aż nadto dobrze.

Perspektywa zostania małżonką węża, i to węża o wyjątkowo potwornym wyglądzie, zdała się królownie w pierwszej chwili czymś tak przerażającym, że już miała, porzuciwszy kubełek i linkę, nie bacząc na trudy podróży jakie zniosła, uciekać precz z owego przekłętego miejsca, ale oto naraz przed oczyma stanęła jej smutna, udręczona twarz ojcową o ślepych oczach.

Nie rzekła zatem królowna ni słowa, tylko usiadłszy na ziemi i ujawszy głowę w dłonie, jęła rozważać propozycję gada. A ów budził w niej lęk, odrazę i obrzydzenie.

Mocowała się sama ze sobą, kładąc na jednej szali własne szczęście, na drugiej zaś szczęście tego, który dał jej życie. I miłość do ojca zwyciężyła.

– Dobrze, niech będzie tak jak chcesz. Przyjmę twoje warunki, wężu, i na tym miejscu uroczyście ci przysięgam, iż w zamian za wodę z czarodziejskiej studni, zostanę twoją żoną.

– Ssss...Ssss... – wąż zasyczał z wyraźnym zadowoleniem.

– A zatem zaczerpnij, ile tylko chcesz.

Małgorzata wydobywszy napełniony kubełek, przelała jego zawartość do srebrnej flaszki, którą zakorkowała mocno, aby podczas powrotnej drogi nie uronić ani jednej kropli owego cennego płynu, po czym jęła się zbierać do odejścia.

– Ssss...Ssss... Nie śpiesz się tak, moja panno. Ssss...Ssss... Czyżbyś już

zapomniała o przysiędze?

– Nie, pamiętam o niej doskonale, ale pozwól bym wpierw dostarczyła zaczarowaną wodę mojemu ślepemu ojcu, a potem przyrzekam – wrócę tutaj i zostanę z tobą na zawsze.

– Ssss...Ssss... Nic z tego, moja panno. Nie wypuszczę cię stąd samej. Od momentu, w którym złożyłaś przysięgę, stałaś się moją prawowitą małżonką. Jeśli zatem chcesz odejść, to tylko w moim towarzystwie.

– No cóż, niech i tak będzie... – zgodziła się królowna.

– Zatem siadaj na mój grzbiet. Ssss... Ssss...

– A po cóż?

– Ssss... Ssss... Nie pytaj, tylko siadaj.

Usiadła więc nieboga, obejmując rękoma łeb gada, by nie ześlizgnąć się na ziemię, a ów, wpierw powoli, a potem szybciej, coraz szybciej, jął wznosić się w powietrze.

Lecieli nad górami i dolinami, nad trzęsawiskami i jeziorami. Szerokie rzeki z góry wyglądały niczym wąziuchne błyszczące wstążeczki. Lecieli z taką prędkością, że królownie wiatr świszcział w uszach, a od pędu dostawała zawrotów głowy.

I minęło zaledwie kilka godzin, gdy znaleźli się przed murami królewskiej stolicy. W krótkim czasie pokonali drogę, która wcześniej zajęła Małgorzacie wiele, wiele tygodni.

– Ssss...Ssss... Tu się na razie rozstaniemy – powiedział wąż. – Ale nie myśl, że rozstajemy się na zawsze. Zobaczysz mnie rychlej niż się spodziewasz.

Wąż popęzł w gęste zarośla, sterczące obok pokrytej grubą warstwą kurzu drogi, a królowna ruszyła w stronę pałacu.

* * *

Król, jak zwykle, prawie bez ruchu siedział w swoim miękko wyścielonym fotelu, gdy do jego komnaty wkroczył cały orszak dworzan, na którego czele szła Małgorzata, niosąc na złotej tacy złoty kubek wypełniony po wręby wodą pochodzącą z zaczarowanego źródła.

– Pij, mój ojczy.

Król wzdrygnął się na dźwięk jej głosu.

– Małgorzata? – zapytał z niedowierzaniem. – A więc wróciłaś córeczko! Wróciłaś!

Ryzykowałaś dla mnie własnym życiem!

– Pij, ojczy – powtórzyła dziewczyna, po czym podała królowi naczynie. A on podniósł je do ust i powoli, łyk po łyku, opróżnił je do dna. Woda była zimna i nieco gorzka. Władca czuł, jak przenika ona każde włókienko jego ciała. A potem poczęła ustępować ciemność.

Zrazu nieostre i rozmazane kontury sprzętów, plamy twarzy dworzan, jęły nabierać wyrazistości.

– Widzę! Widzę! Ja znów widzę!

Król uradowany poderwał się na nogi i przycisnąwszy Małgorzatę do serca, obsypał jej włosy pocałunkami, a potem dodał:

– Ogłaszam wszem i wobec i niechaj heroldowie wieść tę rozniosą po kraju, iż moją następczynią i przyszłą królową naszego państwa czynię księżniczkę Małgorzatę!

* * *

Gdy zegar na katedralnej wieży wydzwonił godzinę dziewiątą i zmierzch jął powoli ogarniać wszystko wokół, do komnaty królowy Małgorzaty wpełzł wąż.

– Ssss...Ssss... Oto jestem – wysyczał.

Patrzyła na niego ze zgrozą i przerażeniem w oczach. Nie umiała, nie chciała zaakceptować faktu, że ów szkaradny potwór jest jej mężem.

– Ssss...Ssss... Co winna jest żona mężowi?

– Nie wiem o czym mówisz... – drżącym głosem odpowiedziała królowa.

– Wiesz. Dobrze wiesz. Obejmij mnie ramionami i ucałuj czule.

– Czy nie ulitujesz się nad moją młodością, nad moją niewinnością?

– Ssss...Ssss... Nie rozumiem czego żądasz ode mnie?! Czyż nie jesteśmy mężem i żoną?

Ssss...Ssss...

Królowa wpatrywała się w potworny łeb gada jak sparaliżowana, a po policzkach ciekły jej łzy. Widać było jak mocije się sama ze sobą, ale w końcu świadomość złożonej wężowi małżeńskiej przysięgi i fakt, iż pozwolił jej nabrać wody, która uleczyła ojca, zwyciężyły.

Uklękła zatem na marmurowej posadzce okrytej grubym, puszystym dywanem, ujęła w dłonie łeb węża i na jego paszczy złożyła pocałunek.

I oto naraz... Dziw, nad dziwy! Potworne cielsko gada jęło się kurczyć i zmieniać swój kształt, przeistaczając w ludzką postać.

Minęła chwilka zaledwie, i przed Małgorzatą stał człowiek.

Był to starzec mocno pochylony ku ziemi, o twarzy gęsto pooranej zmarszczkami, z niedużym tobołkiem na plecach i podróżnym kosturem w dłoni. Jego charakterystyczny strój wskazywał, iż przybył z którejś z Odległych Krain Wschodu, gdzie baśń miesza się z rzeczywistością, dojrzewają soczyste owoce mango i duriany, krzewy pieprzu gęsto są obsypane czerwonymi jagodami, kwitną drzewa aśoki i odurzająco pachną jaśminy.

– Widzę zdumienie w twoich oczach, królowo – ozwał się starzec. – Tak, tak. Wiem to.

Winien ci jestem wyjaśnienie.

Zamilkł i przez chwilę zbierał myśli, po czym jął mówić dalej:

– Ongiś, dowiedziawszy się o wypadku twojego ojca, w wyniku którego ociemniał, znając króla z opinii wielu ludzi, jako kogoś nadzwyczaj dobrego i nadzwyczaj prawego, postanowiłem mu pomóc. Przybyłem zatem do tego pałacu, z nadzieją, iż może uda mi się uleczyć go ze ślepoty mocą, którą posiadam. Po zbadaniu go jednak stwierdziłem, że jestem bezsilny. Jedno, co mogłaby przywrócić światło jego oczom, to bezinteresowna miłość połączona z bezgranicznym poświęceniem. Miłość taka, która nie zawaha się i nie cofnie przed żadną przeszkodą. Miłość, która złoży w ofierze wszystko, czego tylko od niej zażądata.

Lecz znajdź mi człowieka, który aż tak potrafiłby kochać drugą ludzką istotę! Toteż nie będę ukrywał, że wskazując twemu ojcu możliwość ratunku, nie dowierzałem, iż znajdzie się ktoś zdolny do poświęceń. Ale znalazłaś się ty...

– Zatem woda w starej zamkowej studni nie jest zaczarowana?

– Nie. To zwykła woda. I nie ona go uleczyła, ale to, że nie zważając na ból, trud, zmęczenie, na głód i niebezpieczeństwa, wielokroć ryzykując utratę życia, z miłości do ojca wybrałaś się po ową wodę. To była pierwsza próba twojego ku niemu uczucia. I zdałaś ją celująco. Wszakże tylko ta jedna próba nie wystarczyła do trwałego pokonania choroby.

Musiałaś dokonać jeszcze ofiary – ofiary z samej siebie. Przecież to straszne, potworne i odrażające, zostać żoną, na całe życie, do chwili aż was śmierć rozłączy, wstrętnego, obrzydliwego gada. Ale ty zgodziłaś się i na to. Była to zarazem druga próba, którą podobnie jak pierwszą, zdałaś celująco, trzecią, i ostatnią zarazem, był ów pocałunek, którego jako wąż żądałem od ciebie. Mimo obrzydzenia, z poczucia ważkości słów przysięgi, którą złożyłaś z miłości do ojca, pocałowałaś mnie. I dopiero wtedy tak naprawdę i do końca na trwale uleczyłaś

króla. To iż po wypiciu przyniesionej przez ciebie wody odzyskał wzrok, było chwilowe i należało owo utrwalić, ugruntować i temu właśnie służyła próba ostatnia.

– Zatem, gdybym cię nie pocałowała...

– Tak – starzec przerwał jej w pół zdania. Tak, dobrze przypuszczasz. Gdybyś mnie nie pocałowała, król ośleplby na nowo. Ale tym razem nie byłoby dlań żadnego ratunku. Ani nawet cienia nadziei na ratunek.

Królowna stała blada, ze zdumieniem słuchając wszystkiego, co mówił starzec, a na koniec zdobyła się na pytanie:

– Ale kim ty jesteś? Kim jesteś naprawdę? Coś mi mówi, że i ta postać, którą teraz nosisz, również nie jest twoją właściwą postacią...

– Jesteś nie tylko dobra, nie tylko odważna, lecz również niezwykle inteligentna. Tak, masz rację, słusznie się domyślasz.

– Więc kim jesteś?!

– Czy słyszałaś o aniołach, moje dziecko?

Postać rozświetliła się nieziemskim blaskiem. Skóra wygładziła, oczy stały się promienne, jasne i pełne łagodności. Stał teraz przed nią prosty i piękny. Tak, na jego określenie nie można znaleźć odpowiedniejszego słowa. I oto naraz świetliste ciało jęło drzeć i falować, niczym powietrze w upalny sierpniowy dzień, a potem rozpląnęło się w przestrzeni i znikło.

Małgorzata została sama.

Skądś z głębi pałacu do jej uszu doleciał cichy śpiew. To któraś ze służących usypiała swoje dziecko nucąc mu kołysankę...